

LUCYAN BIART.

PODRÓŻ MIMOWOLNA



BIBLIOTEČKA PODRÓZY

NAKLAD F. HOSICKÁ

11720 WMD



Łojzi Krysziński.

PODRÓŻ MIMOWOLNA.

Podróż Mimowolna

PODRÓŻ MIMOWOLNA

PRZEZ

LUCYANA BIART.

TŁUMACZENIE

ST. M. RZĘPKOWSKIEGO.



WARSZAWA.
NAKLAD FERDYNANDA HÖSICK'A.

1881.

MILEWICZ

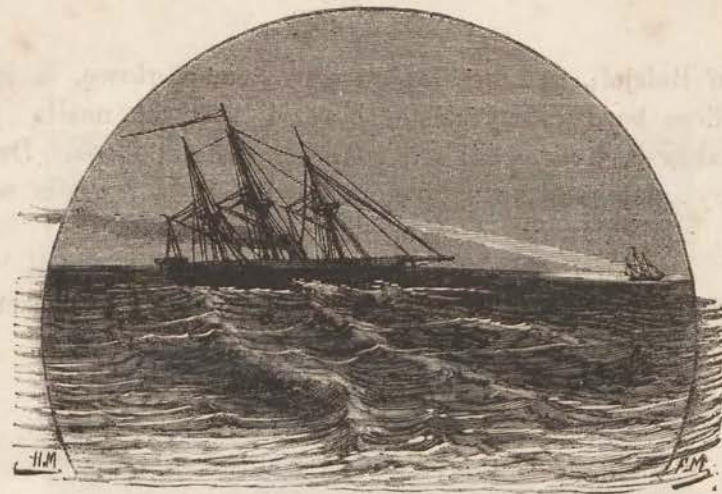
Дозволено Цензурою.
Варшава, 30 Апрѣля 1880 г.



810-93
399610/
92

Drukiem Józefa Ungra, Warszawa, Nowolipki Nr. 3.

2/352/92



I.
W BATIGNOLLES.

— Twoje zdrowie, mój biedny Boisjoli!
— I twoje, mój dzielny Pinsonie!
Dwaj ludzie, którzy te słowa wyrzekli, siedzieli w pokoju jadalnym mieszkania przy ulicy Nollet, popijając z wolna. W téj chwili stawiają oni swoje szklanki, do połowy wypróżnione.

Było to w kwietniu; na dworze deszcz uporeczywy i drobny padać nie przestawał; na kominie trzeszczały i syczały kawały drzewa. Pan Pinson, gospodarz, był człowiekiem średniej tuszy, krzepkim, o spojrzeniu żywym, o włosach zwijających się, rysach twarzy inteligentnych, ustach wiecznie uśmiechniętych; jego gość,

pan Boisjoli, przewyższał go wzrostem o głowę, a jego oblicze bardziej wyraziste, bardziej surowe, nosiło jednakże cechy równej świeżości umysłu i dobroci. Dwaj przyjaciele, sądząc z powierzchowności, byli w sile wieku; obaj zdawali się mieć około czterdziestki.

Postawili tedy swoje szklanki i jakby myśli ich były zajęte jakimś ważnym przedmiotem, w milczeniu utopili spojrzenia na dnie swoich talerzy.

— Nie jesz?—spytał p. Pinson.

— Nie; przyznam ci się że nie mam apetytu.

— Obyż cię omijały złe i smutne myśli!

— Dziękuję, lecz zkąd to życzenie?

— Jeżeli się nie mylę — odrzekł p. Pinson — jest dziś lat temu trzydzieści i dwa, a przynajmniej blisko tego jak moja matka, prawie tyle tęp zgryziona, co i ja sam, odprowadziła mnie do kolegium Świętej Barbary.

— Trzydzieści dwa lata!... jak to jednak czas leci!..

— Co prawda, wcale mi to nie dodawało ducha—ciągnął p. Pinson.—Wychowywałem się dotąd przy mojej drogiej matce i nagle znalazłem się wobec setki uczniów, którzy spoglądali na mnie szyderczo i złośliwie.

— No... nie wszyscy.

— To prawda; byłeś tam i ty. Gdy dzwonek ogłosił godzinę odpoczynku, podszedłem ze ściśnioném sercem ku drzwiom, za którymi zniknęła moja matka. Moi koledzy poszli za mną; słyszałem ich ironiczne szepty, ich złośliwe uwagi; zdawało mi się wówczas że jestem ptakiem, któremu podcięto skrzydła. Zarzucało mnie pytaniami, podsuwano zagadnienia. Czulem że moja od-



Twoje zdrowie!

waga słabnie, myśl się chwieje, bystrość mnie opuszcza... na odgłos śmiechów i przycinków. Któryś z uczniów ujął mnie brutalnie swemi długimi rękoma, aby mnie zmusić do śmieśnej, bo nierównej walki. Pragnąłem mu stawić opór... ale on był duży, a ja sam jeden, prześladowany przez wszystkich, zmieszany i rozżalony. Wówczas zjawiłeś się ty.... Byłeś tam już od trzech miesięcy, szanowano cię, znano... i stanąłeś w mej obronie, biorąc mnie w opiekę. Twoje zdrowie, mój stary przyjacielu!

— I twoje, serdeczny towarzyszu młodości!

Po tym toaście nastąpiło znowu milczenie i dwaj przyjaciele zatopili się w rozmyślaniach.

— W chwilach, w których smutek uciska duszę— odezwał się wreszcie p. Pinson — człowiek lubi zwracać się ku przeszłości. Poczciwy stary kolego! Modliliśmy się tam wspólnie przez lat dziewięć, przechodziliśmy razem z klasy do klasy, walczyliśmy o pierwszą nagrodę, którą rada szkolna tobie przysądziła...

— Prosty przypadek!

— Tak... zależny tylko od zdolności i pracy, mój przyjacielu. Szczęście nawiedza często śpiochów i leniwców, ale nauka, to zupełnie co innego; trzeba ją zdobywać pracą, wytrwałością i ustawicznem czuwaniem. Czy też pamiętasz dzień wyjścia naszego z kolegium?

— Wybornie! Po raz pierwszy kazaliśmy się wówczas ogolić, ażeby się zaprezentować świetnie w szkole centralnej.

— Którą ty ukończyłeś jako pierwszy uczeń.

— A ty jako drugi — odrzekł p. Pinson. — Dyrektor

umieścił nas w biurze drogi żelaznej Zachodniej, z obietnicą szybkiego awansu. Przynieśliśmy sobie wtedy, że nigdy się już nie rozłączymy.

— Cóż chcesz, mój drogi: straciłeś matkę i potrzebowałeś méj przyjaźni. We dwa lata później umarła znowu moja matka, a twoje uczucie dla mnie wynagrodziło mi stokrotnie to, co szło z serca i z duszy.

Rozmowa ta, pełna miłych i smutnych zarazem wspomnień, wycisnęła łzy z oczu przyjaciółom; powstałi nagle i przeszli do saloniku, na kominku którego stara służąca roznieciła suty ogień. Tutaj usiedli przy małym stoliku, na którym oczekiwała ich już czarna kawa, a p. Pinson, jakby rozmowa nie została przerwana, mówił w dalszym ciągu:

— Tak, przynieśliśmy nie rozłączać się nigdy, a tymczasem ty, Boisjoli, odjeżdżasz!

— Tak być musi, Pinson, a ty sam, przypomnij sobie, ile razy mowa była o tém, zgadzałeś się na to, że wyjazd mój jest koniecznym.

— Utrzymywałem tak istotnie, dopóki chwila odjazdu była jeszcze daleką, bo zdawało mi się że nie nadejdzie nigdy.

— Od piętnastu lat—mówił p. Boisjoli—siedzę na lichej posadzie, która niegdyś w méj wyobraźni była niezłym początkiem dla przyszłej kariery.

— Nigdy cię nie ceniono, jak należy.

— Tak, mój przyjacielu, ale w naszym kraju o zdolności nietrudno, a najlepsze posady nie są liczne. Nie mam protektora, również jak i ty, któryby mi ułatwiał awanse i nastroczał tym sposobem możność pokazania,

do czego jestem zdolny. Ale ty przynajmniej odziedziczyłeś mały spadek...

— Który mi zapewnia pięć tysięcy liwrow dochodu i którym chętnie pragnąłem się podzielić z tobą, co i dziś jest moim najgorętszym życzeniem.

— Kto wie, mój przyjacielu, może przyjdzie dzień, w którym zechcę korzystać z twój ofiary, lecz zanim przyjdzie, niechże spróbuję sam wywalczyć sobie tę niepodległość, co ci pozwala pracować kiedy chcesz i jak chcesz. Tutaj, w kraju, widoków na przyszłość nie mam żadnych; wielu tu zresztą jest powołanych, ale mało wybranych. Wojna, która się rozpocznie lada chwila w Stanach Zjednoczonych, dla ludzi naszego rzemiosła otwiera szerokie pole; otóż tam spróbuję szczęścia. Daję sobie dziesięć lat czasu do zdobycia upragnionej niezależności; po upływie tych lat dziesięciu wracam — bogaty czy ubogi!

— A czas ten czyż pozostawi wszystko bez zmiany?... Czy się jeszcze kiedykolwiek zobaczymy? Czyż jestem nieśmiertelny, i ty także?...

— Było postanowione, drogi towarzyszu, że po raz ostatni przed moim wyjazdem obiadować będziemy wspólnie i wesoło. Zapóźno już cofać się... Ta rozprawa próżna i bezcelowa smuci tylko i goryczą zaprawia naszą ucztę. Powinienem jechać jutro i pojadę! Nalęj mi szklankę... dobrze, a teraz: twoje zdrowie!

Tym razem szklanki szybko wypróżniono, a p. Pinson, jakby naprzekór swéj zwykłej wstrzemięźliwości, zapragnął pić za szczęśliwą podróż towarzysza, za jego powodzenie, za rychły powrót... Dwaj przyjaciele, któ-

rych usposobienie było z natury wesołe, potrosze odzyskali swój dobry humor, a stało się to za przyczyną wspomnień młodości. Czarujące słowa: *czy pamiętasz?* krzyżowały się; śmiano się wreszcie serdecznie, głośno, do łez. Przyszła wesołość, dzięki wspomnieniom i szklan-
kom, gawędce o czasach minionych i coraz nowym toa-
stom.

— Jeżeli jesteś takim prawdziwym przyjacielem, za jakiego cię mam—rzekł wreszcie p. Boisjoli—to wiész co byś zrobił?... oto... towarzyszyłbyś mi.

— Na dworzec kolei?... Czy sądzisz że jest to odległość, poza którą mój obowiązek przyjaźni nie sięga?

— No... nie, ale kiedy ci mówię: towarzyszyłbyś mi, to....

— To chcesz, abym cię odwiózł do Nowego Yorku?

— *In medio veritas* ¹⁾, jak nam powtarzali w kolegium—odparł p. Boisjoli sentencyonalnie.— Zatanów się tylko, Pinson: jesteś wolny najzupełniej; nie masz obowiązków, ani żony, ni dzieci, nie wreszcie takiego, co by cię przykuwało do miejsca, a do Calais z Paryża jest tylko siedm godzin drogi.

— Hm — odrzekł Pinson — odgadujesz moje chęci. Jużem sobie to dawno postanowił i chciałem ci tylko zrobić niespodziankę, siadając wraz z tobą do wagonu.

— Bravo! otóż to mi się podoba! Niech żyje piękny zamiar! Zwracam tylko twoją uwagę, że do Calais postanowiłeś sam mi towarzyszyć i ja cię wcale do tego nie namawiałem. Ale osądź sam: co by ci też szkodziło, gdybyś się tak wybrał... obejrzyć Londyn, ty, zabity

1) Prawda w pośrodku.

Paryżaninie, coś nigdy nie stąpił nogą poza rogatki miasta?

— Przepraszam: byłem w Wersalu!

— I cóż, pojedziesz ze mną do Londynu?

— Dlaczegoż nie do Liwerpoolu?—wykrzyknął Pinson, zrywając się z krzesła.

— To prawda, dlaczego nie do Liwerpoolu! Właśnie sam ci to chciałem powiedzieć—odrzekł spokojnie Boisjoli.— Zobaczysz wciągu kilku dni część Francyi, morze, Wielką Brytanią, jej stolicę, jedno z najpotężniejszych ognisk przemysłu i handlu, piękny steamer ¹⁾ *Canada*, na którym mam popłynąć... I cóż, zgoda?...

— Ależ ty wyjeżdżasz jutro o dziewiątej!

— O dziewiątej i minut piętnaście, przyjacielu.

— A tymczasem ja nie mam pasportu!

— Bo go nie potrzebujesz.

— Przeciwnie: jest on niezbędny.

— Przesąd!

Potrzebuję torby podróżnej, boć przecież nie mogę jechać bez bielizny i odzieży! A najgorsze z tego wszystkiego, że pojutrze mam się koniecznie widzieć z panem Viollet-le-Duc.²⁾

— Możesz do niego napisać, że niespodziewany wyjazd zmusza cię do odłożenia wizyty na dni, dajmy na to, osiem.

— A jeżeli go to obrazi?

1) Steamer, okręt parowy.

2) Znakomity budowniczy, znany z prac swoich i w Polsce. Umarł w r. 1878.

— Z pewnością nie, boć przecież podasz mu przyczynę.

— Ależ...

— Tymczasem powiedz mi, co zamierzasz; jest już późno!

— Niech się dzieje co chce: jadę z tobą! — wykrzyknął Pinson, rzucając się w objęcia przyjacielowi. — No!... jeszcze jedno zdrowie!

— Twoje! — odparł radośnie Boisjoli, oddając serdeczny uścisk.

— Naszej przyjaźni!

— Do jutra więc, na dworcu kolei Północnej.

— O godzinie dziewiątej. To już niecdwołałne!

— Do widzenia!

— Do widzenia!

Gdy Boisjoli odszedł, p. Pinson począł mierzyć swój salon dużemi krokami w głębokim zamyśleniu, a wreszcie udał się do sypialni. Otworzył tam szafę z bielizną, rozpatrywał z uwagą jej zasoby, artystycznie uporządkowane przez jego starą służącą Małgorzatę, i zdecydował się nakoniec oświadczyć jej, co postanowił. Jejmość Małgorzata, która od dziesięciu lat swą służbę u pana Pinsona nie widziała go nigdy oddalającego się z domu nawet na dwanaście godzin, wzięła to wszystko za żart.

— Przynieś mi moją torbę; trzeba upakować rzeczy.

— Torbę? — odrzekła zadziwiona. — Odkąd tu jestem, nie słyszałam żebyś ją pan kiedykolwiek posiadał.

Istotnie, Małgorzata mówiła najzupełniejszą prawdę. P. Pinson, zajęty pracami na dworcu kolejowym w Paryżu lub w Pantin, w czasach swego urzędowania, wy-

jeźdźał najdalej do Saint-Cloud, Wersalu, Château-Thierry, a w takiej podróży jednodniowej nie potrzebował torby. Obecnie stało na tém, że stara służąca obowiązała się kupić torbę nazajutrz jaknajraniiej, a Pinson, bardzo zajęty przyszłą podróżą, udał się na spoczynek. Ale zegar wydzwonił dawno północ, a Pinson jeszcze nie spał; myśli nawałem tłoczyły mu się do głowy i oczekiwana podróż odjęła mu zwykły spokój.

„No — myślał sobie — dobrze będzie przewietrzyć się i nie siedzieć w domu, jak jaki... stary kawaler. A przytém Boisjoli... szkoda przyjaciela! Jakąż to smutną zmianę wywoła jego wyjazd w mojem życiu! Bywajcie zdrowe dysputy, wspólne prace, partyjki szachów, bezika, domino, długie gawędki zimowe, letnie przechadzki! A on, jak się też bezemnie obejdzie?“

Nazajutrz, to jest w d. 28 kwietnia 1862 roku, o godzinie dziewiątej minut piętnaście rano, dwaj przyjaciele zmierzali po drodze żelaznej do Calais. O godzinie dziesiątej mieli stanąć w Londynie, a ztamtąd, po trzech dniach pobytu, puścić się do Liwerpoolu, gdzie Boisjoli ma wsiąść na statek *Canada*. A podczas gdy on będzie zmierzał ku tej Ameryce, w której Washington założył wzorową republikę i z której do Europy przyjechało tylu bogatych... wujaszków — p. Pinson powróci spokojnie do Paryża.

II.

DO LONDYNU.

Była godzina piąta wieczorem, gdy nasi przyjaciele przybyli do miasta Calais, starożytnego *Calctum* u Rzymian. Mieli oni zaledwie tyle czasu, ile potrzebowali na zjedzenie kilku tak zwanych *sandwich* ¹⁾, które p. Pinson, wedle rady życzliwej jakiejś jójmości, zakrzepił szklanką grogu, co niby służyć miało jako wyborne prezerwatywa od choroby morskiej. W dziesięć minut potem byli już na statku *Avon*.

Boisjoli nie znał cieśniny La Manche, ale niegdys podróżował po morzu Śródziemnym, co chwilowo nadawało mu pewną wyższość nad przyjacielem. Pinson, którego wycieczki żeglarskie ograniczyły się do pływania łódką po jeziorze *d'Enghien*, i to przed dziesięcioma laty, był formalnie zachwycony tem wszystkim, co widział naokoło.

Niebo było zachmurzone; fale morskie, pędzone przez gwałtowny wicher, „fryzowały się,“ jak mówią żaglarze, to jest wzdymały w spienione pagórki i opadały z gwałtownością i szumem. Bezgraniczna płaszczyzna wód, o powierzchni metalicznej barwy, widokiem dzikim imponowała panu Pinson. Wrażenie dreszczem go przejmowało i... myślał w duchu o spokojnej siedzibie swojej przy ulicy Nolle.

1) Przekąski mięsne.

Setka podróżnych rozmaitej płci i wieku, różnej narodowości, biegała na wszystkie strony; popychano się nawzajem, tłoczono, kręcono po pokładzie, znosząc rzeczy, pakując tłomoki, szukając najwygodniejszego miejsca. Tuż przy wielkim maszcie, przywiązany silnemi sznurami, stał kilkoosobowy powóz, z siedzeniami na wierzchu. Jakiś Anglik, wygolony, z potężnym i starannie ułożonym fontaziem krawata, w rękawiczkach, z elegancją iscie po angielsku dokładną, zmierzał ku temu powozowi, poprzedzany przez służącego w liberyi, prowadząc pod ramię z wyszukaną galanterią jakąś młodą damę. Anglik i jego towarzyszka, na wielkie zdziwienie współpodróżnych, ulokowali się na wierzchnich siedzeniach. Służący obojęd płci wsiedli do środka, przyniósłszy poprzednio potężną ilość kufrów, pakunków, tłomoczków, butelek, szklanek i zapasów, więcej niż zbyteczną na dziesięciogodzinną zaledwie podróż.

— Zawsze praktyczni ci Anglicy—zauważył p. Pinson— ale ciekawy jestem, dlaczego sadowią się tak wysoko, na taki wściekły wicher. Przyznam się że wolałbym na ich miejscu siedzieć w ciepłej kajucie.

— Chcą zapewne przypatrywać się okolicom—odrzekł Boisjoli.

— A! śliczne okolice, zasepione niebo nad głową i wokoło ponure, falujące morze!

— Zapominasz że jesteśmy tylko o trzydzieści kilometrów od Douwru, i że brzegi angielskie ukażą nam się w chwili, w której znikną nam z oczu wybrzeża Francji.

Steamer puścił się w drogę; p. Pinson, usiadłszy przy jego sterze, spoglądał ciekawie na oddalającą się ziemię.

— Poeci mają słuszną — rzekł poważnie — serce istotnie ściska się i drży, gdy się porzuca ojczyznę. Biedna stara Francjo! czyż jest kraj, któryby cię przewyższył w uroku swoim?... Tysiące podróżników przychodzi do ciebie w gościnę i tysiące ich zostaje na zawsze, aby cię nigdy nie opuścić.

— Zapominasz o Ameryce, Pinson; tam śpieszą setki tysięcy, jak do ziemi obiecanej.

— Szanuję Amerykę, przyjacielu; masz w niej zamieszkać, to powód dostateczny. Zwracam jednak twą uwagę na okoliczność, że owe setki tysięcy śpieszą do niej z konieczności; to zupełnie co innego. Do Francji przybywają Europejczycy, Azyjczycy, Afrykanie, nawet Amerykanie i Australczycy, a ciągną ich tu nasze obyczaje, nasz charakter narodowy, towarzyski, łatwy w pożyciu, nasze zbiory, szkoły, a wreszcie i nasza kuchnia. Droga Francjo, zaledwie przed kwadransiem porzuciłem cię i jeszcze mam przed oczami twoje wybrzeża, a już się lękam, czy cię nie stracę nazawsze!

Pan Pinson, rzekłszy to, począł się bacznie rozglądać w oddalających się coraz szybciej wieżycach kościołów miasta Calais i jego murach, których kształty rysowały się niewyraźnie we mgle. Jeszcze dojrzyć było można wspaniałe kontury ratusza i kościoła Panny Maryi, dwóch pięknych zabytków przeszłości, z których Kaletańczycy są tak słusznie dumni. Jakkolwiek niewydalał się on nigdy z Paryża, był mimo to nietylko

dzielnym inżynierem, ale i człowiekiem bardzo wykształconym. Znał on doskonale geografiją i historiją, a z nauk przyrodniczych posiadał wiele wiadomości. W tej chwili przypomniał sobie, że miasto Calais, którego światła już teraz mógł zaledwie dojrzyć, w r. 1347 ucierpiało wiele od oblężenia przez Edwarda III, króla Anglii, i wówczas świetnie broniło mu się pod wodzą Eustachego de Saint-Pierre. Po dwóch wiekach niewoli angielskiej, Calais, zawsze wierne Francji, dzięki waleczności Franciszka de Guise (Gwizyusza), sławnego już przez obronę Metz i bitwę pod Renty, powróciło do niej.

Pan Pinson, zwrócony ku nikiem w oddali wybrzeżom, dzielił się temi wspomnieniami z przyjacielem, który je ze swojej strony własnymi uzupełniał wiadomościami. Po niejakiem jednak czasie p. Boisjoli odpowiadał coraz krótszemi zdaniem, następnie już tylko potakiwał lub przeczył, a wreszcie zamilkł zupełnie. Wówczas p. Pinson zwrócił się ku niemu.

— Co tobie? — spytał nagle.

— Mnie?... nic.

— A jednak zbladłeś...

— Być może... trochę mi niedobrze, ale to przejdzie.

Pan Pinson spojrział na pokład i, zdziwiony widokiem który ujrzał, mruknął:

— A to ciekawe!

Istotnie, półgodzinna jazda zmieniła niezmiernie poprzednią scenę. W miejscu okrzyków, bieżaniny, zapy-

tań i odpowiedzi, które towarzyszą każdemu wyjazdowi, na pokładzie *Avonu* zapanowało teraz grobowe milczenie. Mężczyźni, kobiety i dzieci, o błędnych spojrzeniach, o zmienionych rysach twarzy, wybledli i oblani kroplami potu, siedzieli na ławkach lub zwojach grubych lin, wachając flakoniki z eterem, pomarańcze i cytryny. Dzięki sile wichru i kołysaniu się statku, choroba morska zapanowała już nad swemi ofiarami. Młody jakiś gentleman, ze szkiełkiem na oku, z cygarem w ustach, stał tryumfalnie na pomoście, jedną ręką trzymając się zwoju lin, aby zachować równowagę, drugą zaś usiłując zaprowadzić porządek w swojej fryzurze, którą wiatr nielitościwie burzył. Tu znowu mąż podtrzymał swą mdlejącą żonę, która wyglądała tak, jakby miała za chwilę skonać. Owdzie znowu dręczona chorobą morską matka nie mogła się już zajmować swoim synkiem; korzystając z przypadkowej swobody, urwis biegł z kąta w kąt, z pokładu na pokład, zaglądając wszędzie, płacząc się ustawicznie ludziom pod nogami.

Ale najopłakańszy obraz przedstawiali podróżni, usadowieni na wierzchu powozu. Pan i pani, niepodobni do siebie, z twarzami powykrzywianymi boleśnie, wychyleni na obie strony, przyzywali kolejno służących, ale ci biédacy byli w stanie, który ich najzupełniej upoważniał do obojętności na rozkazy państwa. Majtkowie, uśmiechnięci ironicznie, krążyli wśród ofiar choroby morskiej, które sądziły że się ich podróż nie skończy nigdy i że im przyjdzie rychło przenieść się do wieczności.

Pan Pinson nie śmiał się bynajmniej, widząc co się dzieje; miał na to zapoczcziwe serce, a bladość przyjaciela bardzo go niepokoiła.

— To fraszka—powtarzał p. Boisjoli;— znam ja się oddawna z temi przypadłościami... jeszcze od czasu méj podróży do Algieru, w której z niemi się zapoznałem. To tylko... lekkie przypomnienie. Ale ty, Pinson, zawsze jesteś szczęśliwy: odbierasz spadki i nie cierpisz choroby morskiej. Czy miałbyś odwagę postarać mi się w bufecie o szklanę grogu?... Zdaje mi się że mi to ulży.

Pan Pinson puścił się tedy na poszukiwania grogu; usiłował on iść po linii, o ile można, najprostszéj, ale kołysania statku były tak gwałtowne, że po chwili nasz dzielny inżynier, rzucony jak piłka, znalazł się na plecach jakiejś otyłej jejmości, która nie szczędziła mu za to... błogosławieństw. Cóż było robić... należało iść dalej, choć p. Pinson przekonał się z niemalém zadziwieniem, że każdy jego krok gdzieindziej go prowadził, niż iść zamierzał. Ha, od czego ostrożność i silna wola? Otóż p. Pinson, chwytając się lin, a w potrzebie i saméj nawet podłogi, walcząc z samotaniami i kołysaniem statku, po nadludzkiem prawie usiłowaniu, doszedł nareszcie do bufetu i tam kazał sobie podać szklanę grogu. Zdobywszy ją, trzeba było wracać. Wraca więc... ale zaledwie uszedł trzy kroki, gdy wtém steamer, uderzony przez potężny bałwan, skręca nagle na prawo, a p. Pinson, aby nie runąć, puszcza swą szklanę i siada na pokładzie. Grog wylał się na jakiegoś nie szczęśliwego pasażera, który oczekiwał dobrodusznie są-

du ostatecznego, a szklanka potoczyła się.... licho wie gdzie.

Odnalazłszy ją wreszcie, ale... próżną, p. Pinson, z miną straszliwie miłosierną i marząc o wygodach spokojnego mieszkania przy ulicy Nollet, zdążył znowu do bufetu i żąda drugiej szklanki grogu. Tym razem, przy niesłychanej ostrożności, udaje mu się w powrocie dosięgnąć wielkiego masztu i jest najpewniejszy że wszystko będzie jaknajlepiej, gdy jakiś gentleman, zbliżwszy się doń z niesłychaną grzecznością, odbiera mu niespodzianie grog i mówi najśłodszym tonem:

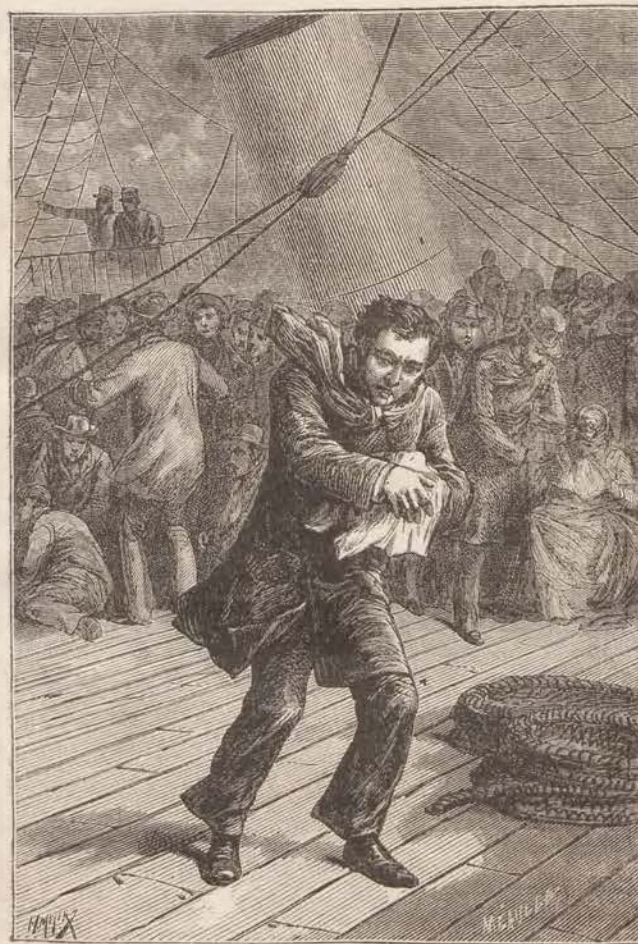
— Panie, dla mojej żony!

Pan Pinson, zanadto dobrze wychowany, aby w takich razach protestować, tém bardziej że blada miss, popijając grog, rzuciła nań spojrzenie pełne życzliwości, zawrócił znowu w stronę bufetu i po raz trzeci puścił się z pełną szklanką. Jeszcze tylko pięć kroków, a Bosjoli będzie posiadaczem napoju, gdy oto znowu jakaś dama, stając przed nieszczęśliwym Pinsonem, mówi doń głosem pełnym słodyczy i prośby:

— Panie, dla mojego męża!

Inżynier nie odrzekł ani słówka, chociaż ujrzał za chwilę, jak jakiś nieznany mu jegomość zapijał z miną obojętną grog, przeznaczony dla jego przyjaciela.

Pan Pinson, cokolwiek już zirytowany, puszcza się po raz czwarty do bufetu, ale tam żądają przedewszystkiem zwrotu szklanek, wziętych poprzednio. Chłopiec posługujący tłumaczy mu to w najczystszej angielszczyźnie, z której p. Pinson nie rozumie ani jednego słówka, odpowiada przeto w najczystszej... francuzczyźnie, z cze-



Inżynier starał się ukryć swą zdobycz.

go wynika, że obie strony nie mogą się przez długi czas porozumić; na szczęście zjawia się jakiś usłużny pasażer, który rzecz wyjaśnia. Inżynier dostaje czwartą szklanę i odchodzi, ale tym razem osłania ją starannie chustką do nosa, aby jej nikomu nie pokazać, bo słusznie przypuszcza, że na pokładzie Avonu znajduje się z tuzin mężów i żon, sióstr i matek i że Boisjoli, w rozpacz i oczekiwaniu na przyjaciela, może nigdy owego grogu nie dostać. Co prawda, p. Boisjoli cierpiał bardzo i potrzebował szybkiej pomocy, a straciwszy jej nadzieję, wzdychał do portu i klął cieśninę kaletańską, która zawsze daje się tak we znaki nowicyuszom żeglarzom i podróżnym, nienawykłym do morza.

Steamer wpłynął do portu w tej chwili właśnie, gdy p. Pinson znalazł się ze szklanką w ręku u boku przyjaciela. Rzucania się i kołysania statku nagle ustały, a p. Boisjoli, uleczony jakby przez czary, nie potrzebował już grogu, z takim wywalczonego trudem.

Nasi przyjaciele wylądowali i pośpieszyli za innymi podróżnymi. Przyzwyczajeni do tego, iż we Francji towarzystwa dróg żelaznych opiekują się bagażami podróżnych, skierowali się ku dworcowi kolejowemu, sądząc że wypada im tylko wsiąść do wagonu. Na szczęście jakiś współziomek ostrzegł ich dość wczesnie, że tu trzeba samemu odnaleźć swoje rzeczy i postarać się o dostawienie ich kolei; wrócili przeto i zaczęli poszukiwania. Panu Boisjoli wprędce się one powiodły, ale p. Pinson nie mógł na żaden sposób odnaleźć swjej torby. Po półgodzinném szukaniu ujrzał ją leżącą między rozmaitemi rupieciami na takiej wysokości, że potrzeba było

drabiny, aby ją ztamtąd wydostać. Nie podobała im się bardzo niedbałość o podróżnych, jaką tu spotkali, a p. Pinson zrobił uwagę, że praktyczni Anglicy mogliby się nauczyć niejednej rzeczy od sąsiadów, którzy w ich przekonaniu uchodzą za niedołęgów.

Przyjaciele siedzieli wreszcie w wagonie, unoszeni przez pędzącą lokomotywę; była już noc, nie można było nic widzieć, ale nasi inżynierowie zauważyli, że pociąg bieży w lekkich podskokach, kołysze się i drży.

— I cóż ty na to?—spytał p. Pinson.

— Zdaje mi się że nie zniwelowano dostatecznie gruntu.

— Ale pędzimy lotem ptaka!...

— To prawda.

— Dzięki tej swobodzie, której nie kontroluje władza, trzymająca nas tak drobnostkowo na swoim opiekuńczym pasku.

— Niech żyje władza!— odrzekł p. Pinson. — Jęj kontrola pozwala nam jeździć bezpiecznie i... nie skrećić karku.

W dwie godziny później podróżni nasi wysiedli w Londynie, w którym panowała obecnie ogólna zmowa woźniców. Zakłopotani wielce, co robić ze sobą, wyszli z dworca i, dzięki Bogu, spostrzegli znak który wyobrażał wspianiałego lwa, z napisem u dołu:

„Tu mówią po francuzku.“

Ku temu znakowi udali się natychmiast.

III.

HOTEL POD LWEM CZERWONYM.

Nasi podróżni, uradowani że znaleźli to, co im tak niezbędnie potrzebne, w bramie hotelowej wesołemi okrzykami nawoływali służbę, która jednakże nie ukazywała się wcale.

— Od chwili wyjazdu z Calais—odezwał się p. Pinson, widząc że nikt nie nadchodzi—miałem już ze dwadzieścia razy sposobność serdecznie żałować, że nie umiem przynajmniej z kilkunastu zdań angielskich, za co chętnie oddałbym swoją greczyznę i łacinę. Musimy wyglądać bardzo głupio, słuchając syczących i świszających dźwięków szlachetnej mowy Szekspira i nierozumiejąc z niej ani słówka. I prawdziwie, ile razy pomyśle, że ty, kochany Boisjoli, nie znasz tego języka, strach mnie przejmuje na wspomnienie o losie, jaki cię czeka.

— Od dwóch tygodni pracuję nad nim bez odpoczynku i znam już wcale pokaźną liczbę zdań i rozmów, których jednakże dotąd nie miałem okazji użyć.

W tej chwili naprzeciw naszym podróżnym wyszedł jakiś gruby człowiek z potężnym brzuchem, z rudemi faworytami, wygolonym podbródkiem, i zbliżywszy się, zadał im jakieś angielskie pytanie.

— Chcemy jeść i spać—odparł Boisjoli;—jesteśmy Francuzi i rozumiemy bardzo mało po angielsku

Jegomość z rudemi faworytami odpowiedział na to jakimś pełnym uprzejmości zdaniem, do którego dołączył wykwintny ukłon

— I cóż?— spytał Boisjoli.

Gospodarz hotelu znów coś wyrzekł, czego nasi przyjaciele bynajmniej nie zrozumieli.

— Jesteśmy Francuzi i nie mówimy po angielsku — odpowiedział p. Pinson.

Jegomość znów się uklonił, z pełnym słodyczy uśmiechem, a następnie, podnosząc głos, jakby mówił do głuchych, wyrzekł:

— *Pray, give your ordres, gentlemen* ¹⁾.

— Jesteśmy Francuzi!... — krzyknął p. Pinson z całych sił.

— Jesteśmy głodni i chcemy jeść!... dodał p. Boisjoli.

— I spać!... — a wyrzekłszy te słowa, p. Pinson złożył głowę na dłoniach, chcąc gestem wyjaśnić ich znaczenie.

Rudy jegomość, sądząc że pana Pinson bola zęby, z wielką uprzejmością zalecał mu płukanie z jałowcu, a wszyscy trzej, w nadziei że będą przez to lepiej zrozumiani, krzyczeli coraz głośniej. To nieporozumienie mogłoby potrwać bardzo długo, gdyby nie jakiś gość hotelowy, który zbliżył się i zapytał po francuzku, o co chodzi.

— Przyszliśmy tu, zachęceni przez znak, który opiéwa iż się tu w naszym języku rozmówić można, bo, niestety, ani ja, ani mój towarzysz nie umiemy po angielsku. Chcemy się posilić i przespać.

1) Bardzo proszę rozkazujcie panowie.

— Służący który mówi po francuzku, jest w tej chwili nieobecny — objaśnił ich nieznajomy po chwilowej rozmowie z gospodarzem — ale już oświadczyłem o co panom chodzi właścicielowi *Czerwonego lwa* i niebawem woli waszój stanie się zadosyć.

Zaprowadzono tedy naszych podróżnych do numeru, gdzie znajdowały się dwa wąziutkie łóżka. W półgodziny później, obsłużeni przez młodą i uśmiechniętą Irlandkę, posilili się szynką i butelką piwa angielskiego, zwanego „ale“, co im musiało na teraz wystarczyć. Około północy, narzekając na wąskość łóżek, twardość materacy i zupełną nieobecność poduszek, umordowani drogą i zniechęceni niepowodzeniem — nasi dwaj przyjaciele zasnęli.

Słońce było już wysoko, gdy pan Pinson otworzył oczy; zdziwiony spojrział wokoło.

„Ach! — pomyślał — przypominam sobie! Nie jestem we własném mieszkaniu przy ulicy Nollet, ale w stolicy Anglii. Pomiędzy mną a Batignolles jest morze. Istotnie, trzeba było na to całej przyjaźni mojej dla tego zacnego Boisjoli, ażeby wydalić się choćby na godzinę z Paryża, gdzie restauratorowie jeżeli źle mówią po francuzku, to przynajmniej wybornie rozumieją, co się do nich mówi.“

Boisjoli obudził się; przyjaciele przez czas jakiś przypatrywali się przechodniom przez okno, podobne do gilotyny, wąskie, niewygodne, którego kształt mógł się tylko przechować w silnie zachowawczej Anglii. Gdyby nie ciemne i zadymione ściany domów i krzyki dziwa-

czne na ulicach, nasi podróżni mogliby zapomnieć, że nie są w Paryżu.

P. Pinson zadzwonił.... ukazała się uśmiechnięta Irlandka.

— Czy służący, który mówi po francuzku, powrócił już?—zapytał wchodząc.

Ona słuchała bacznie, skloniła się z wyrazem potakiwania i wyszła. Po trzech minutach wróciła z miednicą, pełną ciepłej wody.

— I to się przyda— rzekł p. Pinson—ale przyslij nam także służącego, który mówi po francuzku. Służące-go!! czy rozumiesz?

— *Yes, sir.*

Irlandka wyszła znowu. Podczas jej nieobecności, p. Pinson i jego przyjaciel, korzystając z przyniesionej wody, ogolili się i poczeli ubierać. Około dziesiątej, gdy nikt nie przychodził, weszli do sali jadalnej i znaleźli się w towarzystwie półtuzina Anglików, zajętych tłuczeniem gotowanych na twardo jaj.

Gospodarz podszedł ku nim.

— Czy służący zapowiedziany już wrócił?—spytał go p. Pinson.

Gospodarz z uśmiechem najmiłszym, na jaki się mógł zdobyć, wyjął z kieszeni swego surduta kartkę i podał mu ją. Na karcie napisano słowa następujące: „Służący francuzki nie może powrócić, jak dopiero po południu; gospodarz prosi szanownych panów, aby byli dlań względni i mieli cierpliwość.“

— Miějmy więc cierpliwość!—zawołał Boisjoli, zanosząc się od śmiechu.

— I jédzmy....—dodał p. Pinson.

Młoda Irlandka tymczasem postawiła przed nimi tacę z imbrykiem od herbaty, czterema jajami i kilkoma kawałkami chleba z masłem.

— Podaj nam kartę!—rzekł p. Pinson.

— Czy rozumiesz? kartę z jadłospisem! — dorzucił p. Boisjoli.

— Kar-tę— powtórzyła machinalnie Irlandka, nie rozumiejąc o co chodzi.

A następnie pokręciła głową, na znak że nie wie o czém mowa.

— Ależ jesteśmy naiwni—rzekł p. Pinson.— Karta napisana po angielsku i do niczego nam nie posłuży. Słuchaj-no, Boisjoli, a czy między zdaniami, które umiesz, nie znajdują się odpowiednie do chwili obecnej?

— I owszem: mogę zadysponować zupełną zółwiową, *plumpudding* i królika....

— Otóż masz! wyborna angielszczyzna, lecz w porze obiadowej; teraz., schowaj ją sobie. Karol V miał racją, kochany przyjacielu, twierdząc że się jest tyle razy człowiekiem, iloma językami obcemi się mówi, i rozumie teraz wybornie, dlaczego to panowie Niemcy i Anglicy¹⁾ z takim lekceważeniem nas traktują. Jeżeli będę miał kiedykolwiek dzieci, będę je ciągnął z całego serca za uszy, aby je zmusić do nauczania się angielszczyzny.

1) Tylko nie Anglicy, bo ci właśnie rzadko kiedy znają obce języki. (Przyp. tł.)

— A gdybyśmy tak zażądali befsztyku? — wtrącił zakłopotany Boisjoli.

— Prawda; wyborna myśl! Słowo „beefsteak“ jest angielskie i tym razem niezawodnie zrozumieją nas.

Dano tedy znak małej Irlandce, która się natychmiast zbliżyła.

— Beefsteak!... — wrzasnął jej w ucho p. Pinson — beefsteak z kartoflami, czy rozumiesz?

Irlandka zrozumiała i dowiodła tego uśmiechem. Zrozumiała tak wybornie, że po upływie pięciu minut postawiła przed przyjaciółmi potężny kawał świeżej wołowiny i kartofle gotowane na wodzie.

Nasi towarzysze byli za rozsądni, aby się gniwać; mięso było bardzo apetyczne, jedli więc obficie i popijali piwem, tak wybornym, jak najlepsze wino. Powstali od stołu w doskonałym humorze, około południa i wyszli na miasto, aby je zwiędzić.

Przeciwieństwo, jakie istnieje między Londynem a Paryżem, dało im się wkrótce odczuć. Jeżeli Londyn jest rozległy, Paryż jest zato piękniejszy, weselszy i lepiej zbudowany. Londyn jest potężnym grodem robotników — Paryż wykwintną siedzibą przyjemności. Londyn jest olbrzymią kuźnią, składem towarów, żelaza i węgla; Paryż stroi się w pióra, jedwabie i kwiaty. Niepodobna znaleźć dwóch miast, któreby były tak blizkie sobie przez oddalenie, a tak dalekie przez powierzchowność i obyczaje. Nasi dwaj przyjaciele krytykowali trochę, uwielbiali dużo, a... chodzili cały dzień. O godzinie szóstej wieczorem znaleźli się w restauracji francuskiej, gdzie mogli obiadować według woli i własnego

wyboru. O ósmej znaleźli się w teatrze na przedstawieniu jednego z dramatów Szekspira, ale, umordowani całodziennym chodzeniem, nie mogąc zrozumieć ani słowa z tego, co mówili artyści na scenie, przedrzymali prawie cały wieczór w swoich krzesłach i zbudzili się z końcem widowiska.

Na ulicy, prowadząc się pod ręce, nasi przyjaciele gawędzili wesoło o tém, co widzieli i słyszeli. Tak rozmawiając, szli sobie naprzód, skręcali na lewo lub na prawo, wedle tego jak im było wygodniej, i nie troszczyli się bynajmniej o to, gdzie zajądą. W pewnym oddaleniu od teatru, ulice były coraz pustsze i bardziej milczące. Londyn, surowy rękodzielnik, kładzie się wcześniej spać, nie jak Paryż, który czuwa noc całą.

— Kiedyż my u licha zajdziemy? — rzucił pytanie p. Pinson.

— Właśnie miałem cię o to zapytać — odrzekł pan Boisjoli.

— Jakto, więc ty nie wiesz?

— Zkądżeż mam wiedzieć. Jestem dopiero od wczoraj w Londynie i nie postaćem tu nigdy.

— A gdzież mnie u licha prowadzisz?

— Jest to właśnie pytanie, które zadać ci chciałem. Idziesz z taką pewnością, że byłem najzupełniej spokojny...

— Ależ ja tylko pozwalałem się prowadzić!

Dwaj inżynierowie stanęli.

— Doprawdy — rzekł p. Pinson — powietrze staréj Anglii usposabia nas do robienia głupstw.

— Mamy nauczkę, abyśmy uważali na przyszłość, jaką drogą idziemy.

— Gdzież jesteśmy?

— W Londynie, to wiem z pewnością — odparł Boisjoli.

— W jakiej dzielnicy?

— Cóż nam z tego, przyjacielu, gdybyśmy to nawet wiedzieli? Jedynym naszym zadaniem jest odnalezienie *Czerwonego lwa*.

— A czy wiesz przynajmniej w której on leży stronie?

— Wiem tylko, że znajduje się w pobliżu dworca kolejowego.

— Tak, a jak się ten dworzec nazywa?

— To prawda, jak się u licha nazywa? — powtórzył Boisjoli. — Trzeba się pytać.

— Kogo?... patrz, ulice puściuteńkie, i o co wreszcie? Trzeba wpiérw wiedzieć, ile jest dworców kolejowych w Londynie, a zresztą nie wiemy, jak jest po angielsku *dworzec*.

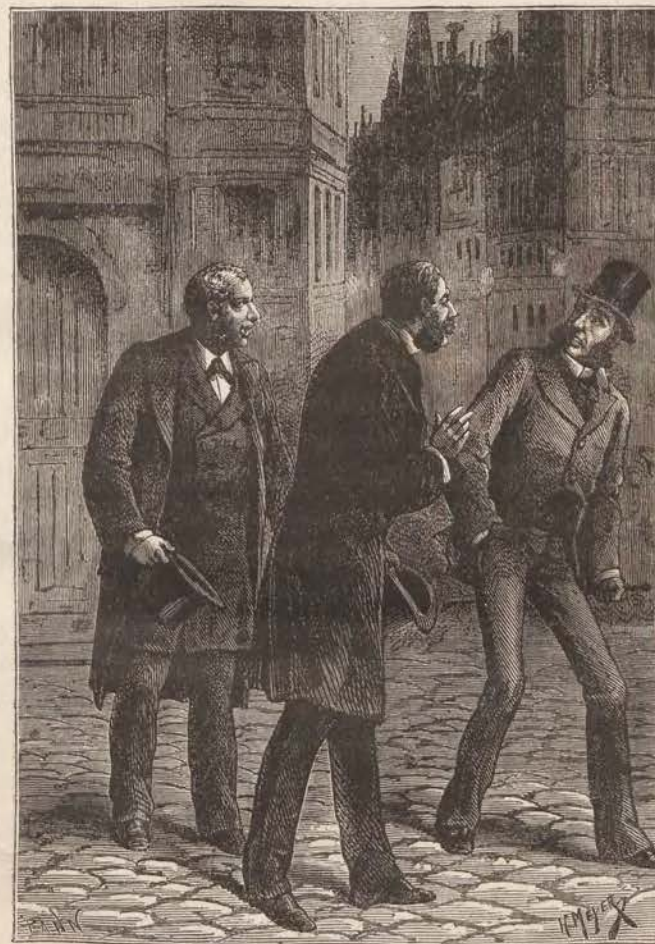
— I to prawda — odparł Boisjoli.

Pinson spojrział na zegarek.

— Pół do piérwszej — rzekł; — o téj godzinie zwykle już sypiam.

Oddalone kroki dały się słyszeć; na ich odgłos nasi przyjaciele uciekli. Jakiś przechodzień zbliżał się. Wkrótce, gdy już był bardzo blisko, Pinson i Boisjoli, zdjawszy kapelusze, podeszli ku niemu.

— Przepraszam — rzekł Boisjoli — czy nie mógłbyś nam pan wskazać...



Przechodzień zdawał się niepokoić...

Nieznamy podwoił kroku.

— Szanowny panie— odezwał się z kolei Pinson.

Przechodzień zdawał się być zaniepokojonym i spojrział wokoło.— Następnie, sięgnawszy do kieszeni, wyjął kilka su i, rzuciwszy je zdumionym przyjaciółom, krokiem gwałtownym począł się oddalać.

— Bierze nas za żebraków— szepnął Boisjoli.— Panie!—zawołał głośno—hej, zacny panie!...

Tymczasem przechodzień, będący już daleko, począł biedz, wołając:

— *Stop thief! stop thief!* (Złodzieje, na pomoc!)

W cieniach nocy znikł wreszcie, a p. Pinson rzekł:

— Cudownie! Ten dzielny Londyńczyk, utraktowawszy nas jak żebraków, wziął nas następnie za złodziejów, to widoczne! Czy wyobrażasz sobie nasze położenie w razie, gdyby tak policyant, w imieniu jej królewskiej mości, położył na naszych ramionach swoje godne szacunku dłonie? Jak też byśmy dowiedli naszej niewinności i pytali o drogę? W dniu, w którym powrócę do Paryża, zamawiam sobie nauczyciela języka angielskiego i dopóty będę się męczyć nad tą szlachetną mową, dopóki nie będę się nią mógł posługiwać, jak rodzony Anglik.

— A tymczasem idźmy.

— Idźmy... ale gdzie?

— Ha, na los szczęścia; może wreszcie znajdziemy kogoś, co nam wskaże...

— Ach Boisjoli, nie jest-że to potężnym głupstwem rzucać spokojną ulicę Nollet, aby zginąć o północy w mieście trzy razy większym niż Paryż, i to jeszcze nie znając języka!...

— Naokoło nas trzy miliony ludzi zasypiają, mój przyjacielu, a czy przebudzą się wcześniej, czy później, zawsze znajdzie się ktoś, co nas z obecnego kłopotu wybawi.

— To znaczy że proponujesz, abyśmy przenocowali na bruku?

— Jeżeli jesteś zmęczony, usiądźmy nad rynsztokiem.

— Boisjoli, twój spokój doprowadza mnie do rozpaczyl...!

— Mój drogi, niema rady... Niecierpliwość i gniew nie tu nie pomoga.

— Chodźmy—zawołał p. Pinson; — nie myślę stać tu do rana.

— Gotów jestem ręczyć, że kręcimy się w okolicy naszego hotelu — odrzekł Boisjoli. W podobnych wypadkach bywa tak zawsze. Ale... czy słyszysz?

Jakieś kroki dalekie zachęciły naszych przyjaciół do puszczenia się naprzód; śpieszyli aby się zetknąć z nowym przechodniem, usiłując tak się zachować, aby go najściem swoim nie odstraszyć. Wkrótce też spostrzegli kilkonastoletniego chłopca, który, ujrawszy ich, przebiegł na drugą stronę ulicy, aby zejść z chodnika, którym się oni zbliżali. Młody jego głos nucił następujące słowa po francuzku:—

„To matka Michel krzyczała przez okno,

„Że jój gdzieś przepadł ukochany Milus...!”

— Héj, mały! — wykrzyknęli jednocześnie obaj towarzysze głosem pełnym radości.

Chłopiec stanął, obejrzał się, a następnie czyniąc gest żołnierza, nadstawiającego bagnet w pozycji obronnej, zawołał:

— Kto idzie!

IV.

Z Y W E - S R É B R O

— Przyjaciele!—odrzekł Pinson, kierując swe kroki w stronę chłopca.

— Nie zbliżajcie się —zawołał on— albo natychmiast drapnę wam z przed nosa! Już po północy, prześwietni panowie, a ponieważ moja kieszeń jest puściuteńka, nie mogę wam przeto nic ofiarować. Kto jesteście i czego chcecie?...

— Chcemy zapytać się o drogę, przyjacielu, bośmy zabłądzili.

— Ho ho! zabłądziliście w Londynie— odrzekł ironicznie chłopiec. — Nie mnie prawić takie brednie! Do widzenia!

— Ależ wstrzymaj się—woła Pinson— jesteśmy ludzie uczciwi i mówię ci najoczywistszą prawdę. Pomówmy zdaleka, jeżeli nam nie ufasz, ale nie rzucaj nas bez wskazówki.

Chłopiec znów stanął,

— Cóż u licha—rzekł—przecież macie języki i mogliście się już dawno spytać kogokolwiek o swoją drogę.

— Jesteśmy dopiero od wczoraj w Londynie i ani ja, ani mój przyjaciel nie mówimy po angielsku. Zaczepiliśmy przed chwilą jakiegoś przechodnia, który nas nie zrozumiał i wziął nas za żebraków i złodziei.

— Wyborny żarcik! — wykrzyknął ze śmiechem chłopiec, i, z niemalém zdziwieniem obu przyjaciół, wykonał przy tych słowach skok, znany w cyrkowej terminologii pod nazwą „salto mortale.“

— No, zaraz się o tém przekonamy—dodał, zwracając się do p. Pinson.— Gdzie pan mieszka?

— W Batignolles, przy ulicy Nollet—brzmiała odpowiedź.

— To daleko... nie mam czasu was tam prowadzić! Chcielibyście mnie wywieźć w pole, ale to nie dla mnie! Do widzenia!

— Jakież głupstwo palnąłem—mruczał p. Pinson.— Stój, czekaj!—zawołał głośniej — ja bynajmniej nie żartuję i ofiaruję ci sto su.

— Za wędrowkę do Batignolles?... ślicznie dziękuję!

— Za zaprowadzenie nas do hotelu pod *Czerwonym lwem*, w którym zamieszkaliśmy od chwili przyjazdu do Londynu.

— Moi panowie, jest tutaj ze setka hotelów tej nazwy; na której ulicy się on znajduje?

— Na jakiej ulicy?...—pyta p. Pinson towarzysza.

— Słuchaj mały — rzekł Boisjoli — ponieważ nie umiemy mówić po angielsku, nie przeto dziwnego żeśmy

nie mogli zapamiętać nazwy ulicy, wiemy tylko że leży ona w pobliżu dworca kolejowego.

— A którego dworca? Londyn ma ich kilkanaście.

— Tego, w którym się staje, przybywszy z Paryża.

— Acha, już wiem, to *London-Bridge-station!* Jesteśmy od niego o pół milki, nie więcej; nie leży on wprawdzie na mojej drodze, ale jeżeli istotnie macie mi panowie zamiar dać owe sto su...

— Oto masz natychmiast zadatek, rzekli z pospiechem dwaj przyjaciele, zatapiając jednocześnie ręce w kieszeniach i podając mu pieniądze.

— Hm, więc wy naprawdę jesteście poczciwi ludzie! Ale was jest dwóch, a ja... jestem podejrzliwy cokolwiek, dlatego, téż chciéjcie mi tu rzucić owe pieniądze, abym miał pewność.

— Wybornie—i p. Pinson rzucił sztukę złota pod nogi chłopcu.

— Szlachetny dźwięk—odrzekł mały akrobata—ale widzę że ta sztuka warta jest dwa franki i pięćdziesiąt centymów, nie zaś pięć, jak było umówione.

— Dopłacimy ci resztę w hotelu.

— Dobrze, zgadzam się na to, zacni Paryżanie,— a teraz w drogę!

I, zrobiwszy owo „salto mortale,“ chłopiec wesoło poszedł naprzód. Szedł ciągle środkiem ulicy, wtój samej linii co i nasi znajomi, nie spuszczać ich ani na chwilę z oka. Był odziany bardzo ubogo, spodnie miał cokolwiek zakrótkie, a na głowie mały okrągły kapełusz. W postaci jego przebijała pewna wykwićność, śmiałość i zręczność, a towarzyszyły im żywy wyraz

czarnych oczu, usta zdradzające dowcip wrodzony i ciemne kręjące się włosy.

— Czy jesteś Francuzem?—spytał go po chwili pan Pinson.

— Tak, panowie; urodziłem się w Paryżu.

— I oddawna przebywasz w Londynie?

— Od lat trzech.

— Czy uczysz się tutaj jakiego rzemiosła?

— Nie; robię co mogę, czekając aż dorosnę.

— A czém się zajmują twoi rodzice?

— Nie mam już rodziców; matki swój nie znałem, a mój ojciec umarł w pół roku po przybyciu do Londynu.

— Biędne dziecię!— rzekli jednocześnie obaj towarzysze z takim szczerem współczuciem, że chłopiec, pozbywszy się odrazu swój nieufności, znalazł się tuż przy ich boku.

— Jak się nazywasz?—spytał go Boisjoli po chwili milczenia.

— *Quick-Silver* (Żywe Srebro).

— Ale to nie jest imię francuzkie—zauważył Pinson.

— Nie, to tylko przydomek. Anglicy nie są zbyt ruchliwi; spokój, to ich siła, kiedy tymczasem ciągły ruch jest siłą moją. Dlatego to właśnie przezwano mnie Żywem Srebrem.

— A jakież jest twoje imię chrzestne i nazwisko?

— Wiktor Brigaud; tak przynajmniej twierdzi matka Pitch.

— Czy to twoja krewna?

— Nie; co do krewnych, posiadam wuja w Bordeaux, ale nie znam nawet jego adresu. Matka Pitch jest wdową po marynarzu; dzielne to kobięcisko! Kiedy mój ojciec umarł, a ja znalazłem się na bruku, zaprowadziła mnie ona do swego ubogiego mieszkania.

— I czy opiekuje się tobą?

— Nie, panie; jest na to zbyt uboga. Zaprowadziła mnie tedy do swój stancyjki, ażeby mnie utulić w żalu, i przez osiem dni żywiła mnie i pozwoliła u siebie nocować. Po upływie tego czasu, gdy mogłem już pomyśleć bez płaczu o moim biędnym ojcu, poczciwa matka Pitch przedstawiła mi w serdecznych słowach własne i moje położenie. Była biędna, bardzo biędna, co do mnie zaś, pozostałem bez żadnych środków do życia. Powiedziała mi więc: „Musisz pracować, aby żyć; możesz się tu u mnie przesypiać, a gdy będę mogła, czasem, ale zapewne bardzo rzadko, podzielę się z tobą ziemniakami i szklanką piwa.“ I czyni to, ile razy czynić może.

— Czy oddajesz jój pieniądze, jakie ci się uda zarobić?—

— Nie, zwracam jój tylko to, co na mnie wydaje. Jeżeli mi się trafi jaki dobry zarobek, kupuję jój spódnicę, rękawki ciepłe na zimę, wędlinę za którą przepada, i napełniam jój szklankę wybornem piwem. Gdy zarobek mój jest mały, albo żaden, mogę się zawsze napewno spodziewać, że matka Pitch nie poskąpi mi pełnego talerza i słowa zachęty.

— Czém się zajmuje ta zacna kobięcina?

— Skubie włosie do materaców; jest już tak stara, że nic innego robić nie może.

— Czyś się nigdy nie dowiadywał o krewnych, których masz we Francyi?

— Wiem tylko że mieszkają w Bordeaux, oto wszystko.

— Czy są biedni?

— Bogaci, tak bogaci, jak nim był mój ojciec. Przypominam sobie że w naszym domu w Paryżu były bony i liczna służba, a nawet był i stangret. Mój ojciec, zrujnowany nie wiem z jakiej przyczyny, przeniósł się do Anglii; miał nadzieję że tu zdoła odzyskać to, co w Paryżu stracił, ale śmierć zaskoczyła go niespodzianie.

— Umiész czytać?

— Tak, panowie; umiem także pisać i rachować.

— Jakże tu pędzisz swoje życie? — spytał z kolei Boisjoli.

— Spełniam rozmaite polecenia, pomagam przy lądowaniu okrętów, a najczęściej cowieczór jestem zajęty u Astley'a, jako figurant.

— Któż-to jest Astley?

— Jest to Franconi w Londynie ¹⁾.

— Więc ty jesteś akrobatą? — pytali jednocześnie nasi przyjaciele, przypomniawszy sobie dwukrotne „salto mortale“ chłopca.

— Dotąd jeszcze nie, ale się uczę. Zaczynam już

1) Franconi jest właścicielem cyrku w Paryżu.

trzymać się niezle na koniu, a w koziołkach przewyższam swoich kolegów.

— Czy jesteś poczciwym?

— Tak sędzę — odparł Żywe Srebro, patrząc z prostotą w oczy mówiącemu. — W kilka tygodni po śmierci ojca pracowałem z innymi chłopcami nad przesypywaniem węgla; zauważyłem wówczas, że mają oni zawsze więcej pieniędzy, niż zarobić mogą. To mnie dziwiło. Jeden z nich wyznał mi w sekrecie, że pieniądze pochodzą z kradzieży, że to rzecz wcale łatwa i on mnie tego nauczył. Nie chciałem o tém słuchać. Powiedziałem to później matce Pitch; odrzekła mi, że tysiąc razy lepiej umrzeć z głodu, niż jadać dobrze za kradzione pieniądze, zaklinając mnie na pamięć ojca, wymogła przyrzeczenie że zawsze będę uczciwym. Tak, panowie, przyrzekłem i dotrzymuję święcie obietnicy, a ile razy wrócę na spoczynek, matka Pitch tak usilnie uczy mnie, jak odróżniać dobre od złego, że się nigdy pod tym względem pomylić nie mogę.

Opowiadanie dzielnego chłopca tak żywo zajęło naszych podróżnych, że najzupełniej zapomnieli o długości drogi i położeniu własnem; zdziwili się tedy niezmiernie, gdy naraz przewodnik ich zawołał:

— Panowie, otóż i *London-Bridge station!*

Pinson i Boisjoli poczuli się rozglądać, ale cisza nocny taką tu sprawiła różnicę widoku, który inaczéj przedstawiał się podczas dnia, gdy ruch i hałas życia mu nadawały, iż nie mogli się narazie zorientować. Żywe Srebro rozsądnie i cierpliwie doprowadził ich aż do samej bramy, przez którą weszli od strony dworca kolejowe-

go, a następnie z wolna wskazał im wszystkie cechy miejscowości, co im ją wybornie przypominało. Chłopiec ujął następnie młotek wiszący przy wejściu i uderzył nim kilkakrotnie u drzwi, po czym ukazał się w nich otyły jegomość z rudymi faworytami. Wysłuchawszy opowieści o wydarzeniach, które przypadły wciągu dnia w udziale naszym przyjacielom, gospodarz uśmieł się serdecznie.

— Zapytaj go, czy służący Francuz powrócił nareszcie?—rzekł p. Pinson.

Żywe Srebro, po dłuższej rozmowie z gospodarzem, oświadczył naszym podróżnym, że służący będzie na ich usługi od jutrzejszego rana. Następnie krzyknawszy wesolo „dobranoc!“ puścił się szybko z powrotem.

— Ach, nareszcie!—odezwał się p. Boisjoli, siadając na wygodnym fotelu w numerze hotelowym.—I cóż ty myślisz, Pinson, o naszych awanturach dzisiejszych?

— Myślę, mój kochany, że jesteśmy prawdziwymi bohaterami z krotchwili i że wszystko, co mnie spotkało od chwili wyjazdu z ulicy Nollet, zarówno jest bajeczne, jak dziwne.

— W podróży bywają rozmaite wypadki powtarzam ci to ciągle.

— Tak... bywają i straszliwe umęczenia; czuję to i obiecuję sobie spać, jak zabity.

Tymczasem, zamiast pójść do łóżka, p. Pinson w zamysleniu przyglądał się swemu towarzyszkowi, który się rozbięrał.

— O czém tak myślisz, Pinson?

— O tym małym diable, który nas doprowadził

tego wieczora, a raczej tego rana, do naszych łózek. Czy wiesz, ten chłopiec żywo mnie zajmuje. Co za ruchliwość, bystrość umysłu, jakie wejrzenie miłe, jasne i swobodne! Żałuję że odszedł tak szybko.

— Czemu?

— Chciałem go jeszcze wypytywać. Podobał mi się bardzo. To dziecko, rzucone na bruk wielkiego miasta, jest naszym ziomkiem. Ma krewnych, a jestem pewny że odnalazłszy ich, wieleby na tém zyskał. Obecnie żyje w nędzy! Zczasem któż wie, czy namowy, pokusy i złe przykłady nie przemogą dobrych rad, jakich nie skąpi poczciwa jego opiekunka. Jest-to umysł którego szkoda, który ginie, lub zginie kiedykolwiek... warto go ratować!

— Wybornie, Pinson, otóż to myśl godna ciebie! Po powrocie z Liwerpoolu, jeżeli istotnie policya tutejsza zasługuje na to, co o niej mówią, przy jęj pomocy nietrudno ci będzie chłopca odnaléć. Jest on tak roztropny, że może ci udzielić pewnych wskazówek, które dopomogą ci do odnalezienia jego rodziny.

— Zrobię to, Boisjoli, zrobię to w twojem imieniu; ten dobry uczynek przyniesie ci szczęście w przyszłych pracach i zamiarach!

— Dziękuję ci z całego serca! — odrzekł Boisjoli, podając rękę przyjacielowi.

P. Pinson, nie chcąc się dłużej opierać zmęczeniu, położył się do łóżka i prawie natychmiast zasnął. We śnie widział Żywe Srebro, który wywracał ulubione kociołki, a następnie opowiadał głosem słodkim i sympatycznym smutne wydarzenia swojego życia.

Dzień był oddawna, gdy p. Pinson obudził się; jego towarzysz wstał wcześniej i ubierał się.

— Czy to istotnie promienie słońca przedzierają się przez nasze okno?—spytał inżynier, przecierając oczy.

— Najistotniej—odrzekł Boisjoli—mogę ci to zaręczyć. Tak jak ty, a zapewne i wielu podróżujących Francuzów, wątpiłem o tém przez chwilę. Promienie te są jakby wyrobem przemysłu angielskiego... obliczono je przedewszystkiém na oszczędność. Różowa jednak plamka, która świeci na ścianie, dowodzi że matką ich jest rzeczywiście słońce.

— Czy już dzwoniłeś?

— Nie jeszcze.

— Boisjoli, nie odznaczasz się wcale ciekawością.

— Dlaczego?

— Mojem pragnieniem jest ujrzeć raz nareszcie owego służącego Francuza, którego oczekujemy od czterdziestu ósmiu godzin.

— Podejrzywasz, jak i ja, że...

— Zadzwoń, nie przewidujmy nic.

Boisjoli pociągnął za taśmę; na korytarzu dały się słyszeć lekkie kroki.

— Aha!... nasza nadobna Irlandka — rzekł p. Pinson—jestem tego pewny!

— I pomylisz się.

Drzwi otwarły się szybko, a wnet na środek pokoju wyskoczył z nich Żywe Srebro, który, wywróciwszy zgrabnego koziołka, rzekł z ukłonem:

— Otóż jestem, panowie!



Otóż jestem panowie.

W L O N D Y N I E.

Żywe Srebro, przybrany w nowe suknie, z białym kołnierzykiem u koszuli, w spodniach niezasługujących na zarzut z powodu długości, wyglądał wcale pokąźnie; dzisiaj wydał się naszym przyjaciółom bardziej jeszcze zajmującym, niż dnia poprzedniego.

— Wybornie! — wykrzyknął p. Pinson, zmierzwszy go wejrzeniem — ale z kądże się tu wzięłeś? Czyś się czasem nie zapisał do szeregu służby hotelowej?

— Tak, panowie, od wczoraj. Służący, który bywa zazwyczaj kornakiem dla cudzoziemców... ¹⁾.

— Kornakiem?!... — zawołał Boisjoli.

— Przewodnikiem — poprawił się żywo chłopiec — przepraszam. Otóż ten służący jest... *zcięty* i nie może od trzech dni ustać na nogach. Jeżeli się panowie zgadzacie, ja tymczasem pełnić będę jego obowiązki.

— Domyslałem się — wtrącił z uśmiechem p. Pinson — że ten służący nie istniał nigdy.

— Ha, to sprawa gospodarza hotelu — odrzekł chłopiec, spuszczaając oczy. — A teraz co panowie rozkażecie? Słyszałem dzwonek i przychodzę po wasze rozkazy.

— Przedewszystkiēm chcemy wypłacić ci twą należność, boś nam nie zostawił czasu do zrobienia tego wczoraj.

1) Kornak, przewodnik słońców.

— Było już bardzo późno; matka Pitch niepokoiła się o mnie, a ja przecież wiedziałem, gdzie panów szukać.

— A zatem jesteś na nasze usługi i wyłącznie tylko na nasze?

— Na calutki dzień!

— A znasz dobrze Londyn?

— To przecie nietrudno.

— Nie podzielam twego zdania. Miasto mające trzy miliony ludności, złożone z siedmiu dzielnic, w którym mówi się tylko językiem... Ale mniejsza o to! Czy wiesz co tu jest ciekawego do widzenia dla cudzoziemców?

— Doskonale! przedewszystkiē: *Zoological Garden*.

— Mów po francuzku, przyjacielu. Z nami jest to rzecz konieczna.

— *Zoological Garden* znaczy toż samo, co *Jardin des Plantes* w Paryżu. Jest to Ogród zoologiczny, w którym widzieć można najrozmaitsze zwierzęta z różnych stron świata, a wszystkie żywe, żywiuteńkie.

— Dobrze. Cóż więcēj?

— Jest kościół Świętego Pawła, niby drugie Notre Dame Paryża.

— Dalēj?...

— Colosseum, pałac kryształowy, muzeum brytańskie, Westminster, Izba gmin, Izba lordów, galerya królewska, obserwatoryum astronomiczne w Greenwich, kolumna Nelsona, Tower¹⁾...

1) Tower, wieża więzienna.

— Dosyć—przerywa p. Pinson;—mamy tylko dwa dni do rozporządzenia, ani chwili więcēj. Przedewszystkiēm zaprowadzisz nas do Św. Pawła, a potēem zobaczymy.

— Chociaż najciekawszym ze wszystkich tych rzeczy—niech mi panowie wierzą—jest Ogród zoologiczny.

— Czyś go widział?

— Nie... wejście kosztuje zadrogo.

Dwaj przyjaciele, ubrawszy się, zeszli do sali jadalnej, gdzie ich gospodarz powitał uśmiechem zadowolenia. Pocziwy człowieczyna usiłował być tak uprzejmym, a mała Irlandka tak serdecznie uśmiechniętą, że nasi przyjaciele nie mieli odwagi skarżyć się na zawód, jakiego przez dwa dni doświadczałi.

— Każ nam podać—rzekł p. Boisjoli do chłopca—befsztyk ze smarzonemi kartolfkami.

— Takiēj potrawy kuchnia angielska nie zna—brzmiała odpowiedź.—Jeżeli panowie chcecie koniecznie befsztyku z kartoflami, zaprowadzę was do restauracyi francuzkiēj.

— Cóż ty znowu, żartujesz chyba? — zawołał pan Pinson.

— Nie, panie; zamiast kartofli, jadają tu groszek, bez masła i z miętą, która służy za przyprawę, Jadłem to z moim ojcem w dniu naszego przybycia do Londynu i pamiętam jeszcze nasze zadziwienie.

— Wybornie!—rzekł p. Pinson. — I cóż ty na to, Boisjoli — befsztyku z kartoflami nie znają w Londynie, w Anglii!

— Podróże są wielką szkołą—odpowiada sentencyonalnie p. Boisjoli.—One nas kształcą i rozświecają nasze przesady.

— A raczej rozwiewają nasze złudzenia. Każ-że nam, chłopcze, podać coś smacznego, i to prędko, bo szkoda czasu, którego i tak mamy niewiele.

Po téj naradzie inżynierowie siedli do stołu, zapraszając także małego towarzysza. Podano im ostrygi, z wielkiem zadziwieniem obydwu przyjaciół, na płaskich muszlach. Zażądali sałaty, do której przyniesiono serwis, złożony z dwóch flaszek, tak małych, iż mieściło się w nich zaledwie po łyżce oliwy i octu. To ich serdecznie rozśmiało! Co do chleba, to podano im go w tak maleńkich kawałeczkach, że się ustawicznie o więcej dopominać musieli. Żywe Srebro jadł tymczasem kartofle z masłem i zapijał z wielkim smakiem herbatę bez cukru. Po śniadaniu puszczono się na miasto, a najpierw ku kościołowi Św. Pawła.

W drodze p. Boisjoli oświadczył, że pragnie wstąpić do którego ze sklepów, w celu kupienia sobie rozmaitych przyrządów tualetowych, z których Anglia jest sławna w świecie całym. Młody przewodnik wskazał mu natychmiast skład, wybornie w takie wyroby zaopatrzony. Wchodzą tedy, a p. Pinson i jego przyjaciel pozdrawiają kupca zdjęciem kapeluszy.

— Nakryjcie panowie głowy—mówi Żywe Srebro—inaczéj wezmą was tu za służących.

— A to dlaczego?

— Nie jest zwyczajem w Anglii zdejmować kapeluszy przy powitaniu; chciałem to już panom oznajmić

dzisiaj rano, widząc jakęście odkryli głowy przy spotkaniu się z gospodarzem.

— Wyborne!—mruczy p. Pinson.

— Do licha—rzecze pan Boisjoli— otóż teraz rozumiem, dlaczego wczoraj w nocy ów spotkany jegomość wziął nas za żebraków!...

Nasi przyjaciele poczéli się rozglądać po składzie, do którego weszli. Była tu nieprzebrana ilość najrozmaitszych przedmiotów, niezbędnych dla człowieka ucylizowanego, a wszystkie odznaczały się praktycznością i doskonałością wyrobu. P. Boisjoli, wybrawszy sobie wyborny nóż z fabryki w Scheffield, najznakomitszej w całej Wielkiej Brytanii, zapytał o cenę. Kupiec wymienił dwadzieścia trzy franki. Panu Boisjoli cena ta zdała się zawysoką, ofiarował przeto dwadzieścia franków, ale zdziwiło go to niezmiernie, że kupiec, nie odpowiedziałszy ani słowa, wyjął mu nóż z ręki, włożył go do szafy i usiadł najspokojniej.

— Jakto?... cóż to znaczy? — zapytuje po chwili inżynier.

— Ten zacny człowiek obraził się pańską propozycją—objaśnia Żywe Srebro. — Nie chce z panem gadać, bo dałeś mu pan do zrozumienia, iż chce cię oszukać.

— Czyż istotnie—pyta p. Pinson—dobra wiara jest przymiotem tak bardzo rozpowszechnionym między kupcami londyńskimi, że im można wierzyć na słowo?

— Ależ tak, panowie, a przynajmniej z niezmiernie małemi wyjątkami.

— Jakżebym pragnął, aby zwyczaj taki przyjął się w naszej Francji—powiada pan Pinson—choćby jedynie dla oszczędności czasu!

Podczas gdy nasi przyjaciele rozpatrywali szafy i półki składu, Żywe Srebro ze szczególnym zajęciem przyglądał się nagromadzonemu w jednym miejscu ogrzewaczkom. Po chwili zapytał on kupca o cenę jednego z tych pożytecznych sprzętów i skrzywił się nieprzyjemnie, gdy mu wymieniono dwanaście franków.

— A na cóż ci ogrzewaczka?...—pyta p. Pinson.

— Eh... to nic... Przyszło mi na myśl....

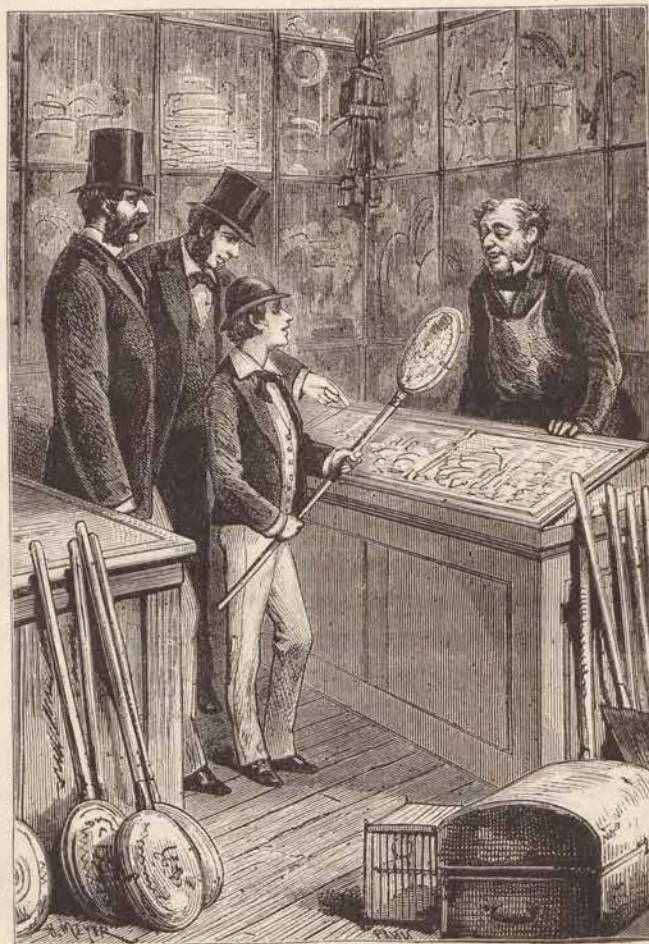
— Co za myśl, mów śmiało?

— Widzicie panowie, matka Pitch ma fatalny reumatyzm i wspomina ciągle ogrzewaczkę, którą miała za lepszych czasów. Otóż myślałem, że na kupienie nowej wystarczy mi owe pięć franków, które dostałem od panów, gdy do nich dodam dwa szylingi, obiecane przez gospodarza hotelu... ale nie przypuszczałem....

Panowie Pinson i Boisjoli spojrzeli na siebie znacząco.

— Każ zanieść taką ogrzewaczkę dla Pani Pitch—przerywa mu p. Boisjoli.—Przyjmij to jako podarunek.

Trzeba było słowa te powtórzyć chłopcu, tak bardzo zdawał się im niedowierzać. Gdy ogrzewaczka była już zapakowana, adres podany, a p. Pinson należność zapłacił, Żywe Srebro, z niemalym zdziwieniem kupca, jego chłopców i osób obecnych w sklepie, wykonał „salto mortale“... Uścisnął następnie po angielsku, to jest z całej siły, ręce swoich dobroczyńców.



Każ pan zanieść tę ogrzewaczkę do pani Pitch...

— Dobrze—rzecze p. Boisjoli—bardzo dobrze, tylko nie wywracaj swoich koziołków w miejscu publiczném, bo z twój przyczyny wezmą i nas za skoczków. Chodźmy dalej, zaprowadź nas na wybrzeże, z którego moglibyśmy zobaczyć Tamizę.

— Na wybrzeże?... Tamiza nie ma wybrzeży.

— Jakto, jest więc z obu stron obstawiona budynkami, jakieśmy to widzieli z mostu, przez który przejeżdżaliśmy onegdaj?

— Tak, domy stoją tuż nad wodą.

— I cóż ty na to, Boisjoli?

— Gdyby Tamiza miała wybrzeża, Sekwana nie przewyższałaby jój w niczém.

— Uwaga patryotyczna! A więc do Świętego Pawła!

W półgodziny później nasza trójka stanęła przed fasadą wielkiej i wspaniałej téj świątyni, która, jak Panteon w Paryżu, jest wystawiona nawzór sławnego kościoła Świętego Piotra w Rzymie.

Zbudowana z kamienia portlandzkiego (Portland—mała wysepka, stanowiąca przystań w Weymouth), świątynia ta jest dziełem architekta Wrena. Budowę rozpoczęto w r. 1675, ukończono zaś w czterdzieści lat później, to jest w r. 1715. Wzniesiono ją na miejscu, na którym stała niegdyś świątynia bogini Izydy. Jój kopuła ma trzysta czterdzieści stóp wysokości, a średnica téj kopuły ma stóp przeszło sto. Panowie Pinson i Boisjoli, podziwiając jako znawcy przepyszne proporcye budynku, zauważyli jednak, iż dwie wieże, które stoją po obu stronach fasady, przez własną nieproporcjonalność psują tylko arcydzieło Krysztofora Wrena.

Po obejrzeniu głównej nawy kościoła, zkrzytkowaniu naw bocznych i niektórych wad, widocznych w rozmiarach pojedynczych części, nasi przyjaciele zapragnęli widzieć i wewnątrz kopuły, co zmusiło ich do rozwiązania sakiewek.

— Praktyczni, bardzo praktyczni ci panowie Angliacy! — rzekł p. Pinson. — Gotów się jestem założyć, że po ściągnięciu z nas szylinga za obejrzenie kościoła, i pół szylinga za zwiędzenie kopuły, każą nam jeszcze zapłacić dwa razy tyle za prawo wyjścia. Nie mówię tego przez zarozumiałość narodową, kochany Boisjoli, ale nasza gościnność, która darmo dla całego świata otwiera muzea i zbiory Francyi, więcej stokroć warta, niż uprzejmość Anglików, którzy na każdym kroku każą się sobie opłacać.

Żywe Srebro, który podczas tych słów doświadczał echa, odbijającego się ze szczególną wyrazistością we wnętrzu kościoła Św. Pawła, co wynika z zalet akustycznych tej budowy, wyprowadził przyjaciół na ogromny plac i przypomniał znowu cuda Ogrodu zoologicznego.

— Pójdziemy teraz do Muzeum brytańskiego — rzekł p. Pinson.

Chłopiec spojrział żałośnie i... poszedł naprzód. Droga prowadziła około pomnika, który Angliacy wzniesli na pamiątkę pożaru w r. 1666. Pożar ten zniszczył Londyn prawie zupełnie. Z wysokości tego pomnika nasi podróżni zapragnęli przyjrzeć się miastu; przedstawiła im się jednak tylko niezmierna ilość dachów i kominów w mgłę i dymie. Ten widok czarny, ponury na-

sunął im myśl, że Londyn należy do rzędu miast smutnych.

Powóz publiczny, którego piękny zaprząg zachwyił p. Pinsona, zawiózł ich ztamtąd do Muzeum. Tu znowu trzeba było płacić; ale jeżeli skarby zbiorów tutejszych są istotnie bogate, to do najcenniejszych przedmiotów należą tu niezawodnie płaskorzeźby Ponteonu ateńskiego, sprowadzone w r. 1810 przez lorda Elgin. Lord, za ten rabunek Aten, uchodził w opinii publicznej za barbarzyńcę, a przecież te cuda sztuki, jak wiele innych wspaniałych arcydzieł byłyby także niszczały w oblężeniu Aten przez Turków w r. 1827. „Szkoda tylko że jaki Francuz nie wyprzedził lorda Elgin w przeniesieniu tych zabytków do Paryża!“ — tak sobie myślał p. Pinson.

Galerya, w której są pomieszczone okazy z historii naturalnej, zajęła również naszych podróżnych. Zmuszeni byli przyznać, że olbrzymie sale, które tu widzieli, są urządzone wspaniale i o wiele bogatsze niż tego rodzaju zbiory Paryża, oddawna już niegodne stolicy Francyi. Żywe Srebro najgoręciiej się interesował widokiem wypchanych zwierząt i co chwila zachwycał się, choćby tylko ich podobizną rysunkową lub rzeźbiarską.

— Jak to musi być pięknie — mówił z promieniejącymi oczyma — kiedy te śliczne ptaki o piórach czerwonych, zielonych i błękitnych latają w powietrzu, lub siedzą na drzewach. Tutaj, w Londynie, niema z pewnością innego ptastwa, prócz wróbli, czarnych od dymu z węgla kamiennych. Proszę pana — dodał po chwili,

zwracając się ku panu Pinson — czy to Robinson sprowadził tu te wszystkie zwierzęta?

— Nie — odrzekł zapytany, nie mogąc powstrzymać uśmiechu — choćby tylko dlatego, że Robinson jest osobistością zmyśloną, a potem i dla tego, że nad zebraniem takiej wielkiej liczby stworzeń musiała pracować niejedna setka uczonych.

— Jakto, Robinsona nigdy nie było na świecie? — wykrzyknął chłopiec.

— Był tylko marynarz Selkirk, którego przypadki opisał Daniel de Foe, znakomity autor angielski, który na dość szczupłym wątku oparł swoje poetyczne pomysły.

— A Piątek?... a ludożercy?...

Pan Pinson usiłował przekonać chłopca, że to wszystko były tylko wytwory autorskiej fantazyi, ale Żywe Srebro z niezachwianą energią obstawał przy ich sprawiedliwości. Przekładał on Robinsona nad inne książki i czytał go matce Pitch ze sto razy, a ona, bardziej jeszcze niż on sam, wierzyła w rzeczywistość opowiedzianych wydarzeń.

— Pozwól chłopcu pozostać przy jego silnej wierze — wtrącił p. Boisjoli; — nic mu ona nie zaszkodzi, a czasam sam dojdzie prawdy.

Zaraz po wyjściu z Muzeum, Żywe Srebro odważnie przypomniał dwom inżynierom... Ogród zoologiczny, choć to już było późno. Ale p. Pinson obstawał przy zwiedzeniu Toweru, więc udano się w jego stronę.

Tower, którego budowę historycy odnoszą do czasów Juliusza Cezara, istniał już niezawodnie za czasów

Wilhelma Zdobywcy. Jest to olbrzymia forteca, a raczej silny zamek, otoczony głęboką fosą, w którym jeszcze na początku naszego stulecia mieścili się więźniowie dla przestępców stanu: mennica, olbrzymi arsenał, skarbiec koronny i menażerya dzikich zwierząt.

Takie połączenie rzeczy, które nie wspólnego ze sobą nie mają, jest dość pospolitą w Anglii — krainie przeciwieństw.

Po zwiedzeniu arsenału, w towarzystwie dwóch grenadyerów, ubranych w kostiumy z epoki Henryka VIII; po obejrzeniu dokładnym skrzyń z klejnotami koronnymi, których wartość wynosi, jak mówią, dwa miliony gwinei — p. Pinson i jego przyjaciel przypomnieli sobie o obiedzie. Dzięki swemu młodemu przewodnikowi, dwaj przyjaciele mogli jeść to, na co mieli apetyt, i wiedzieć zgóry, ile im wypadnie zapłacić. Po obiedzie nastąpiła narada nad tem, jak przepędzić wieczór. Ponieważ panowie Boisjoli i Pinson czuli się niezmiernie zmęczeni, więc zapragnęli poprzestać na jakimś widowisku, któreby tylko zajmowało ich wzrok.

— Jeżeli panowie się zgodzą — rzekł chłopiec — zaprowadzę was do cyrku Astleya. Tam wszystko jest zrozumiałe i jasne; dosyć patrzeć, by wiedzieć o co chodzi. Umieszczę panów w sali, a następnie udam się na scenę, w celu wykonania swjej roli, która mi co wieczór przynosi dziesięć pensów, a stracić ich nie mam ochoty.

Przyjaciele zgodzili się na ten wniosek i w cyrku, gdy zajęli miejsca, chłopiec wnet ich opuścił. Uprzedził ich przedtem, że dzisiejszego wieczora wykona rolę pająka, na małym koniku, w orszaku, którego defilada za-

kończy przedstawienie. Nasi podróżni podziwiali dowcip *clowna*, zręczność jeźdźców, piękność koni i ich wyborną dresurę. Zauważyli że Anglicy, zamiast krzyknąć *bis*, gdy chcą aby powtórzono jakąś sztukę, wołają francuzkie *encore*. Żywe Srebro ukazał się w jakiejś scenie komicznej, a następnie w zapowiedzianej defiladzie, wśród której zwrócił się ku przyjaciółom z ukłonem. Po widowisku przybiegł, aby im towarzyszyć przy wyjściu. W godzinę później nasi podróżni znaleźli się w swoim hotelu, a chłopiec pobiegł do domu, niezmiernie ciekawy tego, co też powiedziała matka Pitch, gdy jej wręczono ogrzewaczkę.

VI.

L I W E R P O O L.

Była już dziesiąta godzina zrana, gdy p. Pinson zadzwonił; tak samo jak dnia poprzedniego, ukazał się we drzwiach Żywe Srebro.

— No, mały, co słyhać nowego?— spytał go inżynier.

— Przynoszę panom podziękowanie od matki Pitch, bo powiedziałem jej że to wam powinna być wdzięczną za otrzymaną ogrzewaczkę. Wczoraj późno w noc oczekiwała na mnie, bo niezmiernie ciekawa była, z kąd i od kogo przyszedł ten podarunek, i zobowiązała mnie abym

panom oświadczył, iż pragnie z panami pomówić... o mnie i o mojem ojcu.

— Po powrocie z Liwerpoola zaprowadzisz mnie do niej— odrzekł p. Pinson— to rzecz już ułożona. A teraz marsz na śniadanie!... szkoda czasu.

— Cóż dzisiaj będziemy robić?— pyta p. Boisjoli.

— Przedewszystkiēm obejrzymy doki Kompanii indyjskiej.

— A następnie?

— Ogród zoologiczny— wtrąca Żywe Srebro;— taka śliczna pogoda, słońce tak świeci jasno...

Nasi przyjaciele poprzednio już zauważyli szczególną predylekcyą chłopca do owego ogrodu; pojmowali wybornie jego ciekawość i pragnienie widzenia tylu żywych cudów, które podziwiał wczoraj z taką gorączką, choć były tylko wypchane.

— Chodźmy do doków— rzecze p. Pinson— a następnie zaprowadzisz nas, gdzie ci się podoba.

Oczy chłopca zaświeciły, jak dwa brylanty.

Okolo drugiej po południu, nasi przyjaciele, po odbyciu długiej przechadzki w olbrzymich składach Kompanii wschodnio-indyjskiej, właścicielki niegdyś olbrzymich posiadłości, które przeszły obecnie w posiadanie korony, po wielu dysputach i uwagach o przedmiotach tam widzianych, dali nareszcie chłopcu pozwolenie prowadzenia się wedle jego chęci. Poprowadził ich przeto na statek, który spełnia obowiązki omnibusu na Tamizie, a następnie do tunelu, który przez bardzo długi czas był ósmym, ale nieużytecznym cudem świata. Tunel ten obecnie służy teraz jako droga dla kolei żela-

znęj podziemnej, a zbudowany był przez Franciszka Brunela. Należy on do osobliwości Londynu. Z tunelu udano się powozem do Ogrodu zoologicznego. Skoro przekroczono próg wejścia, po opłaceniu biletów, Żywe Srebro nie mógł się wstrzymać od ulubionego koziołka.

Ogród zoologiczny jest zakładem niezmiernie ciekawym; jest to właściwie zakład prywatny, ogród spacerowy, który, aby ściągnąć jak największą liczbę przechadzających się, ma się rozumieć za opłatą, posiada także wielką menażeryą, bogacną nieustannie coraz nowymi zwierzętami ze wszystkich pięciu części świata. Niedźwiedzie, leopardy, pantery, nosorożce i słonie zaciękały nadzwyczaj młodego chłopca. Nie mógł się on przed niejedną kłatką powstrzymać od wykrzyku radości, a jego oklaski wiele bawiły naszych przyjaciół.

— Jaki on musiał być szczęśliwy! — rzekł naraz chłopiec z serdecznym westchnieniem.

— Kto taki?—spytał p. Pinson.

— Robinson, proszę pana; podług pana, nie było go nigdy na świecie, a przecież istnieją kraje w których znajdują się te wszystkie zwierzęta i dosyć było Robinsonowi stanąć z fajką w ustach na progu swego domu, aby mógł widzieć przebiegające nosorożce, niedźwiedzie, tygrysy i lwy.

— Nie wiem nic o tém czy Robinson palił fajkę, mój chłopcze—odrzekł p. Pinson, nie mogąc powstrzymać uśmiechu— ale zato mogę cię upewnić, że na wyspie Robinsona nie było ani nosorożców, ani słoniów, ponieważ te zwierzęta żyją tylko w Afryce i Azji.

— A w Ameryce czyż ich niema wcale?

— Najzupełniej, tak jak w Europie. Ameryka posiada zato bizony, kajmany, kuguary, jaguary, węże dusiciele zwane boa, najrozmaitsze zwierzęta z rodziny kotów i tygrysów, niedźwiedzie, małpy i szczerbaki.

— I pan to wszystko będziesz mógł widzieć?—spytał z odcieniem zazdrości chłopiec pana Boisjoli.

— Nie, ponieważ jadę do Stanów Zjednoczonych, to jest do kraju, który co do zwierząt i wogóle co do produktów natury jest podobny do Europy.

— W której części Ameryki żyją dzikie zwierzęta?

— W Meksyku, w Brazylii, w Gujanie, w pustyniach dawnych posiadłości hiszpańskich.

— Gdybym był tak bogaty—szepnął Żywe Srebro— abym mógł opłacić podróż na okręcie, pojechałbym natychmiast do Indyj, do Afryki, do Ameryki... wszędzie, choćby jak najdalej!

— Czy tak bardzo lubisz podróże?

— O, bardzo! Pragnąłbym widzieć kraje w których żyją małpy, papugi, boa, w których rosną drzewa kokosowe, ananasy i dyamenty. Przebywałem nieraz na pokładzie statków, udających się w te śliczne okolice, i słyszałem co o nich opowiadali majtkowie. Mówili że ludzie tam nie potrzebują żadnych mieszkań i dachów, że drzewa ustawicznie okryte są kwiatami, że słońce nigdy nie zachodzi. Opowiadali sobie cudowne rzeczy, i gdybyście panowie to wszystko słyszeli, zapragnęlibyście także niezawodnie jechać...

— Niekoniecznie — odrzekł p. Pinson; — ja na przykład kocham Francją, kocham Europę i wyjąwszy jego

blota, sędzę że pobyt w Paryżu jest bardzo przyjemnym. A co do widzenia tygrysa — wcale sobie tego nie życzę; wystarcza mi gdy go widzę w Ogrodzie zoologicznym.

Olbrzymia klatka z małpami tak żywo owładnęła zachwytem chłopca, że byłby przed nią stał do nocy, gdyby pora zamykania ogrodu nie zmusiła go wyjść wraz z innymi. Dzięki względności dwóch przyjaciół, którzy podziwiali żywość jego umysłu, naiwność pełną szczérości i ciekawość Żywego Srebra — dowiedział się on wielu nauczających szczegółów o krajach w których żyją rozmaite zwierzęta, o ich obyczajach i naturze. Podczas obiadu mówiono tylko o ogrodzie zoologicznym, a wszystko, czego się chłopiec dowiedział, podsycalo w nim chętkę ujrzenia tych dziwów i tych szczególnych krajów. Ale nasi przyjaciele coraz lakoniczniej odpowiadali na jego zapytania, a im godzina stawała się późniejszą, tém oni uparciej poczynali milczeć.

Nazajutrz p. Boisjoli miał odjeżdżać... Przyjaciele nie zapomnieli o tém wśród zajęć dnia; blizkie ich rozłączenie już teraz zważyło ciężar smutku na ich serca.

Towarzystwo Żywego Srebra tak bardzo okazało się pożytecznym dla naszych podróżnych, tak im pomagało we wszystkiém, co bez znajomości języka angielskiego mogło im sprawić tysiączne kłopoty — że postanowili zabrać go ze sobą do Liwerpoola. Stańło na tém, że chłopiec, wróciwszy ztamąd z p. Pinson, zaprowadzi go do matki Pitch, po rozmowie z którą i powrocie do Francji ten zacny człowiek rozpocznie poszukiwania rodziny Żywego Srebra, aby go uchronić w przyszłości od włóczęgi i zbijania bąków. Było to cudem

prawie, że chłopiec, po trzyletnim pobycie na ulicach Londynu, zachował umysł nieskażony i serce prawe. Potrzeby i złe przykłady mogą go pchnąć na jaknajgorszą drogę i przyjaciele nasi pragną go od tego uchronić. P. Pinson podjął się tego zadania, gorąco zachęcony przez przyjaciela.

Żywe Srebro aż zbladł z radości, gdy mu oznajmiono rozkaz zawiadomienia matki Pitch o wyjeździe do Liwerpoola. Ach!... nareszcie rzuci ten przeklęty Londyn choć na chwilę i zobaczy coś więcej, niż jego zadymione ściany i ciasne ulice!

— A potem... czy pan mnie zawieziesz do Francji?..
— pytał ze wzruszeniem p. Pinson.

— Bardzo być może — brzmiała odpowiedź.

— Zawieź mnie pan tam, bardzo o to proszę! Czasem przypominam sobie Paryż; zdaje mi się że rozpoznalbym ulice, któremi przechodziliśmy z moim ojcem, dom w którym mieszkałem, pokój, w którym sypiałem! Tam jest słońce i światło... bo to mój kraj ojczysty, i sędzę że tam byłbym stokroć szczęśliwszy, niż tutaj.

P. Pinson, pogłaskawszy go po twarzy, odrzekł:

— Za trzy dni obaczymy.

Nazajutrz rano trzej nasi podróżni wyjechali do Liwerpoola, stolicy przemysłowej hrabstwa Lancaster. Mieli do przebieżenia 280 kilometrów, a jadąc w dzień, inżynierowie mogli przyglądać się po drodze stacyom, wodociągom, budowlom i sądzić ich zalety lub błędy. Jechali 75 mil (angielskich) na godzinę, to jest bardzo prędko. Stanąwszy na miejscu o godzinie dziesiątej rano, podróżni nasi udali się natychmiast do tu-

nelu, długiego na 1800 metrów, który przechodzi pod miastem, a następnie oglądali kolej żelazną manchester-ską, najpiérwszą w Europie co do czasu budowy, urządzoną w r. 1826.

Liwerpool, piękne i wielkie miasto z 400,000 mieszkańców, w XIII stuleciu był tylko osadą rybacką. W r. 1700 liczył zaledwie 5000 mieszkańców. W roku 1842, uległszy straszliwemu pożarowi, odbudowanym został nanowo i zawrzał życiem przemysłowém, jak nigdy dotąd.

Miasto to dostarcza sąsiedniemu Manchesterowi surowych produktów, a głównie bawełny. Liwerpool walczy z Manchesterem o tytuł drugiego miasta po Londynie w Anglii; posiada on wielu uczonych, a jego zbiór starożytności egipskich, ogród botaniczny i biblioteka mają sławę w całym świecie.

Wielki port liwerpoolski, wygodny i bezpieczny, zbudowany jest na prawym brzegu rzeki Mersey, utworzonej przez połączenie dwóch innych rzék, Etheron i Soyt, w hrabstwie Chester. Mersey po przebieżeniu 100 kilometrów, wpada do morza Irlandzkiego o 4 kilometry od Liwerpoola.

Nasi podróżni byli w bezustannym ruchu, ponieważ zapragnęli widzieć wszystko, co tu jest godnego uwagi. Do stołu zasiedli dobrze już zmęczeni. Po obiedzie pośpieszyli do portu, aby zobaczyć steamer *Canada*, który w téj chwili stał spokojnie na kotwicy i ładował węgiel na czas podróży. Żywe Srebro był widokiem jego oczarowany. Na spoczynek udano się dosyć już późno, i,

dzięki całodziennój bieżaninie, nasi podróżni posnęli wkrótce snem twardym.

Dwaj przyjaciele zbudzili się nazajutrz koło godziny dziewiętej. Dzień nie był wcale pogodny; gęsta mgła pokrywała wszystko, a deszcz drobny padał bezustanku. Pogoda taka nie usposabia nigdy do wesołości, spożywano więc śniadanie w ponurém mileczeniu.

Tłomoki pana Boisjoli umieszczono wkrótce na małym wózku i zawieziono do portu. Należało czekać wystrzału armatniego, który był znakiem wsiadania na okręt. Po tym wystrzale, p. Boisjoli udał się natychmiast na pokład i zgłosił do porucznika okrętowego, który, przez szczęśliwy traf dla naszego podróżnika, mówił wybornie po francuzku. Porucznik wskazał kajutę, która mu miała służyć za mieszkanie wczasie podróży; miał prawo zajmować ją sam, bez względu na innych podróżnych. Tutaj nasi dwaj przyjaciele rzucili się sobie w objęcia, a uścisk ten pożegnalny był długim i serdecznym, choć nie towarzyszyło mu ani jedno słowo. Łzy błyszczały im w oczach; porucznikowi, który spoglądał na nich nie bez zdziwienia, p. Pinson objaśnił że to piérwsze rozstanie się od lat trzydziestu.

— Przepłyniemy rzekę bardzo wolno aż do jéj ujścia; jeżeli pan zechcesz—dodał, zwracając się do p. Pinson, grzeczny porucznik—możesz nam towarzyszyć i następnie powrócić z pilotem¹⁾, a tym sposobem przepędzisz godzinę czasu dłużej z przyjacielem swoim.

1) Sternik portowy, który kieruje okrętem w chwili jéj wejścia do przystani. Sternik okrętowy, stały, estępuje mu wtedy swoją czynność.

P. Boisjoli tak gorąco nalegał, że p. Pinson zgodził się korzystać z tej rady i pobiegł natychmiast, aby odnaléźć Żywe Srebro, który przypatrywał się z wielkiem zajęciem maszynie parowej.

— Wracaj na ląd, chłopcze—rzekł do niego—i czekaj na mnie w hotelu lub w porcie.

— Czy pan jedziesz także do Ameryki?...

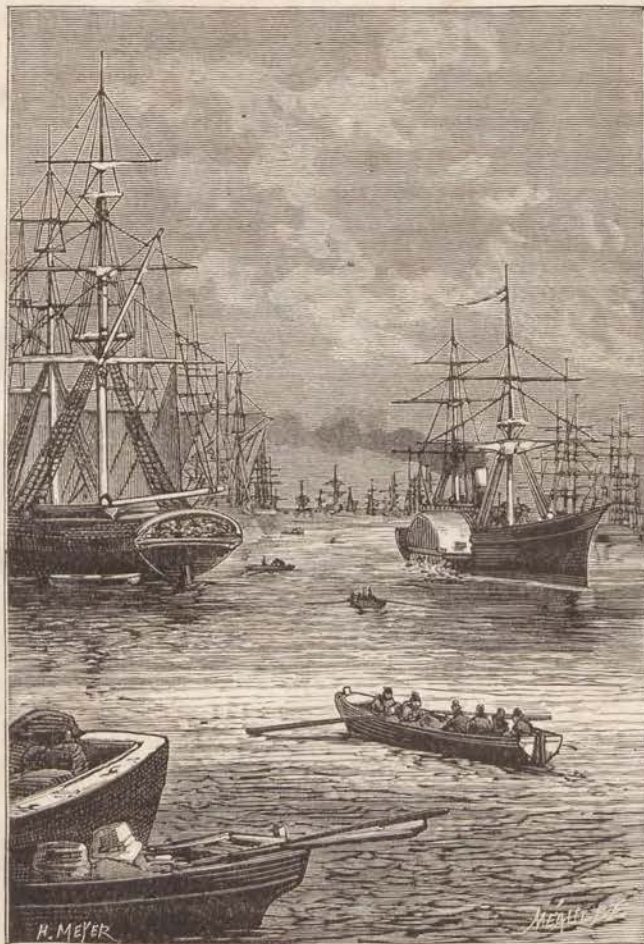
— Nie, przecież wiesz o tém. Dojadę tylko do ujścia rzeki, z kąd powrócę z pilotem. Nastąpi to mniej więcej za dwie godziny.

Żywe Srebro poszedł pożegnać pana Boisjoli, który go serdecznie uściskał; następnie, ze zwykłą lekkością, pobiegł w stronę schodów prowadzących na ląd i wkrótce zniknął z oczu naszym przyjaciołom.

Pan Pinson zapragnął przyjrzyć się szczegółowo okrętowi, który przez trzy tygodnie miał służyć za miejsce pobytu dla jego przyjaciela. Wkrótce koła statku poczęły zwolna uderzać o wodę i *Canada*, prowadzona przez pilota, siedzącego tuż przy sterniku okrętowym, rozpoczęła swą podróż. Wiatr dał dość silnie, a krótkie fale nadawały statkowi lekkie kołysanie.

— Zdaje mi się—rzekł z komicznym wyrazem twarzy p. Boisjoli — że choroba morską nie każe mi na siebie długo czekać i dlatego zajmę się natychmiast ulokowaniem moich tłumoków w kajucie, ażeby potem nie było zapóźno.

— Jużem tam zaniósł tuzin pomarańcz i dwie butelki soku porzeczkowego. Znajdziesz to przy swém łóżku—odrzekł p. Pinson.



Trzeba było wsiąść do łodzi, aby się dostać do okrętu.

Dwaj przyjaciele udali się zaraz do kajuty, aby rzeczy odpowiednio umieścić, i urządzili to w sposób taki, że najpotrzebniejsze do codziennego użytku przedmioty p. Boisjoli mógł mieć prawie pod ręką. Gdy czynność tę ukończono, p. Pinson uczuł, że statek naraz przyspiesza swój ruch; udał się przeto bezzwłocznie na pokład, wnosząc z tego że nadeszła chwila powrotu. Był to tylko jednakże pośpiech chwilowy, spowodowany koniecznością ominięcia holownika, który ciągnął za sobą cały szereg statków naładowanych węglami. Przekonawszy się o tém, nasi przyjaciele pograżyli się jeszcze w gorączkowej rozmowie, przyrzekając nawzajem pisywać do siebie jaknajczęściej. Mówili o przeszłości, a nade wszystko o tém, co przyszłość przynieść może. Udali się potem do bufetu, aby po raz ostatni trącić się kieliszkami. A tymczasem ruchy kół okrętowych stawały się z każdą chwilą szybszemi i p. Boisjoli bladł coraz bardziej i wyraźniej uczuwał krople potu na czole. Gdy powrócono na pokład, p. Pinson ujrzał w około bezbrzeżne tylko morze; Liwerpool i brzegi niknęły. Spojrzawszy w stronę stępu, rzucił się nagle ku stérnikowi.

— Gdzie jest pilot!?—zawołał.

— Pilot?... — brzmiała odpowiedź sternika, który zrozumiał ten wyraz jednobrzmiący we francuzkim i angielskim języku — *He is gone, sir!*

I mówiąc to, marynarz wskazał po za siebie.

— Co on mówi?... — spytał p. Pinson, spoglądając dokoła.

— Powiada że pilot już odjechał -- wyjaśnił jakiś podróżny Kanadyjczyk po francuzku.

— Odjechał!— krzyczy p. Pinson w trwodze—pilot odjechał! Cóż to za żarcik?... Statek nie zatrzymywał się ani na chwilę, jestem tego najpewniejszy!

— Pilot spuścił się do swego statku, który za sobą ciągnęła *Canada*, i odjechał już temu pół godziny.

— Stójcie!... zatrzymajcie się!...— wołał nasz inżynier, który rzucił się ku stérnikowi, jakby chciał mu przeszkodzić w jego pracy.—Zawracajcie nazad! tak, zawracajcie natychmiast, mój przyjacielu, bo ja nie chcę jechać do Ameryki!...

Stérnik odepchnął p. Pinson bez ceremonii, nie rozumiejąc nawet, o co chodzi.

— Stójcie!... zatrzymajcie się!...— powtarzał p. Pinson na całe gardło. — Gdzie jest kapitan? porucznik!... Ależ stójcie do pioruna!

Podróżni, zaciekawieni krzykiem, poczeli się zbiegać. P. Boisjoli, dręczony przypadłościami choroby morskiej, spoglądał na przyjaciela z miną okrutnie strapioną.

— Mówże ty!...— wołał p. Pinson, zwracając się ku niemu.—Przecież znasz kilka zdań angielskich, możesz im to wyjaśnić!...

— *Give me*—począł jękać biedny p. Boisjoli— *some bread, some turtle soup, some plum-pudding, some...*

Nagle umilkł i śpiesznie odszedł.

— Kapitanie! gdzie jest kapitan!?!— wołał wciąż p. Pinson.

I straciwszy prawie z przerażenia przytomność, biegając na wszystkie strony i krzycząc, nasz inżynier spostrzegł wreszcie komendanta okrętu i podążył ku niemu.

VII.

NA MORZU.

— Kapitanie!—zawołał p. Pinson—rozkaż natychmiast, aby zatrzymano statek!

— Zapóźno już, zapóźno—odrzekł oficer po angielsku, nie rozumiejąc co do niego mówiono, ale domyślając się mimo to, o co chodzi:

— Ależ zatrzymajcie się! Ja nie chcę jechać do Ameryki; ja potrzebuję powrócić do Paryża, do Bati-gnolles!

Krzyki inżyniera i jego żywa gestykulacja zgromadziły około niego cały tłum pasażerów. Kanadyjczyk, który go poprzednio zawiadomił o odjeździe pilota, i tymrazem komendantowi rzecz wyjaśnił.

— A to brzydka i śmieszna zarazem historia— odrzekł kapitan.—Bardzo mi żal tego gentlemena, ale nic dlań uczynić nie mogę.

— Jakto—zawołał p. Pinson, któremu tę odpowiedź przetłumaczono—ten pan chce mnie więc zawieźć do Ameryki pomimo méj woli? Ależ to ślicznie! Tymczasem jesteśmy zaledwie o kilka kilometrów od portu... Bądź łaskaw powiedzieć komendantowi, zacny panie, że jestem Francuzem, inżynierem, że...

Ale kapitan miał w téj chwili ważniejsze sprawy na głowie i nie mógł się zajmować nieszczęściem p. Pinson. Porzucił go więc, pozostawiając pośród tłumu nierozumiejących go ani słowa z jego narzekañ podróżnych,

których nasz biedny inżynier napróżno prosił o pomoc, tłumacząc im całą swą niedolę.

— To ty—zawołał wreszcie, zwracając się do p. Boisjoli—ty mnie tu przyprowadziłeś i uwięziłeś na tym obrzydłym statku!

— Nie masz nad czém ubolewać—odrzekł zagadnięty znienacka przyjaciel. — Jesteś bardzo, bardzo szczęśliwy... nie wiesz co to morska choroba! Ja, gdybym wzamian otrzymał zapewnienie, że mnie ona męczyć przestanie, zgodziłbym się objechać świat cały.

— Szczęśliwy!—wykrzyknął w oburzeniu p. Pinson. Śliczne szczęście... jechać Bóg wie nie gdzie, do Ameryki, do której się nie ma żadnego interesu, i nie móżd powracać tam, gdzie mnie czekają! Może mi jeszcze powiesz, że to przypadek?... Nie! tyś mnie zapędził w zastawione sidła, Boisjoli, rzecz jasna, wyraźna, w sidła, w które ja, jak głupi szpak sam wpadłem, nie przeczuwając podstępu!

— Ależ mój przyjacielu..

— Dlaczegożeś mnie zatrzymywał na statku, w chwili gdy chciałem na ląd powracać?... Mów, odpawiaj, tłumacz się, usprawiedliwiaj! Co się stanie z moją torbą podróżną, którą zostawiłem w hotelu?... Co zrobi biedny chłopiec, porzucony w porcie na ślepy traf losu?... Co sobie pomyśli o mnie Viollet-le-Duc, nie widząc mnie o godzinie, którą mu sam nazaczyłem w ostatnim liście?.. A Małgorzata, z czegoż zapłaci miesięczne należności, gdy nadejdzie termin?... Kto nareszcie odbierze przypadającą mi rentę od mego kapitału?... Ach tak... to sta-

ło się przypadkiem... ale mów to nie mnie, bo ja nie wierzę!

Gniów pana Pinson, który zazwyczaj był panem siebie, zdawał się z każdą chwilą wzrastać. Ale też p. Pinson dobrze to pojmował, iż za każdym uderzeniem kół powrót jego do Paryża stawał się mniej prawdopodobny. Poruszony do głębi duszy, zawrócił nagle ku tyłowi okrętu i spostrzegł tam porucznika.

— Jakto, pan tutaj?—wyrzekł ten ostatni.

— Tak, panie, tutaj, i to dzięki pańskiej radzie... Ale pan znasz moje położenie, pan wiesz że nie jestem podróżnym, pan przynajmniej rozumiesz, co mówię. Proszę, błagam pana, wyjaśnij wszystko kapitanowi... on musi mi ułatwić powrót!

— Niestety, szanowny panie, to najzupełniej niemożliwe, zakazane...

— Niemożliwe?... Jakto, czy ja tu jestem pod dozorem policyjnym?... a może skazano mnie na wygnanie? Zakazane?... przez co, przez kogo?

— Przez prawa morskie... Gdyby kapitan *Canady* naraził bez potrzeby przewidzianej przez prawo właścicieli statku na koszt, byłby stawiony przed sądem i straciłby niezawodnie komendę.

— Ależ tu jest przyczyna, i to ważna, tu jest siła wyższa! Nie macie prawa zmuszać mnie do podróży, której odbywać nie chcę!

— Bądź pan łaskaw zauważyć, że przypadek ten nie pochodzi z winy kapitana.

— Ależ to jest najszkaradniejszy podstęp, którego ucziwy obywatel staje się ofiarą!—wołał p. Pinson,

oburzony do najwyższego stopnia.—Przepisy, o których pan mówisz, winne być wypisane olbrzymiemi literami na ścianach okrętu!

— Powiadają w pańskim kraju — odrzekł porucznik — że nikt nie może tłumaczyć się niezrozumiałością prawa. Gdybyś się pan znalazł na okręcie francuzkim, rzeczy przybrałyby najzupełniej ten sam obrót.

Pan Pinson usiadł na poblizkiej ławeczce i ukrył twarz w dłoniach. Żałował on w tej chwili, że nie posiadał prochu lub dynamitu, któryby mógł sprawić szkodę *Canadzie* i zmusić ją do powrotu. Dészcz tymczasem nie przestawał padać; podróżni z wolna przechodzili z pokładu do kajut, a Boisjoli, coraz słabszy, usiadł tuż obok wzburzonego i zrozpaczonego przyjaciela.

— Pinson — rzekł głosem miłosiernym.

— Czego chcesz? — zawołał niecierpliwie, odwracając się, inżynier. — Śmiesz jeszcze mówić do mnie?...

— A cóż ja ci zawiniłem?

— To pytanie zachwyca mnie! Chciałem ci towarzyszyć do Calais; byłaby to wycieczka, na którą moje położenie zezwalało... aleś ty mnie wyciągnął dalej, aż do Londynu... a potem do Liwerpoola, by mnie zgubić! Nie, to jasne, to rozumiałe!

— Poznasz Amerykę, a za miesiąc będziesz w Paryżu.

— Alboż ja potrzebuję poznawać Amerykę? Bardzo ci za to jestem wdzięczny. Dzięki tobie, jestem tu bez bielizny, bez chustek do nosa, bez koszuli do zmiany, i włóczę się po oceanie licho wie o ile mil od domu.

Boisjoli milczał. Zsiniały, z przymkniętymi oczyma, ponieważ widok ruchów pokładu i fal morskich powiększał jeszcze jego cierpienia — znosił dészcz ze stoicyzmem, drżąc od wilgoci i zimna. P. Pinson spostrzegł to.

— Dlaczego nie idziesz do kajuty? — rzekł wreszcie z odcieniem szczerzej życzliwości.

— Ubolewam nad twoim położeniem i nie chcę zostawić cię samego.

P. Pinson wstał, ujął przyjaciela pod ramię i z wolna zaprowadził go do łóżka, na którym p. Boisjoli zmuszony się był położyć. Zajął się następnie przyrządzeniem szklanki lemoniady, usiadł przy nim i słuchał w milczeniu pocieszających słów p. Boisjoli.

— Paniel! — dał się słyszeć głos porucznika, który uderzał ręką we drzwi.

P. Pinson zerwał się natychmiast i wybiegł na pokład.

— Cóż, czy kapitan zgodził się wrócić?...

— Ale gdzie tam, to rzecz niemożliwa — odrzekł porucznik — ale mimo to bądź pan spokojny; za dwadzieścia cztery godzin będziemy na lądzie.

— Czy odkryto jaką dziurę w statku?

— Nie, lecz będziemy musieli zatrzymać się w Queenstown, aby ztamtąd odebrać ostatnie depesze z Europy, jeżeli pogoda zezwoli, będziesz pan mógł udać się tam na łodzi, która z owemi depeszami przyplynie.

P. Pinson, usłyszawszy tę nowinę, z wielką radością byłby uściskał porucznika, gdyby to nie było przeciwnie obyczajom angielskim.

— Jednakże — zauważył inżynier — Queenstown jest w Irlandyi... ale to zawsze bliżej niż Ameryka! Kilka dni temu aniby mi przez głowę przeszło, że za tydzień będę oglądał ojczyznę wielkiego O'Connela!

— Nie potrzebuję panu przypominać, że trzeba być natychmiast gotowym...

— Bądź pan spokojny — odrzekł p. Pinson. — Nie należę do ludzi, którzyby się podwakroć dali łapać w jedną i tę samą pólapkę. Bądź mi pan łaskaw tylko powiedzieć, z której strony okrętu przybija łódź, mająca przywieźć depesze, a będę się jój pilnował z niezachwianą uwagą i wytrwałością.

Uczuwszy ulgę w swój trosce, inżynier wkrótce odzyskał zwykły dobry swój humor. Pocieszał przyjaciela i w godzinie obiadowej zasiadł wesoło przy ogólnym stole, przy którym prezydował kapitan. Brakowało tam jednego tylko pasażera... stękał on w swój kajucie... Dzięki Kanadyjczykowi, który służył za tłumacza, śmiało się serdecznie z awantury pana Pinson, a on nade wszystko rozweselał towarzystwo własnymi żarcikami. Wkrótce po obiedzie, upewniony przez kapitana że niezawodnie będzie się mógł udać do Queenstown, nasz inżynier usadowił się na pokładzie i począł czuwanie, tuż obok stérnika.

Wiatr był silny, noc ciemna, a zamiast deszczu, padał teraz śnieg. Wycie wichru wśród lin okrętowych, ponure skrzypienie steru i fosforyczne, blade błyski fali za każdym obrotem kół sprawiały dziwnie przygniatające wrażenie. Morze burzyło się, było niegrzeczne, wedle wyrażenia majtków, którzy owinięci w kauczuko-

we płaszcze, w ceratowych czapkach, przechadzali się, aby się rozgrzać. P. Pinson, obojętny na fale i wichry, z wyczerpaniem śledził wdali płomienia latarni morskiej w Queenstown i oczekiwał cierpliwie łodzi z depeszami.

— Jesteśmy obecnie w samym środku zawiei śnieżnej — rzekł kapitan, podchodząc ku p. Pinson; — zdaje mi się że nie będziemy mogli wylądować w Queenstown.

Na szczęście p. Pinson nie rozumiał tych słów. Wkrótce serce jego uderzyło silniej: wdali ukazało się światło latarni morskiej.

W tej chwili na pokładzie zapanował ruch. Wykonywano obroty z szybkością niezwykłą. Pokazało się jednak że światło, które spostrzegł p. Pinson, nie pochodziło z latarni morskiej, ale płonęło na okręcie, płynącym w kierunku przeciwnym *Canadzie*. Przyplłynął on niezadługo i znikł w ciemnościach nocy. Dopiero około godziny pierwszej po północy majtek bocianiego gniazda oznajmił Queenstown.

I istotnie w oddali ukazało się żywo światło latarni.

P. Pinson zbiegł natychmiast do kajuty i uściskał serdecznie przyjaciela. Biędny p. Boisjoli pragnął koniecznie zwlec się z łóżka i być obecnym odjazdowi towarzysza, ale w głowie miał taki zamęt, że nie mógł ustać na nogach. P. Pinson podwakroć uściskał jego rękę i wybiegł na pokład. Na tyle okrętu znalazł łódź z czterema marynarzami. Jeden z oficerów, stojąc u steru, wydawał rozkazy przez tubę, które przenoszono tym samym sposobem maszyniście pod pokładem. Statek ustawicznie zmieniał kierunek; latarnia co chwila uka-

zywała się raz po prawej, to znowu po lewej stronie okrętu. Steamer lawirował, jak twierdzili majtkowie. P. Pinson, gotowy natychmiast wskoczyć do oczekującej go łodzi, nie rozumiał co się dzieje i na co ta krętani-
na. Widział tylko kapitana chodzącego tu i owdzie, przyglądającego się busoli, zegarkowi, barometrowi, słyszał jego mruczenie, rozmowy z porucznikiem i cedzone przez zęby przekleństwa. Wydawał on ciągle rozkazy, które majtkowie wykonywali natychmiast, a światło latarni ukazało się wkrótce ztyłu okrętu.

— Co to się stało?—zapytywał P. Pinson każdego przechodzącego marynarza.

Odpowiadano mu wprawdzie, ale co?... nie rozumiał. Zwrócił się tedy ku kapitanowi, który rozmawiał z porucznikiem.

— A więc—wyrzekł ten ostatni, potrząsając smutnie głową—jesteś pan istotnie ofiarą nieszczęścia.

— Dlaczego?—pytał nasz inżynier.

— Morze jest tak wzburzone, że nie pozwala nam wylądować. Ponieważ straciliśmy trzy godziny na bezowocne usiłowania, kapitan przeto zarządził zamiar pierwotny i wydał rozkaz puszczenia się na pełne morze. Jesteśmy w tej chwili stanowczo na drodze do Nowego Yorku.

P. Pinson, usłyszawszy to, zbladł; porucznik odszedł, a biedny inżynier stał długo jeszcze na tém samym miejscu, nieruchomy, milczący. Nakoniec, bezsilny, zniechęcony, udał się do kajuty; zastał tam p. Boisjoli po-
grążonego w głębokim śnie. P. Pinson w piéwszej chwili miał zamiar go obudzić, ale rychło pomyślał sobie:

„I cóż on mi pomoże? Niechaj sobie śpi! Ach, cóż to za fatalne zdarzenie!“

Rzucił się na łóżko okrętowe, ulokowane pod łóżkiem p. Boisjoli, i niezadługo, kołysany ruchami statku, zamknął oczy i również zasnął.

Był już dzień oddawna, gdy p. Boisjoli się przebudził. Czuł się o wiele lepiej, niż dnia poprzedniego, i począł się z zajęciem rozpatrywać wokoło.

„Za jakie dwadzieścia cztery godzin będę zupełnie zdrów—pomyślał sobie.—Cóż to za okropna ta choroba morska! Przytępia ona wolę i z człowieka robi maszynę tylko. Godzina dziewiąta... Pinson musi być już na drodze do Dublina. Dzielny Pinson! nie widziałem go nigdy w takiej rozpacz! Prawdę powiedziawszy, ta podróż weale mu nie zaszkodzi... i tak jeszcze udało mu się szczęśliwie uniknąć większej!“

W tej chwili panu Boisjoli zdawało się że słyszy pod sobą oddech... Pewny tego zupełnie, że nie ma towarzysza podróży w całej kajucie, spojrział jednak na dolne łóżko i... ujrzał twarz znaną mu doskonale.

— Jaktol? ty tutaj?... zawołał zdziwiony.

— Ja, niestety!--odrzekł inżynier.

— Przecieżś mnie w nocy pożegnał, mając odpłynąć do Queenstown?

— Człowiek zamierza, a wyrokuje Bóg—odrzekł p. Pinson.

— Czy *Canada* zmieniła kierunek?

— Nie; *Canada* z powodu złej pogody nie mogła zabrać depeszy, a tym sposobem musiałem i ja na nią pozostać.

— A więc tém lepiej!—zawołał uradowany p. Boisjoli.

— Zapewne... tylko nie dla mnie. Otóż to skutki poświęceń przyjacielskich! A teraz, gdy ja jestem ofiarą wydarzenia najsmutniejszego, najrozpaczliwszego pod słońcem, mój najlepszy przyjaciel, ten, który jest przyczyną wszystkiego złego, raduje się z mego nieszczęścia i powiada mi: tém lepiej!

— Bóg mi świadkiem, drogi Pinson, że sambym cię chętnie odprowadził do portu, choćby wpław nawet, gdyby to było możliwe. Ale ty wiesz o tém, że to niepodobieństwo. To mój egoizm podyktował mi słowa, które cię tak dotknęły.

Dwaj przyjaciele zabrali się wkrótce w milczeniu do ubierania. P. Boisjoli czuł się prawie zdrowym. W głębi duszy był on szczerze rad smutnej awanturze przyjaciela, która, co prawda, narażała go na długą i nużącą podróż, ale też nie mogła sprowadzić żadnych innych złych następstw. Mimo to, starał się troskliwie ukrywać swą radość. P. Pinson zaś, zły i smutny, wkrótce jednak odzyskał pogodę umysłu i zwyczajny humor.

Dwaj przyjaciele wychodzili z kajuty na pokład, gdy ujrzeni nadchodzącego porucznika, który, zwróciwszy się do p. Pinson, rzekł:

— Przychodzę właśnie do pana.

— Czy może Queenstown w pobliżu?—żywo zapytał inżynier.

— Nie, szanowny panie; Queenstown już daleko, ale zato znaleźliśmy na okręcie pańskiego syna.



Jakto, ty tutaj?

— Mojego syna?... zawołał zdziwiony p. Pinson.—
Cóż to za nowy żart?...

Ale w tej chwili nasz inżynier wydał okrzyk zadziwienia, bo ujrzał najniespodzianie.. Żywe Srebro! Zapłakany chłopiec stał przed kapitanem, który go o coś surowo strofował.

VIII.

PROMYK NADZIEL.

P. Pinson wielce zdziwiony tym widokiem, spoglądał na Żywe Srebro, który ze swjej strony z równym zadziwieniem mierzył go szeroko otwartemi oczyma.

— Jaktó? pan tutaj!—zawołał—pan tutaj?...

— A ty, nieszczęśliwy, jakim u licha sposobem znalazłeś się na pokładzie?...

— Ach panie, to jego wina!—odrzekł żalonym głosem chłopiec—gdyby nie on, byłbym w tej chwili na łądzie.

— Czyja, kto?...

— Robinsona, panie. Jemu to zawdzięczamy... Ja chciałem spełnić pańskie rozkazy, doprawdy, chciałem... Ale... o, proszę pana, nie pozwól mnie pan bić!

— A któż cię chce bić?

— Kapitan; już kazał przynieść dyscyplinę... z ołowianemi gałkami.

— Puście chłopca—rzekł komendant—i do roboty Ten pan,—dodał, wskazując na p. Pinson—odpowiada za niego. Do pioruna! od lat dwudziestu, jak żegluję po wszystkich morzach świata, nie zdarzyło mi się jeszcze nic podobnego.

— Czy wyjaśnisz mi nareszcie—spytał p. Pinson, chłopca—z kąd się tu wzięłeś?

— Od chwili, w której zobaczyłem Ogród zoologiczny, pragnienie ujrzenia kraju małp i tygrysów tak się we mnie wzmogło, że jeszcze w Londynie powziąłem zamiar, jako chłopiec okrętowy, puścić się na jakim statku do Indyj. Ameryka prócz tego pociągała mnie i łatwością następczenia sposobów do zyskania majątku. Otóż... trafiła mi się wyborna okazyja... Gdym się znalazł na pokładzie *Canady*, postanowienie moje...

— Czy mi powiesz krótko i węzłowato: z kąd się tu wzięłeś?

— Z pod pokładu, ze składów wody... panie. Kiedyś mi pan rozkazał powrócić na ląd, sądziłem że mógłbym tu pozostać, bo statek pilota odwiózłby nas obu... To rzecz prosta. Tak pragnąłem ujrzeć ocean! Na nieszczęście drzwi od składu otwarte znalazłem na mojej drodze... wszedłem tam więc... skryłem się pośród beczek i pojechałem wraz ze wszystkimi. Myślałem sobie tak: gdy mnie odkryją, będzie już zapóźno wezmą mnie więc do Nowego Yorku. P. Boisjoli nie pozwoliłby mnie skrzywdzić. Byłbym go prosił o przebaczenie w imieniu pańskim, a on pana kocha tak bardzo...

— I pozostawałeś aż do téj chwili w swéj kryjówce?

— Lękałem się wyjść... Przed chwilą ktoś tam wszedł i odkryto mnie. Ale teraz nie chcę jechać dalej... pragnę razem z panem powrócić jaknajprędzej do Liwerpoola.

— Zapewne, powrócić do Liwerpoola!—zawołał p. Pinson—kiedy to już jest niemożliwe! Alboż nie widzisz, mały głupcze, że jesteśmy na pełném morzu i że *Canada* płynie z szybkością sześciu kilometrów na godzinę? Czy nie wiesz, że przekłete prawa morskie sprzeciwiają się naszemu powrotowi i że teraz, choćbyśmy nie chcieli, musimy płynąć do Ameryki.

— Jakto?—zawołał Żywe Srebro zdziwiony—więc i pan także ukrywałeś się?

— Tak jak ty?... zapewne! Robinson nie ma nic wspólnego z moją obecnością na okręcie. Robinson...

— Zdaje mi się—przerwał przyjacielowi p. Boisjoli—że chłopiec umiera z głodu... Jest blady, drży, chwieje się... Zajmij się nim, mój drogi.

— Litujesz się nad nim, nieprawdaż?

— Istotnie. Biedny chłopiec powiada że go odkryto przed chwilą, a odwołuje się do mnie... w twojem imieniu. To mnie wzrusza. Biorę go pod swoją opiekę.

P. Pinson spojrział na przyjaciela, a potem na chłopca, który miał oczy łez pełne.

— No, nie płacz—rzekł—stało się!

— Płaczę bo przyszła mi na myśl matka Pitch, która tam na mnie czeka i której już może nigdy nie ujrzeć! Może mnie w téj chwili potrzebuje... może cierpi

na ten swój przeklęty reumatyzm i nie może pracować; Och! jakżebym pragnął powrócić do Londynu i być przy niej!

Mówiąc to, chłopiec ukrył twarz w dłoniach i lkał serdecznie. Dwaj przyjaciele, widząc to, postanowili nie strofować go dłużej.

— Musi być głodny — zauważył p. Boisjoli. — Gdybym mógł znieść ten obrzydły odór smoły, który tu wszędzie pod pokładem słyhać, poszedłbym do jadalni, żeby go nakarmić. Pinson, zastąp mnie; jesteś wytrawny pod tym względem, jak stary marynarz... znosisz smołę, znosisz burzę.

P. Pinson zaprowadził chłopca do salonu jadalnego i kazał mu dać chleba, szynki, wina, a Żywe Srebro jadł zapamiętale. Biedaczysko cierpiał nie tylko głód, ale był przeziębiony i niewyspany, bo pomiędzy bezkami nie było na to miejsca. To też p. Pinson po śniadaniu zabrał go do kajuty i, ułożywszy w swoim własnym łóżku, przykrył dwoma kołdrami.

Wróciwszy na pokład, p. Pinson począł bacznie rozpatrywać horyzont; morze potężne, bezgraniczne; panowało wszędzie i stykało się z niebem. Nasz inżynier myślał o położeniu własnym i biednego chłopca, a nie wydawało mu się ono zbyt naturalnym, gdyż mruczał przez zęby.

— Dziwne... dziwne!

Dzięki Kanadyjczykowi, podróżni dowiedzieli się wkrótce o przypadkach Żywego Srebra. Zaproponowano składkę dla sieroty, ale p. Pinson i jego przyjaciel

oświadczyli natychmiast, iż biorą w opiekę chłopca, a każdy z podróżnych uściskał im dłoń.

Gdy wieczór nadszedł, w chwili siadania do wieczery Kanadyjczyk wręczył Żywemu Srebru, który już wstał z łóżka od godziny, dwieście franków w złocie. Chłopiec z wielkim zadziwieniem patrzył na pieniądze, nie wiedząc co one znaczą.

— Moje dziecię, to podróżni dają ci je w podarunku. Masz wprawdzie zacnych opiekunów, ale i my chcielibyśmy ci dopomóc.

Nazajutrz niebo, które dotąd pokrywały ciężkie i czarne chmury, wypogodziło się zupełnie. Powietrze stało się świeże; czyste i ostre; morze spokojne i gładkie; jak potężna tafła szkła, żywo odbijało promienie słońca. Pogoda w powietrzu i na niebie rozradowała serca wszystkich podróżnych, a naturalnie i p. Pinson. Złorzeczył on wprawdzie swojemu przyjacielowi, który stał się powodem całej nieprzyjemności, a jakkolwiek nie śmiał się z własnej niedoli, bo była ona zbyt dojmującą, to jednakże odzywał się o niej z humorem i dowcipem wrodzonym.

Żywe Srebro z ruchliwością umysłu, właściwą jego wiekowi, rychło się pocieszył. Rozpatrywał on bacznie okręt, zewnątrz i wewnątrz, pragnąc widzieć i poznać wszystko. Dzięki znajomości języka angielskiego, mógł on rozmawiać z majtkami, oficerami i podróżnymi. Był także wielką pomocą dla panów Boisjoli i Pinson, którzy bez niego pozostawaliby tu w zupełnym odosobnieniu. Uczył ich angielszczyzny i zadawał im tysiączne pytania.

— Dlaczego nasz steamer nazywa się *Canada*? — zagadnął pana Pinson. — Wyraz ten nie jest angielski, ani francuzki.

— *Canada* — odrzekł zapytany — jest to imię rozległej krainy, którą odkrył Jan Cabot w r. 1497, a zwiędził poraz pierwszy Franciszek Denis, w r. 1523. Wkrótce potem przybyli do niej Hiszpanie, w celu poszukiwania kopalń złota. Nie mogąc znaleźć tego, czego szukali, wrócili, mówiąc: *aca nada* (tutaj nic). Słowa te połączone ze sobą, utworzyły nazwę przyjętą powszechnie dla owiej krainy.

— Powiadają też — wtrącił p. Boisjoli — że wyraz *Canada* znajduje się w mowie Irokezów i że znaczy *gro-mada chat*.

— To prawda — odrzekł p. Pinson — ale pochodzenie hiszpańskie nazwy jest prawdopodobniejsze.

— Czy Kanada leży niedaleko Ameryki? — pyta Żywe Srebro.

— Jest ona jej częścią, tak jak Francya i Anglia są częściami Europy. Ameryka północna, ku której zdążamy, jest olbrzymim lądem, składającym się z sześciu części głównych: dawniejsza Ameryka rosyjska, z portem Alaszka; Ameryka angielska, na którą składają się: Labrador, Kanada, Nowa Szkocya; Ameryka Duńska, albo Grenlandya; Stany Zjednoczone, którym Europejczycy nadają ogólne miano Ameryki, biorąc część za całość, a wreszcie krainy należące do najrozmaitszych ludów i plemion tego olbrzymiego lądu.

— A gdzież leży Meksyk?



Canada przebywała ławicę śledzi.

— Meksyk i Guatimala wchodzą w skład Ameryki północnej.

— Dziękuję panom—rzekł po chwili chłopiec;— będę się starał wszystko zapamiętać.

Czwartego dnia po wyjeździe z Liwerpoola osada *Canady* doznała silnego wrażenia, a na pokładzie statku zapanował chwilowy ruch. Nudne i bezczynne życie podróżnych sprawia, iż lada przypadek nabiera w ich oczach niepospolitego wrażenia. Otóż, około południa, powierzchnia morza nagle poczęła błyszczeć, jakby posrebrzona. *Canada* płynąc wciąż naprzód, znalazła się wkrótce w samym środku ławicy śledziowej, rozsięwiającej srebrne połyski skrzeli i delikatnej łuski tych stworzeń. Żywe Srebro, zachwycony, ujrawszy zbliżka miliony rybek, wykonał zaraz swoje mistrzowskie *salto mortale*, z niepospolitym podziwem majtków.

— Zkąd płyną te ryby i gdzie?—spytał pana Pinson.

— Płyną z oceanu Północnego. Śledzie, tak samo jak jaskółki, wędrują corocznie. Z lodowatych przestworzy morza polarnego w ławicach, jak oto widzisz, przepływają one setki mil. Rybacy francuzcy i angielscy będą z nich mieli wkrótce obfity połów; śledzie świeże, lub też solone albo wędzone, służą za pokarm rozmaitym ludom Europy.

Ławica śledzi, szeroka na jaki kilometr, a długa tak, że jej końca dostrzedz nie było można, przepłynęła wkrótce obok okrętu, który żeglował w przeciwnym jej kierunku. Chmary ptaków moskich unosiły się nad biednemi rybkami, chwytając je ciągle z wody i zjadając. Między tymi skrzydlatemi rybakami, które zowią się

goelands, a są tak silne i wytrwałe, iż mogą bez odpoczynku przelecieć olbrzymią przestrzeń 3,000 kilometrów, było wielu niepospolitych żarłoków.

Wieczorem, w godzinie poobiedniej, p. Pinson rozmawiał najspokojniej ze swoim przyjacielem, gdy zbliżył się oficer.

— Przebacz mi pan—rzekł—jeżeli mu przerywam; wymagają tego obowiązki mej służby. Wszak pan zajmuje dla siebie i chłopca osobną kajutę?

— Ma się rozumieć; należy nam się to, jako naszym gościom, panie oficerze. Musimy przecież gdzieś sypiać!

— Bezwątpienia. Mam jednak honor przypomnieć, że podróż pańska kosztuje 2,000 franków.

— Dwa tysiące franków!—zawołał p. Pinson, zrywając się z ławki, na której siedział.—Ja... winien jestem panom dwa tysiące franków?... A to z jakiej racyi?

— Jako opłatę na kosztą podróży, miałem już honor objaśnić.

— A toż co nowego? Jakto, pomimo mojej woli wieziecie mnie, nie zważając na moje prośby i żądania, i każecie mi za to płacić?... Ależ to cudownie, doprawdy, cudownie!

— Czyżbyś pan chciał przepłynąć ocean darmo?

— Ja go nie chcę przepłynąć wcale; mój panie, i pan wiesz o tém wybornie. Dwa tysiące franków za wywiezienie mnie gwałtem na koniec świata! Nie, tego już nadto!

— Jeżeli pan zechcesz zająć kajutę klasy drugiej, będzie to kosztować tylko 1600 franków. Za tysiąc

franków damy panu mieszkanie i żywność, jakiej używają majtkowie.

— Jakto?—ciągnął dalej oburzony p. Pinson—i to teraz panowie zawiadamiacie mnie o tych bajecznych cenach, kiedy już jesteśmy na pełnym morzu? Ja wyjechałem z Paryża, aby zobaczyć Londyn, nie zaś żeby płynąć do Ameryki, i mam przy sobie tylko tysiąc franków...

— Bądź pan łaskaw wyrozumić—odrzekł z flegmą oficer—że towarzystwo żeglugi nie może być odpowiedzialnym za przypadek, który pana zatrzymał na pokładzie *Canady*. Jész pan tutaj, pijesz, sypiasz... a na całym świecie płacić za to trzeba.

— A jeżeli ja nie zechcę płacić? jeżeli płacić nie mogę?

— W takim razie z wielkim moim żalem każe pana ulokować pod pomostem, celem zmniejszenia kosztów pańskiej podróży, a za wylądowaniem w Ameryce sądy i sprawiedliwości...

— Ja zapłacę—przerwał Boisjoli—i poniosę chętnie tę ofiarę, którą mi stokrotnie wynagrodzi twoje towarzystwo, Orog! Pinson.

P. Pinson nie słuchał dalej, ale przebiegał gwałtownymi krokami pokład. Jakto? Nietylko że traci miesiąc drogiego czasu, że narażają go na wszystkie możliwe wypadki podróży morskiej, że go wloką do Ameryki, pomimo jego woli, ale nadto każą mu jeszcze płacić 2000 franków, grożą sądami i sprawiedliwością? P. Pinson nie chciał słuchać uwag swojego przyjaciela; usiadł sobie na przodzie okrętu i spoglądał długo i bezwiednie

na przepaść, jaką tworzył dziób steamera, prując fale morskie.

Słońce miało się ku zachodowi, małe białe obłoczki płynęły w powietrzu, a około wielkiego masztu krążyły stada mew, marzące zapewne o uwiciu swoich gniazd.

— Żagiel!—zawołał w tej chwili majtek, czuwający w bocianiem gnieździe.

P. Pinson obudził się z zamyślenia nagle. Istotnie ujrzał w wielkiej odległości wierzchołek masztu.

— Zapytaj natychmiast—rzekł spiesźnie do Żywego Srebra—czy będziemy przepływać obok zbliżającego się statku.

— A jakże—odrzekł majtek, do którego chłopiec udał się z zapytaniem—jeżeli on tylko nie zmieni kierunku.

P. Pinson, otrzymawszy odpowiedź, pociągnął chłopca ku budce sternika, gdzie kapitan, z perspektywą w ręku, rozpatrywał widnokrąg.

— Prędko—rzekł niecierpliwie inżynier—zapytaj kapitana w słowach najuprzejmniejszych, na jakie zdobyć się umiesz, czy wraże, gdy będziemy przepływać obok nadciągającego statku, przepisy marynarskie nie zabronią nam przesiąść się na jego pokład.

Żywe Srebro spełnił polecenie. Kapitan otarłszy szkła perspektywy, odrzekł z flegmą:

— Okręt ten zdaje się płynąć ku nam; jeżeli jego komendant nie będzie miał nic przeciwko temu. zgardzam się ze swojej strony i obiecuję zatrzymać się na

chwilkę, ażeby was przesadzić. Żadne prawo nie sprzeciwia się temu.

Żywe Srebro wiernie przetłumaczył tę odpowiedź panu Pinson, który, skłoniwszy się z uszanowaniem kapitanowi, powrócił na przód okrętu, aby śledzić ruchy nadpływającego statku, mającego go zawieźć na ulicę Nollet.

IX.

FULTON.

Po całodziennych obserwacjach, p. Pinson, bardziej smutny i zniechęcony, niż kiedykolwiekbądź od chwili wyjazdu, powstał i opuścił z wolna swe miejsce przy budce sternika. Okręt, na którym miał nadzieję powrócić do Europy, jak się tu pokazało, płynął w tym samym kierunku, co i *Canada*, ponieważ, zamiast zbliżać się coraz bardziej, oddalał się, a wreszcie znikł zupełnie.

— No, chłopcze—rzekł smutnie inżynier—jedziemy do Ameryki. Już to jest zapisane w księdze przeznaczeń, jak mówią mahometanie.

Żywe Srebro, który, dzięki pobłażaniu naszych przyjaciół, zaledwie już tylko przez połowę żałował swego pobytu na pokładzie, spuścił głowę i nie odpowiedział ani

słowa, ale skoro p. Pinson odszedł, aby zająć poprzednie miejsce, chłopiec wykonał zaraz swój ulubiony skok, który należał do objawów najżywszej jego radości.

P. Boisjoli, widząc swego przyjaciela smutnym i milczącym, melancholicznym i szukającym samotności, zbliżył się doń i zaproponował mu partya bezika.

— Dziękuję—odrzekł inżynier. — Nie mam teraz głowy do gry.

I aż do chwili pogaszenia świateł na okręcie, to jest do godziny dziesiątej, mówił o smutnym zawodzie, jako o najcięższej przeciwności w życiu. Nazajutrz, zaraz po przebudzeniu się, pobiegł na pokład i począł nanowo rozglądać widnokrąg, przecierając oczy i mówiąc do zbliżającego się chłopca:

— Gzy widzisz co w oddali?

— Widzę to samo co wczoraj, to jest wierzchołek masztu.

— Zapytaj natychmiast, co to znaczy.

— Majtek z bocianiego gniazda—odparł, wypełniwszy zlecenie, chłopiec—powiada że maszt należy do statku, któryśmy wczoraj widzieli, a który teraz zbliża się ku nam.

Gdyby p. Pinson umiał wykonać „salto mortale“, najniezawodniej wykonałby je, usłyszawszy tę dobrą wiadomość.

— Brawo!—zawołał, wznosząc wysoko zdjętą czapkę, z wyrazem najwyższego zadowolenia.—Poproś tu natychmiast pana Boisjoli, chłopcze; według wszelkiego prawdopodobieństwa, już tylko przez krótki przeciąg czasu gościć będziemy na pokładzie *Canady*.

Żywe Srebro oddalił się... wolnym krokiem, spodziewając się zapewne, że jego opieszalność pod tym względem opóźni i bieg nadpływającego okrętu.

— Szkoda, wielka szkoda!...—mrucał z niezadowolaniem.

P. Pinson, ujrawszy nadchodzącego przyjaciela, uściskał go i wypowiedział swą nadzieję.

— Raduję się za ciebie, kochany Pinson—odrzekł p. Boisjoli—choć z drugiej strony przybycie spodziewanego statku wcale mnie nie ucieszy. Już zrobiłeś taki kawał drogi i mógłbyś ujrzeć Amerykę.

— To jest, mój przyjacielu, obaczyłbym ją, wbrew woli, pomimo chęci.

— Toby nam pozwoliło spędzić parę tygodni razem.

— Prawda, ale potem nastąpiłoby znów rozłączenie. Wolę go nie odwłóczyć...

— Jesteśmy już prawie w połowie drogi, Pinson. Jeszcze tylko sześć dni, a mógłbyś widzieć Nowy-York, Niagarę..

— Przy podobnym rozumowaniu, mój Boisjoli, mógłbym zajechać na koniec świata. Za sześć dni mogę być w Nowym-Yorku, gdzie nie mam żadnego interesu, ale za pięć dni powinienem być na ulicy Nollet, a ja głosuję za ulicą Nollet.

Morze było spokojne; dwa okręty, płynące naprzeciw siebie, najdalej za dwie godziny powinny były spotkać się ze sobą. Wszyscy pasażerowie *Canady* wylegli na przedni pomost. P. Pinson rozpromieniony ścisnął jednych za ręce, kłaniał się drugim, żegnał wszystkich zawczasu, ponieważ kapitan wznowił daną mu obietnicę,

że go przesadzi na pokład nadpływającego okrętu, który nasz inżynier uważał za posłańca Opatrzności.

— Zdaje mi się że pan będziesz moim gościem aż do Nowego-Yorku—rzekł po chwili komendant, który z lunetą w ręku rozpatrywał widnokrąg.—To co widzę, każe mi wnosić iż zbliżający się statek jest okrętem wojennym.

— Okrętem wojennym!—powtórzył p. Pinson.— Czy pan sądzisz że na jego pokładzie zabraknie miejsca dla mnie?

— Okręty wojenne—rzekł Żywe Srebro, tłumcząc słowa kapitana—nie przyjmują podróżnych. Przepisy morskie zabraniają im tego.

P. Pinson opuścił ręce:

— Znowu przepisy morskie!—zawołał z rozpaczą.— Dokądże u licha te przeklęte przepisy będą nas udrećcać!? Przecież nie jesteśmy marynarzami, tylko spokojnymi obywatelami, co nam więc do tych mądrych przepisów! One to zatrzymały nas na pokładzie *Canady*, pomimo naszej woli. i one zawsze nie pozwalają nam go porzucić, chociaż trafia się potem wyborna sposobność. O! tego już nadto!

— Uspokuj się, przyjacielu—rzekł p. Boisjoli.

— Mówisz jak ci wygodniej. Jakże ja się mam uspokoić, jak? Zkąd u licha wziąć zimną krew w podobnym wypadku? Hej, Żywe Srebro, proś kapitana, niechaj spyta, niech spróbuje.! przecież to nic go nie będzie kosztować. Komendant zbliżającego się statku, jest zapewne człowiekiem zacnym... ja mu wyjaśnię wszystko. Chodzi tu o nasze losy... tego lekceważyć

nie można. Spytaj także, do jakiej narodowości należy ten okręt.

— Kapitan powiada, że jest to statek wojenny amerykański.

— Tém lepiej, tém lepiej!—prawił gorączkowo p. Pinson.—Amerykanie są ludem dzielnym, szlachetnym, kochają wolność, nie będzie więc trudno im wytłumaczyć... Co mówi na to kapitan?

— On twierdzi—odparł chłopiec—że zatrzymywać się, byłoby to tracić napróżno drogi czas. Radzi panu mieć cierpliwość.

P. Pinson żałował tém silniej niż kiedykolwiek, że nie mówi po angielsku. Był pewnym że sprawa, przełożona przez niego kapitanowi, wzięłaby inny obrót, a komendant zgodziłby się niezawodnie porozumieć z dowódcą nadpływającego statku.

— Gdy nasz steamer znajdzie się w pobliżu tego okrętu—rzekł sobie rezolutnie p. Pinson— rzucę się w wodę, a wówczas będą musieli spuścić łódź, aby mnie ratować.

Aż do téj chwili oba statki obserwowały się spokojnie i w milczeniu, wkrótce jednak spostrzeżono że okręt amerykański steruje ku *Canadzie*. Wedle przyjętego zwyczaju, ta ostatnia powitała zbliżający się okręt wywieszeniem bandery angielskiej, poczem i nad fregatą wojenną powiewać zaczęła flaga konfederacji Stanów Zjednoczonych północnych. Następnie, zbliżywszy się bardziej jeszcze, powitano *Canadę* wystrzałem działowym, co było zarazem znakiem zatrzymania się.

Kapitan steamera, mruczając coś pod nosem, nakazał wstrzymać bieg swojego statku i dwa okręty płynące tylko z biegiem fali znalazły się w odległości zaledwie czterech metrów. Łódź z sześcioma majtkami, dowodzona przez młodego oficera, przypląnęła od okrętu amerykańskiego i zatrzymała się u boku *Canady*. Oficer znalazł się wkrótce na pokładzie: był to porucznik fregaty.

— Kommodor Warren—rzekł, salutując grzecznie kapitana— przesyła panu swoje pozdrowienie i prosi najuprzejmiej, abys zechciał jego depesze, za przybyciem do Nowego-Yorku, przesłać tamtejszym władzom.

— Zapewnij pan kommodora — brzmiała odpowiedź— że jego polecenie spełnionem będzie. Czy można pana zapytać, co się dzieje w pańskiej ojczyźnie?

— Nie dobrego, kapitanie; powstańcy tryumfują, ale mam nadzieję, że się to wkrótce zmieni.

Obydwaj oficerowie, których p. Pinson ani na chwilę z oka nie spuszczał, rozmawiali na przednim pomoście, ponieważ porucznik nie chciał wejść do salonu.

— Co oni mówią?—pytał ustawicznie Żywego Srebra inżynier.

— Że wojna jest w tej chwili zaciętszą niż poprzednio, że postanowiono dać swobodę niewolnikom, że pogoda jest wyborna...

— I co więc?!

— Że korsarze Południa wyrządzają wielkie szkody handlowi amerykańskiemu i że wreszcie fregata udaje się na wody Europy, w celu ścigania statków korsarskich.



Łódź o sześciu wiosłach, pod dowództwem młodego oficera.

— A dalej, cóż dalej?... Dlaczego porucznik uśmiecha się, spoglądając na mnie?

— Ponieważ...

— Cóż, mówże jasno!

— Ponieważ kapitan opowiada mu pańskie przygody.

W téj chwili oficerowie uścisnęli sobie ręce, a porucznik postąpił, aby wsiąść do swéj łodzi.

— Tylko słówko—rzekł doń inżynier, stając mu na drodze.—Czy pan mówisz po francuzku?

— Cokolwiek—odpowiedział porucznik.

P. Pinson odetchnął lżej; mógł nareszcie własnymi usty przedstawić swoją sprawę.

— Pan już znasz moje przygody, panie poruczniku, kapitan *Canady* opowiadał je panu. Są one śmieszne dla wszystkich, ale nie dla mnie; pan to pojmujesz wybornie. Do rzeczy jednak! Panowie płyniecie do Europy, być może że i do Francyi nawet... na tę myśl serce uderza mi silniej. Sztandary Ameryki, swobodnej, potężnej... Przebacz pan, przystępuję do rzeczy. Weźcie mnie na swój pokład, odwiedźcie mnie do mojego kraju, będzie to czynem... szlachetnym!

Żywość i oryginalność téj przemowy wywołała uśmiech na usta porucznika.

— Nie jestem komendantem *Fultona*—odrzekł—jestem tylko podwładnym kommodora Warrena.

— Mimo to zabierz mnie pan ze sobą; znalazłszy się na waszym pokładzie, wytłumaczę to komendantowi... Kiedy się ma do czynienia z marynarzem...

— A jeżeli kommodor nie zgodzi się na pański pobyt na *Fultonie*, cóż zrobimy? Kapitan *Canady* nie zechce na pana oczekiwać.

— Ha! w takim razie — odrzekł rozpaczliwie pan Pinson — rzucicie mnie w morze i wszystkie kłopoty raz się skończą.

Porucznik wczasie téj rozmowy zbliżał się z wolna do schodków, któremi wszedł na okręt, a u dołu których oczekiwała nań łódź *Fultona*. Obydwa statki znajdowały się teraz zaledwie w odległości trzystu metrów. Osada *Fultona* zgromadziła się na pokładzie.

— Badź pan łaskaw i użyż mi swój tuby — rzekł z cicha porucznik do kapitana. — Nic mnie przecież nie będzie kosztować, jeżeli temu dżentlemanowi dopomogę.

Kapitan podał tubę.

— Kommodorze! — wołał przez nią porucznik.

— Jestem, o co chodzi? — odrzekł kommodor, który, stojąc na mostku *Fultona*, przypatrywał się przez lunetę *Canadzie*.

— Pewien dżentelman francuzki, przez omyłkę, znajduje się na pokładzie *Canady*, i płynie mimowoli do Ameryki.

Wesoły wybuch śmiechu majtków *Fultona* zabrzmiał po tych słowach. Kommodor głosem piorunującym nakazał milczenie swój osadzie.

— A cóż mnie mogą obchodzić — brzmiała odpowiedź — przygody tego gentlemiana?

— Żąda on, abyś go pan zechciał przyjąć na pokład swego statku i odwieść do jego kraju.

Pan Pinson, który wybuch śmiechu marynarzy przyjął nawet bez zmarszczenia brwi, stał wsparty na ramieniu swego chłopca i nie spuszczał z oka kommodora. Kommodor przebiegł parę razy pomost swego statku i zawołał.

— Zgadzam się!... Przewieść tu tego gentlemiana!

— Spotkanie *Canady* — objaśnił porucznik — która zawiezie do Waszyngtonu raport o zmasakrowaniu korsarza, za którym uganiał się dość długo, dało kommodorowi wyborny humor. Ale śpiesz się pan... nie trzeba mu zostawiać czasu do zmiany poleceń.

Żywe Srebro przetłumaczył swemu opiekunowi odpowiedź kommodora, którą usłyszawszy, inżynier miał ochotę, jak to mówią, wyskoczyć ze skóry, ale radość i wzruszenie sparaliżowały jego energią i bystrość umysłu.

— Naprzód, chłopcze!... — wołał tylko — naprzód... śpiesz się, śpiesz!

— Jak to, więc pan nie jesteś sam? — spytał porucznik zdziwiony.

P. Pinson nie odrzekł nic; uniósł tylko swego chłopca za kołnierz i oddał go majtkom w łodzi, do której spuścił się następnie sam.

— Czy to pański syn? — zapytał go powtórnie porucznik.

— Tak... prawie — odrzekł inżynier.

W tej chwili oficer *Canady* zawołał:

— Hej tam... nie zabierajcie ich!... Niechaj pierw płacą co winni.

— Ja za nich płacić będę — pośpieszył zapewnić p. Boisjoli.

Oficer zamilkł, a w minutę później, porwana silnymi uderzeniami wioseł, łódź oddaliła się szybko od *Canady*, która puściła się w swą drogę. Z jaką radością p. Pinson stanął na pokładzie *Fultona*! Chciał się rzucić w ramiona kommodorowi, ale ten nie miał czasu na czułości i zajęty był wydawaniem rozkazów. Wówczas inżynier zwrócił się w stronę odpływającej *Canady*, która po trzykroć podniosła i spuściła swą banderę na pożegnanie. Boisjoli, stojąc na tyle okrętu, powiewaniem chustki przesyłał ostatnie pozdrowienie przyjacielowi. W tej chwili śruba *Fultona* rozpoczęła swój obrót i statki oddaliły się od siebie gwałtownie.

P. Pinson mógł niezadługo rozmawiać z kommodorem i dziękować mu za gościnność na pokładzie *Fultona*. Opowiedział mu z werwą, która ubawiła serdecznie kommodora, wypadki przymusowej swojej podróży. P. Pinsona opowiadanie mogło być tém dosadniejsze że komodor i jego oficerowie znali język francuzki. A tymczasem Żywe Srebro z wielkim smutkiem spoglądał na oddalającą się *Canadę*, a z nią i nadzieję zwiędzenia nieznanymi krajów.

„Szkoła, wielka szkoda! — mówił sam do siebie; — Ameryka była już tak blisko i byłbym się niezadługo przekonał, czy Robinson kłamał. Ha... pociesmy się tém przynajmniej, że za kilka dni uściskamy pocziwą matkę Pitch i że p. Pinson obiecał zawieść mnie do Paryża. Ale zawsze... wielka szkoda!”

X.

D A V I S.

Pod pozorami prostoty, familiarności i oryginalności, p. Pinson był jednakże człowiekiem uczonym i niezmiernie miłym w stosunkach codziennych. Pozbawiony się raz dręczącej go zmory, stał się najprzyjemniejszym towarzyszem. We dwadzieścia cztery godzin po przeniesieniu się na pokład *Fultona*, uważano go tu już za przyjaciela kommodora i jego oficerów. Kommodor, stary wilk morski, siwy już, a raczej szpakowaty, posiadał swoje rzemiosło marynarskie bardziej przez praktykę, aniżeli z teorii, i wbrew zwyczajowi wielu kolegów, chętnie dawał ucho rzeczom, które niekoniecznie z morzem i marynarką miały związek. Prawy i ludzki, okazywał się jednakże nieubłagany, gdy chodziło o obowiązek. W kraju swoim cieszył się on sławą zdolnego marynarza, chociaż miał zapewne i zazdrosnych przeciwników. O narodach stariej Europy ten dzielny Amerykanin miał nieszczególnie wyobrażenie. I tak na przykład utrzymywał zawsze, że Anglia była niegdyś kolonią Stanów Zjednoczonych i że Krzysztof Kolumb, który pewnego pięknego poranku odkrył *stary* ląd, nie był bynajmniej Genuńczykiem, lecz ujrzał światło słońca w Nowym Yorku. Takie dziwaczne uprzedzenia, właściwe wszystkim Amerykanom, stanowią do pewnego stopnia moralną siłę tego szczególnego narodu. W Sta-

nach Zjednoczonych, tak jak niegdyś w Atenach, każdy obywatel gotów jest poświęceniem majątku i życia dowieść wyższości, jaką swemu krajowi przypisuje.

Przygody Żywego Srebra, opowiedziane szczegółowo przez p. Pinson, ściągnęły ogólną uwagę na chłopca-sirotę, przez jego szlachetność, inteligencją, żywotę i uprzejmość, które też niezadługo podbiły mu sympatyę oficerów i majtków. Ta sympatyę, na wielką pociechę chłopca, pozwoliła mu wkrótce rozwinąć całą zwinność i ruchliwość wiewiórki; biegał bez ustanku po całym okręcie, przypatrywał się wszystkiemu i gotów był biedz na pomoc każdemu, bez względu na rodzaj jego zajęcia i pracy.

Z polecenia kommodora p. Pinson i jego pupil pomieszczeni zostali narówni z oficerami i otrzymywali oficerskie porcyę żywności. Żywe Srebro, dzięki zapewne swojemu wychowaniu pierwotnemu, umiał utrzymać się na właściwem stanowisku śród poważnego otoczenia. Chłopiec posiadał wrodzoną dystynkeę, której włóczegowskie życie jego nie zatarło; wykształcenie mogło go uczynić człowiekiem, godnym tego imienia.

P. Pinson, chwile jakich nie pędził na pokładzie Fultona, obracał na naukę języka angielskiego i na lekcyę z Żywem Srebrém. Nie było dlań trudnem przez zapytania odpowiednio zgruntować szczupłą wiedzę chłopca. Raz zapytany, Żywe Srebro mnożył pytania swoje bezustanku, domagając się jasnych i stanowczych odpowiedzi. Kształcić umysł chłopca nie było rzeczą łatwą; chciał on wszystko poznać, zbadać i zgłębić, a wyjaśnienia jego nauczyciela pobudzały coraz ży-

wiej jego ciekawość, która się nigdy nie czuła zaspokojoną.

Pogoda zmieniła się i deszcz zaczął padać, wskutek czego p. Pinson i jego uczeń zmuszeni byli siedzieć w salonie ogólnym, gdzie oficerowie dyskutowali o najrozmaitszych rzeczach i czytywali książki.

— Czy wiesz, chłopcze—rzekł razu pewnego inżynier—że to szczęśliwa okoliczność w twojem życiu, iżęś spotkał na swojej drodze pana Boisjoli. Dzięki jemu, będziesz oddany swęj familii; wymógł na mnie przyrzeczenie, że nigdy cię nie opuszczę, a co przyrzekłem swemu przyjacielowi, to rzecz święta. Boisjoli jest człowiekiem niezmiernie zdolnym w swoim zawodzie; dowiesz się o tém niezadługo, bo niezawodnie szeroko o nim mówić będą. Posiada on przytém dzielne serce, jak na przykład nasz kommodor i tysiące ludzi jemu podobnych, o jakich nietrudno w Stanach Zjednoczonych, gdzie znajdują łatwo sposobność do wyniesienia się i okazania wrodzonych talentów.

— O!... i pan także takie serce posiadasz—wtracił Żywe Srebro—i kommodor przyznał to, gdym opowiedział historyę ogrzewaczki dla matki Pitch.

— Pięrszą myśl tego podarunku powziął Boisjoli, mój chłopcze; mówiłem ci to już tyle razy, że mógłbys nie zapominać.

Po każdęj lekcyi Żywe Srebro ścisnął gorąco dłoń pana Pinson na podziękowanie i, tytułem rekreacyi, biegł, aby przyglądać się działaniu maszyny parowęj, lub towarzyszyć przy manewrach okrętowych.

— Opowiadano mi — rzekł raz do p. Pinson — że imię *Fulton*, które nosi nasz okręt, jest imieniem jakiegoś inżyniera amerykańskiego, i że inżynier ten był wynalazcą paropływów. Zapewne to tylko przywidzenie kommodora, nieprawdaż?

— Bynajmniej, mój chłopcze; Robert Fulton był istotnie Amerykaninem i urodził się w Pensylwanii w r. 1785. Był piętowotnie malarzem i to podobno bardzo lichym. Przez pociąg wrodzony wziął się następnie do pracy nad mechaniką i wkrótce wymyślił piłę do rozcinania marmuru, poczem statek podmorski, którego celem było ratowanie tonących. Statek ten, uległszy wielu zmianom, dokonany przez współziomków Fultona, przekształcił się zczasem w tak zwane *torpile*, to jest maszyny wybuchowe podmorskie do rozbijania nieprzyjacielskich okrętów. Największy tytuł do chwały Fultona stanowi jednakże zastosowanie pary do żeglugi. Stało się to we Francyi, w r. 1802 i 1803, w których-to latach odbyły się pierwsze próby. Niestety jednak, przedstawiona wówczas machina przez swego wynalazcę nie zyskała uznania i Fulton, niezniechęcony jednak, powrócił do Ameryki. Tam zbudował inny statek, na wielki podziw mieszkańców New-Yorku, a statek ten odrazu począł kursować po rzece Hudson, między New-Yorkiem a Albany.

— Miałem nadzieję — przerwał zasłuchany chłopiec — że ci, którzy mi to opowiadali, pomylili się. Cieszyło mnie to przewidywanie!

— A to dlaczego?

— Tak pragnąłem gorąco, aby wynalazek żeglugi parowej był zasługą Francuza!

— Pociesz się! I Francuzi wzięli swój udział w sprawie wynalazku statków parowych, steamerów i pyroskałów, jak nazywają tego rodzaju okręty. W r. 1695 Francuz Papin nakreślił projekt statku zaopatrzonego w wiosła, które poruszała para. W r. 1699 Duquet próbował zastąpić wiosła kołami, zaopatrzonemi w łopatki. W r. 1753 ojciec Gautier, w Lunewilu, czytał w akademii nancejskiej rozprawę w tym przedmiocie. Nidosycie na tém: w r. 1775 Périer zbudował w Paryżu statek parowy, który pływał po Sekwanie; próby z takim statkiem powtórzył margrabia de Jouffroy w r. 1780. Powiadają nawet, że Fulton był świadkiem tych usiłowań, ale powiadają źle, bo w tym czasie jeszcze on nie żył. Co prawda, mógł on czytać o usiłowaniach margrabięgo, ale sam ich nie widział. Tym sposobem, bez odmawiania zasługi Fultonowi, można ją przyznać margrabiemu de Jouffroy, któremu też akademii umiejętności przyznała istotnie prawo wynalazku.

— Chciałbym to opowiedzieć maszyniście — przerwał Żywe Srebro; — niech nie sądzi, że Francuzi są... bydlętami. Ale jeszcze słówko... Machina *Canady* poruszała kołami, a tymczasem *Fulton* płynie zapomocą śruby.

— Śruba, mój chłopcze, jest znowu pomysłem francuzkim; Duquet, o którym już wspominałem poprzednio, pierwszy ją wymyślił. W r. 1803 Karol Dallery ogłosił pamiętnik, w którym śruba okrętowa wybornie jest

opisaną. Piérwszym, który ją do praktycznego użytku zastosował, był kapitan szwedzki Ericson, w r. 1836.

— Czy śruba jest lepsza od kół?

— Śruba jest przedewszystkiém użyteczniejsza dla statków wojennych, których koła daleko łatwiej zniszczyć można wystrzałami armatniami. Okręty śrubowe mogą téż z łatwością żeglować przy pomocy żagli, bo są daleko lżejsze i wysmuklejsze. Śruba okrętowa, zagarniając swemi skrzydłami wodę tak, jak wiatrak powietrze, pociąga za sobą statek z szybkością ośmiu do dziesięciu mil na godzinę.

W pięć dni po przeniesieniu się na pokład *Fultona*, p. Pinson, około trzeciej godziny po południu, znajdował się na przodzie statku, gdy spostrzeżono brzegi Anglii. Serce uderzyło mu gwałtownie. *Fulton* więc niezadługo wpłynię do kanału La Manche, a tu pokolei zwiędzi wszystkie porty, szukając statków korsarskich, które od kilku miesięcy wyrządzały ustawiczne szkody, napadając na okręty handlowe i niszcząc je.

— Ziemia! ziemia! — ozwał się głos donośny z bocianiego gniazda.

P. Pinson, wzruszony bardzo, mógł niezadługo rozpoznać własnemi oczyma biały obłoczek pod ciemnymi chmurami, który mu wskazano, jako brzegi Anglii. Nieruchomość tego obłoczka, którego kształty stawały się z każdą chwilą wyraźniejsze, wycisnęła łzy z oczu inżyniera, który oparł się o ramię Żywego Srebra, aby ze wzruszenia nie upaść. Chłopiec tymczasem, dumając o Robinsonie, o Ameryce, o tygrysach i Piątku, mruzczał:

— Szkoda, wielka szkoda! Raduje mnie to że ujrzę wkrótce matkę Pitch, ale mi smutno, że nie zobaczę odludnej wyspy.

Brzeg, który się ukazał, był to przylądek Lizard; rozpoznawszy go, statek skierował się ku wejściu do cieśniny La Manche. Wkrótce ujrano kilka statków. Kommodor i jego oficerowie, uzbrojeni w lunety, rozpatrywali te statki, czyniąc to z wielką troskliwością i udzielając sobie wzajemnie swoich uwag.

Fulton, od chwili zmiany kierunku, płynął równolegle z jakimś statkiem. Gdy *Fulton* zbliżył się, bryg ten wywiesił flagę szwedzką. *Fulton* okrążył go, pozdrowił ze swjej strony wetzawet i puścił się ku innemu statkowi, który się ukazał na lewo. P. Pinson uczuł dziwne wzruszenie, gdy na pawilonie tego statku ujrzał kolory Francyi, które, zawisłszy i opuściwszy się potrzykroć, salutowały gwiazdzistą chorągiew Stanów Zjednoczonych.

Podczas reszty wieczora *Fulton* odbył przegląd ośmiu innych okrętów, ponieważ na wodach cieśniny La Manche ustawicznie dają się spotykać statki najrozmaitszych krajów, płynące w różnych kierunkach. Parę razy nawet kommodor zapytywał kapitanów przepływających okrętów, zkad i dokad zdużają. Ostatni z zapytywanych statków był amerykańskim, a rozmowa z jego kapitanem zajęła cały kwadrans. Statek ten płynął z Hawru; kapitan jego zawiadomił kommodora, że korsarz, którego ściga, znajduje się w Cherbourgu, gdzie rozeszła się wieść o wielu napadach i lotrostwach z jego strony. Była to wiadomość ważna i pożądana

i *Fulton* natychmiast skierował się w stronę wskazanej przystani.

— Zobaczysz pan śliczny taniec, panie inżynierze— rzekł kommodor do p. Pinson— jeżeli, jak się spodziewam, uda mi się spotkać z okrętem korsarskim *Davis*, który, polując na niewinne króliki, sam wpadnie w paszczę rekina. W waszym kraju biją się dzielnie, ani słowa, słyszałem o tém dosyć; ale ujrysz pan na własne oczy co to są ciosy, zadawane ręką Amerykanina.

— Ja sądzę że ta ręka w bitwie zabija, nic więcej— odrzekł p. Pinson.

— To się wie, ale są sposoby zabijania i zabijania, panie inżynierze, a ręczę że nasz nie należy do najgorszych.

P. Pinson kochał bardzo swój kraj, nie nawidził wojny, chyba tylko w obronie własnej, nigdy zaś, gdy była zaczepną. Teraz jednak czułby się bardzo szczęśliwym, gdyby miał pewność że za czterdzieści osiem godzin będzie już na lądzie, nie potrzebując sprawdzać naocznie sposobu zabijania, który mu tak zalecał kommodor.

— Czy Cherbourg podobny jest do Liwerpoola? — spytał Żywe Srebro.

— Nie; Cherbourg jest portem wojennym, Liverpool zaś handlowym. Cherbourg jest jedynym portem takim, który posiada Frencyja na kanale La Manche.

Noc nadeszła; posuwano się ciągle po wielkiej drodze, po której płyną okręty z Hamburga, Flesyngi, Anvers, Portsmouthu, Plymouthu, Dunkierki, Hawru i t. d., aby wypłynąć na ocean i roznieść na najdalsze

kończyny ziemi produkta przemysłu europejskiego. Dwaj majtkowie stali na przedniej straży, aby ciągle przepatrywać widnokrąg i uprzedzać o odległości brzegów. Około godziny dziewiątej wieczorem napotkano goelletę, następnie zaś bryg amerykański. Statek korsarski, którego szukał *Fulton*, miał być właśnie téj samej objętości co ów bryg i komodor ludził się przez chwilę, że istotnie napotkał wroga. Zapytany przez tubę, bryg odpowiedział że plynie z Hawru, potwierdzając wiadomość daną kommodorowi rano, że *Davis*, uzbrojony dwudziestoma działami i mający trzystu ludzi załogi, stoi spokojnie na kotwicy w przystani Cherbourg.

Na pokładzie *Fultona* poczyniono natychmiast przygotowania do bitwy, to jest przejrano i uporządkowano baterye, hamaki zaś i wszystko, co mogło tamować ruchy załogi, zniesiono pod pomost. Oficerowie, kanonierzy i stérnicy zajęli swoje miejsca, a kommodor stanął na mostku.

— Więc będziemy się bić naprawdę? — zapytał Żywe Srebro pana Pinson, który go nie opuszczał ani na chwilę.

— Spodziewam się że nie— brzmiała odpowiedź.— Ten *Davis*, jak go nazywają, nie zechce się mierzyć z *Fultonem*, a jego kapitan niezawodnie postara się umknąć, jak kommodor stara się, aby go schwycić.

— Więc statek korsarki jest okrętem wojennym, skoro ma armaty?

— Tak, mój chłopcze, ale statek taki, unikając zawsze bitwy, napada tylko na okręty handlowe, aby

je zniszczyć, jeżeli nie może ich uprowadzić. Byłoby wiele do powiedzenia o takich rozbójnikach morskich, lecz Francuzi nie mają prawa potępiać ich, a nawet sądzić zbyt surowo, bo kraj nasz posiadał bardzo wielu dzielnych i wielkich ludzi pomiędzy korsarzami.

— Dlaczego Amerykanie północni wojują z Amerykanami Południa? Czyż nie są dziećmi jednego kraju?

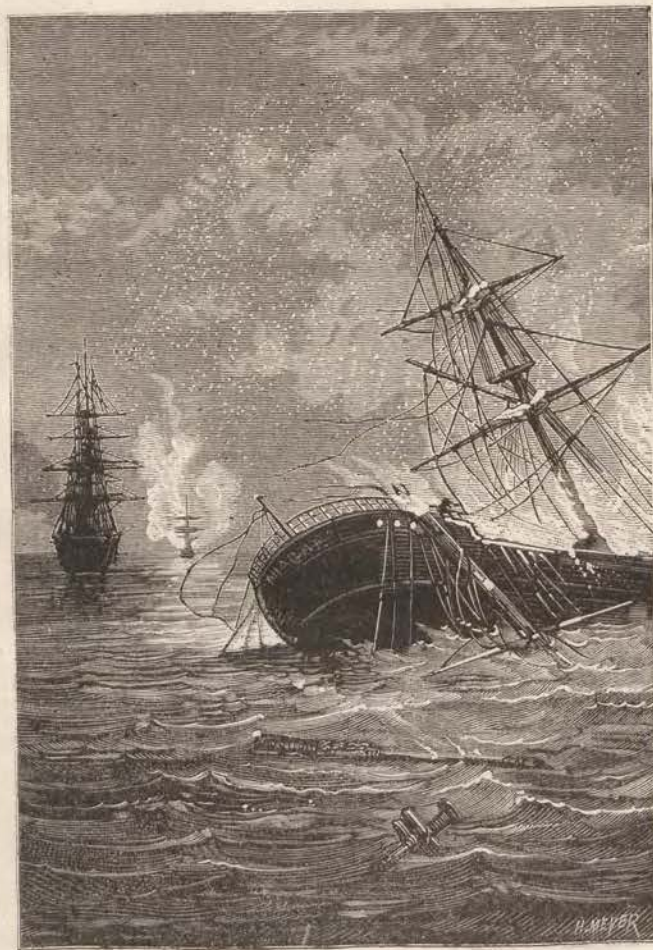
— Niestety, mój chłopcze, są, ale ludzie nie zawsze cieszą się rozumem. Ta wojna ma stanowić o wolności pięciu milionów Czarnych i o tę wolność toczy się krew ludzka.

Było już około północy, gdy p. Pinson i Żywe Srebro udali się do kajuty. Po obu stronach statku ukazywały się w oddali światła i światełka, a *Fulton* szybko płynął w kierunku zamierzonym. Nagle wystrzał działowy dał się słyszeć zdaleka.

— Czyżby to był znak że jakiś okręt znajduje się w niebezpieczeństwie?—zawołał p. Pinson.—Biegnij, chłopcze, i zapytaj, co to znaczy.

— Ja tak sądze—odrzekł spytany majtek—bo komodor kazał płynąć wprost do miejsca, z którego dał się słyszeć wystrzał, a które widać, o... tam, daleko, gdzie to światło.

Fulton zdwoił swą szybkość. Oficerowie i majtkowie nasłuchiwali w milczeniu, z oczyma wlepionymi w zbliżające się światło. To światło co chwila zdawało się zwiększać i rozszerzać. Nagle długi, wysoki płomień buchnął ku niebu; ogarnął on boki jakiegoś statku.



Nowy pożar oświecił widnokrąg.

— Łodzie w pogotowiu!—krzyknął kommodor rozkazująco.—Zdaje się że kogoś trzeba będzie ratować!

Wkrótce zaledwie tylko odległość jednego kilometra oddzielała *Fultona* od płonącego statku. Nie bardziej wspaniałego, nie okropniejszego i dzikszego zarazem, jak ta fala płomieni na falach morza. Klęby dymu roztaczały się wokoło; płomienie ogarniały gwałtownie boki okrętu i jego korpus, czerwieniąc powierzchnię oceanu i syjąc iskry z sykiem i trzaskiem.

— Niema nikogo na pokładzie!—zawołał kommodor.—Dać wystrzał armatni! Marynarze, którzy porzucili ten statek, nie mogą być daleko; trzeba im dać poznać, że pragniemy ich ocalić.

Milczenie tak głębokie panowało na pokładzie *Fultona*, że głos kommodora można były słyszeć wybornie. Wszyscy zapuścili spojrzenia w ciemną przestrzeń, szukając czołen, na których mogliby się znajdować uciekający z płonącego okrętu marynarze.

— To jeden z naszych!—zawołał kommodor.—Mogę wyczytać jego imię: *Niagara* z New-Yorku. Poruczniku, proszę zapisać to imię.

Wystrzał armatni *Fultona* odbił się głucho w ogromnej przestrzeni, ale potem nastąpił tylko zupełny spokój. Oddalono się zwolna od *Niagary*, gdy znów nagle w innej stronie, w odległości mniej więcej czterech kilometrów, ukazał się nowy pożar. I znowu *Fulton* puścił się w kierunku ognia. Teraz spostrzeżono czołno, płynące całą siłą wioseł, a następnie ujrzano mały steamer, uwijający się około statku w płomieniach.

Fulton zbliżył się do tego steameru, którego czarny i wysmukły korpus wyraźnie oświecała łuna pożaru. Kommodor, na wielkie zdziwienie p. Pinson, kazał wywiesić flagę angielską. Steamer odpowiedział, ukazując kolory rossyjskie, lecz, zamiast zbliżyć się do *Fultona*, puścił się nagle w przeciwnym kierunku.

— Dać mu znak zatrzymania się wystrzałem! — rozkazał kommodor.

Ale steamer, nie uważając na znak dany, płynął dalej.

— Hola!... posłać mu kulę! — brzmiał rozkaz kommodora. — Jesteśmy z Rosją w pokoju, a statek ten zdaje się nas obawiać.

Kula, rykoszetując po falach, wpadła w morze o kilka metrów od steamera.

— Wywiesić flagę Stanów Zjednoczonych!... Niech te błazny wiedzą, czém jesteśmy istotnie!

Pawilon amerykański zawisł w powietrzu, a steamer wywiesił kolory francuzkie. Płynął on wciąż dalej; *Fulton* posłał mu znów kulę, ale ta przeszła nad jego pomostem. W téjże chwili steamer ukazał flagę Stanów Zjednoczonych.

— *Davis!* — zawołał kommodor. — Do niego, chłopcy, i śmierć podpalaczom!

— Śmierć!! — odrzyknęła osada jednogłośnie.

Grzmiące *hurra* odezwało się z pokładu *Davisa*. Ten okrzyk wywołał dreszcz w ciele p. Pinson i jego małego towarzysza.

— Więc będziemy świadkami bitwy morskiej?... — zawołał p. Pinson. — Otóż coś nowego! Jakto? więc

nie dosyć że mnie wyrwano z mojej ulicy Nolle, że mnie zawieziono do Londynu, że mnie wyciągnięto na środek oceanu i...

Ale inżynier przerwał nagle szereg swoich nie-szczęść, bo oto kula, puszczana z *Davisa*, urwała ramię majtkowi stojącemu o kilka kroków. Prawie w téj samej chwili *Fulton* wydał odgłos głuchy i trzeszczący, jakby boki jego rozpaść się miały, i huk straszliwy ogłuszył p. Pinson, który sądził, że okręt się zapada. Była to tylko, na rozkaz kommodora, odpowiedź przesłana nieprzyjacielowi ze wszystkich dział *Fultona*.

XI.

WYSPY KANARYJSKIE.

— Zejdź pan do kajuty — rzekł porucznik do pana Pinson, przechodząc obok niego; — tutaj niebardzo bezpiecznie.

Żywe Srebro, blady, spoglądał ciekawie na to, co się działo. Inżynier, po chwili namysłu, ujął go za rękę i zaprowadził do salonu; za ledwie tam przybyli, gdy nowy atak wstrząsnął ścianami *Fultona*.

— Zostań tutaj — rzekł p. Pinson, który, pod wpływem rozdrażnienia febrycznego, nie mógł usiedzieć na jednem miejscu.

— A gdzie pan idzie?

— Na pokład; wolę widzieć co się dzieje.

— I ja też samo — odrzekł chłopiec. — Chcę być razem z panem.

Inżynier zbliżył się doń.

— Czy lękasz się? — zapytał,

— Tak, tutaj; tam, na pokładzie, zdaje mi się że jestem bezpieczny.

P. Pinson, obawiając się dla swego towarzysza kuli lub granatu, powściągnął pierwotną chęć wyjścia z kajuty i usiadł obok niego.

— Otóż to wojna, mój chłopcze — mówił spokojnie i ze smutkiem — wojna i jej okropności. Każdy wystrzał, który daje się słyszyć, przez okropne skutki jakie sprawia, pozbawia matkę dziecięcia, które jej winno swą młodość, dziecięcia któremu ona poświęciła dwadzieścia lat najtroskliwszych starań i najcięższych kłopotów! Ale na nic się tu nie zda wszelka filozofia; dopóki istnieć będą na ziemi ludzie źli i ambitni, wojna z nimi razem istnieć będzie.

— A jednakże kommodor i jego oficerowie są to ludzie dzielni i uczciwi; jużes mi to pan sam mówił powielekroć.

— Niezawodnie, mój chłopcze. To też nie mówię o nich, lecz o tych, którzy im broń włożyli w ręce. Wojna, która dzieli Stany Zjednoczone, jest wojną okropną, a zupełnie niepotrzebną. Ale bywa i wojna święta, sprawiedliwa, konieczna, moje dziecię, wojna przeciwko wrogowi, który usiłuje pognać ojczyznę, rozczłonkować ją i ujarzmić. Przeciwno takiemu wrogowi

walczyć trzeba, w walce takiej umrzeć należy, aby zapewnić szczęście i swobodę tym milionom istot, które przyjdą po nas, aby bronić ich szczęścia i niepodległości.

Kanonada trwała wciąż. P. Pinson zbliżał się potrosze ku schodom, z nieprzepartą chęcią zmierzenia niebezpieczeństwa i wyjścia na pokład. Morze, pod błyskami dział dwóch statków, zdawało się czerwone jak krew. Wiatr burzył fale, ponad którymi unosiły się białe obłoki prochowego dymu.

Na pokładzie *Fultona* twarze załogi miały wyraz powagi, ale spojrzenia jej były płomienne. Rozkazy kommodora, stojącego na mostku, brzmiały zwięźle i donośnie. O wiele mniejszy, aniżeli jego przeciwnik, *Davis* zwrócony był ciągle przodem i manewrował tak, aby mu nigdy nie odsłonić swoich boków. Na pokładzie *Fultona* p. Pinson zauważył wiele plam krwistych, a wielki jego maszt w kilku miejscach nosił ślady uderzenia kuli.

— Uderzmy na nich z boku! — wołał kommodor, który pragnął raz skończyć bezowocną dotychczas rozprawę.

Wydano także rozkaz, aby kanonierzy zaprzestali strzelać i mieli się w pogotowiu.

P. Pinson stał obok maszyny parowej, tuż pod mostkiem, gdy naraz uczuł że ktoś przeciska się ku niemu. Był to jego młody towarzysz.

— Pozwól mi pan tu zostać — rzekł głosem proszącym.

P. Pinson, nie nie odrzekłszy, przycisnął *Żywe Srebro* do siebie. Milczenie uroczyste panowało na po-

kładzie *Fultona*, który, nie odpowiadając na wystrzały nieprzyjaciela, mężnie stawił mu czoło.

Kula z łoskotem wyrwała kawał drzewa z masztu, tuż nad głową inżyniera.

— Otóż to—mruknął do siebie — co mam do zawdzięczenia temu hultajowi Boisjoli! Żeby nie on i jego przewrotne, podstępne rady, w tej chwili najspokojniej zasypiałbym w swoim łóżku. A tymczasem jestem teraz na pełnym morzu, pomiędzy dwoma pożarami, narażony co chwila na to, że mi głowę może granat roztrzaskać, lub urwać kula... Mogę się pozbyć ręki lub nogi i, w najlepszym razie, dostać się do domu inwalidów, nie mając do tego najmniejszego prawa.

Zbliżenie się gwałtowne *Fultona* do *Davisa* przerwało monolog inżyniera. Jeszcze tylko kilka minut, i dwa okręty, jak dwa rozszalałe byki, uderzą na siebie z dziką wściekłością. P. Pinson, przewidując to, uchwycił się silnie jakiejś liny, aby być przygotowanym na nieuniknione wstrząśnienie.

Fulton zmienił kierunek i skręcił na lewo, ale *Davis* przewidział zamiary przeciwnika i w chwili, gdy ten miał uderzyć weń całą siłą rozpędu, zwinął się nagle i zawrócił. Obydwa statki, zminawszy się tym sposobem, sypnęły na siebie pociskami ze swoich dział. Okrzyki bólu, wściekłości, jęki konania mieszały się w nieopisanym zgiełku, a nad wszystkiém tén panowało głośne *hurra!*

Uniesiony własnym rozpędem, *Fulton* oddalił się nagle od swego przeciwnika i musiał zakreślić szeroki łuk, aby się znowu do niego zbliżyć. Tymczasem *Da-*



Kula uwięzła nad ich głowami.

vis, puściwszy się wprost przed siebie, pomknął szybko, a załoga jego wydała okrzyk tryumfu.

— Aha!... podpalacze unikają walki!—zawołał kommodor z gniewem.—Ale to nic... żwawo naprzód! Honor nasz nie pozwala, abyśmy tym zbójom morskim dali uciec!

Kilometr odległości oddzielał teraz oba statki, a *Fulton*, całą siłą pary, postępował w milczeniu za *Davisem*. Po upływie godziny stracono z oczu płonące okręty, ale długo jeszcze w ich stronie niebo odbijało czerwoną barwę płomieni. Marynarze, nie tracąc chwili czasu, zabrali się natychmiast do naprawy poczynionych przez kule uszkodzeń i mycia pokładu.

— Chodźmy, panie Francuzie — rzekł kommodor, przechodząc obok p. Pinson; — szklanka grogu na cześć Ameryki nie zawadzi. Widziałem pańską odwagę podczas kanonady... Do pioruna, jesteś dzielnym!

— Tak sobie—odparł inżynier — szczególniej gdy inaczej być nie może.

— Obmawiasz się pan. Mogłeś się pan przecież schronić.

— Nie lubię ciemności—odpowiedział p. Pinson.— Pomimo mojej odwagi, kommodorze, wyznam panu jednak, że bardzo się uczuję szczęśliwym, żegnając panów i waszego walecznego *Fultona*. A tym czasem racz mi pan powiedzieć, czy *Davis* rozpocznie znowu walkę?

— Licho go wie, ale, bądź co bądź, wie on że *Fulton* jest w biegu nieoceniony... zobaczysz to pan jutro rano. No! pańskie zdrowie!

P. Pinson i Żywe Srebro, idąc za przykładem kommodora, zeszli do kajuty. Chłopiec czuł jeszcze silne wzruszenie pod wpływem tylko-co ukończonej walki.

— Czy pan radowałbyś się—spytał pana Pinson—widząc *Davisa*, zdruzgotanego i tonącego w głębiach oceanu?

— Ja?... ja, mój chłopcze, nikomu nie życzę śmierci.

— Majtkowie *Fultona* mówią tylko o zagładzie *Davisa*.

— Pojmuję ich gniew. Gdyby jaki statek angielski lub niemiecki spalił w moich oczach spokojny okręt handlowy francuzki, czuję że porwałbym także za broń i stanął do walki.

P. Pinson, który wstał nazajutrz ze snu jednocześnie ze słońcem, znalazł już Żywe Srebro na pokładzie. Trzej majtkowie *Fultona* byli zabici i chłopiec towarzyszył przy smutnej pracy obwijania ich zwłok w płótno żaglowe. Morze było spokojne i *Davis*, o cztery kilometry oddalony, płynął naprzód.

— Ten łotr jest wybornym pływakiem—rzekł porucznik do pana Pinson.—Płyniemy ciągle w jednym kierunku, a dotąd nie stracił ani metra odległości. Na szczęście barometr spada, a gdy morze się wzburzy, *Fulton* weźmie górę... Znam ja go dobrze.

P. Pinson długo spoglądał na *Davisa*, który, pomalowany na czarno, z rozwiniętą flagą, urągać się zdawał silniejszemu przeciwnikowi. Lekki, rzutki ten steamer suwał się raczej po falach, niż płynął, pozostawiając za sobą długi pas piany.

Dzwon na pokładzie zwiastował godzinę dziesiątą. Kommodor, w wielkim uniformie, wszedł poważnie na pokład, powitany przez przygłuszone uderzenia bębna. W tej chwili majtkowie, w mundurach i z bronią w ręku, stanęli po obu stronach pokładu, oficerowie zaś otoczyli swego dowódcę. Zwłoki zabitych marynarzy złożono przed otworem w parapecie okrętu i kommodor głosem smutnym przeczytał kilka psalmów Dawidowych. W przerwach tego czytania odzywały się cienkie i smutne tony piszczałki.

Trudno sobie wyobrazić coś bardziej wzruszającego nad tę prostą, a bolesną uroczystość. Nad okrętem niebo posępne, spokojne; pod nogami niezmierzone otchłanie morza, gotowe pochłonąć na wieki śmiertelne szczątki ludzi, którzy wczoraj, w pełni sił i zdrowia, umarli na stanowisku swoim w walce za ojczyznę.

Wystrzał armatni zachuczał; trzy trupy, z kulami przywiązanymi do nóg, zsunęły się, jeden po drugim, w przepaście oceanu, a fale ponad nimi zwarły się... na wieczność całą...

P. Pinson i Żywe Srebro, ze spuszczonei głowami, wzięli udział w tej nad wyraz smutnej ceremonii; potem zeszli do kajuty. Chłopiec płakał.

— Co ci się stało?—spytał go inżynier.

— Mój ojciec, panie, mój ojciec... o nim-to myślę w tej chwili. Pewnego rana ujrzałem go bladym, nieruchomym, zawiniętym w płótno... jak ci majtkowie. Złożono go na czarnym wozie i zawieziono na cmentarz. Przysypano ziemią jego ciało... i już nigdy go nie ujrzałem.

Żywe Srebro tak rzewnie płakał, że p. Pinson posadził go sobie na kolanach, uściskał i z wolna począł rozpraszać jego smutek. We dwie godziny później na pokładzie *Fultona* panował zwykły porządek.

Gdy dzwon oznajmił południe, to jest godzinę śniadania, odległość pomiędzy dwoma statkami nie zmniejszyła się wcale. Kommodor, pocieszając się że przy wzburzeniu morza *Fulton* doścignie przeciwnika, bacznie sprawdzał stan barometru.

Śniadanie odbyło się szybko; pewność że walka rozpocząć się może lada chwila, czyniła wszystkich febrycznie niecierpliwymi. Powróciwszy na pokład, kommodor spojrział na morze i uderzył nogą z gniewem o podłogę.

— Ten przeklęty statek podpalaczy jest budowy amerykańskiej—rzekł ze złością.

— Po czém to pan poznajesz?—zapytał inżynier.

— Po jego marszu. Gdyby go zbudowano w Anglii lub we Francji, jużbyśmy się dotąd z nim ułatwili.

— Mnie się zdaje, kommodorze, że Anglicy i Francuzi umieją także niezgorzej budować okręty.

— Niekoniecznie, mój panie. Usiłują oni naśladować Amerykanów i prawie ich doścignęli, ale to *prawie* właśnie nie wystarcza w podobnych wypadkach, jak obecny.

Kommodor miał w tej chwili kwaśną minę, czego przyczyną było że p. Pinson nie tak łatwo zgadzał się na jego zdanie, iż inżynierowie francuzcy nie celują w budowie statków, jak to fałszywie głosi opinia publiczna. P. Pinson nie sprzeczał się, obiecując sobie

wynagrodzić upór kommodora wyjaśnieniami danemi Żywemu Srebru co do jego błędnych mniemań.

Dzień zszedł na strzeżeniu i ściganiu *Davisa*, który z flagą wywieszoną na przedzie, jakby urągając przeciwnikowi, pędził wciąż przed siebie. Kommodor naradzał się ustawicznie z maszynistą, polecając aby nadał śrubie najwyższą szybkość obrotów, nie narażającą statku na niebezpieczeństwo. Robiła ich ona dwieście na minutę, to jest dwanaście tysięcy na godzinę.

— Do jakich brzegów zdąża *Davis*?— spytał pan Pinson porucznika;—zdaje mi się żeśmy już od kilku godzin powinni widzieć ziemię.

— Ziemię?... jaką ziemię?

— Francuzką lub angielską. Wszak cieśniny *La Manche* nie potrzeba przepływać w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, a nawet i więcej.

— *La Manche* jest dawno za nami— odrzekł spokojnie porucznik.—W tej chwili jesteśmy na wysokości wysp Kanaryjskich.

— *La Manche* za nami?!... Wyspy Kanaryjskie?— powtarzał pan Pinson.—Jakto?... do licha... tego tylko brakowało! Więc na to uniknąłem pobytu w Stanach Zjednoczonych, aby znaleźć się na wyspach Kanaryjskich?....

Porucznik, odwołany przez kogoś, był już daleko, a p. Pinson powtarzał jeszcze:

— Wyspy Kanaryjskie... ojczyzna kanarków!... Te go już zawiele!

Żywe Srebro, który obserwował zboku p. Pinson, zbliżył się ku niemu, gdy uważał że inżynier cokolwiek się uspokoił.

— Proszę pana — rzekł — czy to prawda co pan przed chwilą powiedział?

— A cóż ja powiedziałem?

— Że wyspy Kanaryjskie są ojczyzną kanarków.

— Nic prawdziwszego.

— A gdzie leżą te wyspy?

— Przy brzegu Afryki.

— Należą do Francyi, nieprawdaż?

— Nie, lecz około r. 1330 odnalazł je Francuz.

— Odnalazł?... jakto, więc wyspy te zginęły?

— Wyspy Kanaryjskie — tłumaczył p. Pinson — były już znane w starożytności i Kartagińczykowie umieścili na nich faktoryę handlową. Nazywano je wyspami Szczęśliwemi, z powodu piękności ich klimatu i bogactwa przyrody. Po zburzeniu Kartaginy, zapomniano drogi prowadzącej do tych wysp, których imię tylko zachowało się we wspomnieniach marynarzy.

— Rozumiem. Do kogóż one należą obecnie?

— Do Hiszpanów. Zamieszkuje je dzielny lud wojowniczy, Guanchowie, a wysp tych jest siedem, z których jedna, Tenerifa, posiada wulkan wysoki na 3,710 metrów, co pozwala widzieć ją żeglarzom z odległości dwustu kilometrów. Inna wyspa, Feroer, jest znaną powszechnie z tego, że, z rozkazu Ludwika XIII, geografowie francuzcy przeprowadzili przez nią na mapach pierwszy południk. Tenerifa ma 8,000 mieszkańców.

— Tém gorzej — mruknął chłopiec. — A na jakiej z tych wysp żyją kanarki?

— Na wszystkich.

— To musi być ciekawe, widziéć latające po wszystkich drzewach te ptaki.

— Kanarki na tych wyspach znajdują się w stanie dzikim i nie mają barwy żółtej, właściwej kanarkom przyswojonym. Są one szare, brunatne, białe, żółtawe, a wreszcie i różnokolorowe. Ptaszki te znajdują się i we Francyi, należą do wędrownych.

P. Pinsonowi przerwał dalsze objaśnienia ruch, jaki się zrobił na pokładzie. Majtkowie biegli na przód okrętu. Słońce zachodziło, a na zielonawej barwie nieba zarysował się wyraźnie maszt jakiegoś okrętu.

XII.

NA KONIEC ŚWIATA.

Trzymasztowiec, spostrzeżony przed chwilą, był statkiem żaglowym, który zdawał się płynąć ku *Dawidowi*; korsarz zbliżał się także ku niemu nieznacznie.

— Żywe Srebro — rzekł p. Pinson do swego chłopca — zbliż się i uważaj. Wiész zapewne że ziemia jest okrągła?

— Tak panie; nie mogę tylko pojąć, jakim sposobem ludzie, którzy się znajdują po przeciwnej stronie, mogą chodzić głowami nadół.

— Kula ziemską, pędząca z niesłychaną szybkością w przestrzeni światów, w skutek dwójakiego swego obrotu, nie ma istotnie tego, co nazywamy „u góry“ lub „u dołu.“ Z jednej strony ulegamy sile przyciągania ku jej środkowi; z drugiej ulegamy ciężeniu na czas atmosfery, a raczej jej słupa, które wynosi 12,000 kilogramów, i te dwa wpływy utrzymują nas zawsze na powierzchni ziemi. Ale ja cię tu wezwałem, aby ci pokazać zjawisko, które przekonywa o okrągłości ziemi. Przyjrzyj się dobrze i powiedz mi, co widzisz na widnokregu.

— To, co każdy widzi równie dobrze, to jest maszt okrętowy.

— I jakąż to widzisz część tego masztu?

— Koniec jego górny.

— A kadłub okrętu?...

— Nie widzę go.

— A dlaczegoż go nie widzisz?

— Bo jest jeszcze bardzo daleko.

— Tak?... a przecież kadłub okrętu jest Bóg wie nie ile grubszy od końca masztu, jeżeli przeto odległość nie pozwala widzieć ci statku, to dlaczegoż nie przeszkadza ci widzieć masztu? Otóż, mój kochany, dlatego to widzisz maszt, a nie widzisz okrętu, bo ziemia jest okrągła i przez tę okrągłość prędzej nam się ukazuje wierzchołek masztu, aniżeli cały okręt, który jest jeszcze ukryty za zasłaniającą go wypukłością ziemi. Gdy

będziemy się zbliżać ku wyspom Kanaryjskim, od czego uchowaj nas Boże, z tej samej przyczyny ujrzysz najpierw wierzchołek Tenerify, potem jej boki, a nareszcie i podstawę tej góry. Rozumiész?

Okrzyk gniewu i oburzenia, który się wydarł z piersi majtków, zebranych na przedzie *Fultona*, przerwał panu Pinson jego nauczający wykład. *Davis* w tej chwili zmienił chorągiew Stanów Zjednoczonych południowych na pawilon Stanów północnych.

— Co to znaczy? — zapytał inżynier zaciekawiony. — Czy to drwiny?

— To znaczy — odrzekł porucznik — że korsarz w nadpływającym okręcie trzymasztowym poznał statek amerykański i zmienia flagę, aby nie odstraszać ofiary. Jest to niktzemny wybieg, szanowny panie, ale mam nadzieję że wystrzał armatni, który w tej chwili rozlegnie się z rozkazu kommodora, będzie dobrą przestroga i cel swój osiągnie.

Noc nadeszła; kommodor, stojąc na mostku, wydawał rozkazy i strzał armatni rozdarł powietrze. W tej chwili skierowano lunety w kierunku trzymasztowca, który, jak się zdawało, niósł silny ładunek bawełny. Huk działa wstrzymał go przez chwilę w drodze, ale *Davis* strzelił także. Żaglowiec, po tych wystrzałach, biorąc je za znaki zbliżenia się, począł płynąć ku dwom steamerom.

Kommodor, gniewny, wściekły prawie, kazał sypnąć kilka kul ku *Davisowi*; przez tę oznakę srogiego usposobienia miał nadzieję ostrzedz nadpływający statek. Ale niestety, żaglowiec, oddalony o jakie dwie mile od

Fultona, nie mógł zrozumieć, bo nie był w stanie dostrzedz dawanych sobie znaków.

Kommodor nie porzucił swego stanowiska. Cochwiła wołał na maszynistę o przyspieszanie biegu steamera; maszynista głowę już tracił, jak to mówią. Para działała całą siłą ciśnienia, a statek większej szybkości podobaćby już nie mógł. Tym czasem cienie nocy zapanowały wokoło i *Davis* znikł w ciemnościach.

Kommodor, pochylony naprzód, wyteżał słuch, aby pochwycić najdrobniejszy szelest od strony morza. Nagle zajaśniał snop światła zgóry, wydłużył się po falach morskich i ogarnął *Davisa*, który, z wielką radością osady *Fultona*, ukazał się jasno i wyraźnie, jak we dnie.

Snop tego światła skierował się następnie ku żaglowi, który znajdował się w odległości trzech kilometrów od *Davisa*.

— Co to jest? — zapytał Żywe Srebro. — Wszak niema ani słońca, ani księżyca....

— To światło elektryczne—odparł p. Pinson, ukazując jednocześnie ognisko u szczytu wielkiego masztu.— Ci Amerykanie są istotnie bardzo pomysłowi, a *Davis* musi już być znudzony.

Było to rzeczywiście widowisko fantastyczne. Snop białego światła, wychodzący z *Fultona*, zwracał się ustawicznie z poruszeniami *Davisa* i, nie porzucając go ani na chwilę, czynił jego manewra doskonale widzialnymi. Korsarz usiłował wymknąć się temu sztucznemu oświetleniu, ale napróżno. Wówczas puścił się wprost ku żaglowcowi i począł do niego strzelać.

Zdziwiony tą niespodziewaną zaczepką, trzymaszowiec zmienił kierunek. Snop światła, zwrócony ku niemu, oświetlił jego żagle. W téjże chwili race płonące, rzucone przez *Davisa*, zakręśliły w powietrzu długie łuki i spadły na korpus nieszczęśliwego żaglowca.

Okrzyk grozy i wściekłości odezwał się na pokładzie *Fultona*.

— Niechaj okręt skacze, gdy tego trzeba—zawołał kommodor do maszynisty—ale, na Boga, musimy ukarać tych zbójów morskich!

Kanonada nie ustawała. Na przodzie żaglowca ukazały się płomienie, czerwieniąc fale morza. Wkrótce też ogarniony niemi statek płynął już tylko za wolą wiatru, nie mogąc stérować. Na jego pokładzie widać było kilkunastu majtków, usiłujących spuścić łódź na morze.

— Statek ten zatonie, dalej ku niemu! — zawołał kommodor.

Fulton natychmiast puścił się we wskazanym kierunku. Milczenie grobowe panowało pomiędzy osadą; każdy marynarz, zatrzymawszy oddech w piersi, spoglądał w przestrzeń wyteżonym wzrokiem. Tymczasem żaglowiec zagłębiał się zwolna w morze. *Davis*, nie przestając strzelać, przeszedł obok niego i stał się dla *Fultona* niewidzialnym.

Trzymaszowiec, nie poprzestając kręcić się naokoło siebie, odkrył swój przód. Ujrzano iż majtkowie, jeden po drugim, nikli z jego pokładu. Okrzyk przerażenia wyrwał się teraz z piersi patrzących: żaglowiec zapada się! Maszty jego płonące poczęły chwiać się na

obie strony, potem z wolna zniżały się i... okręt znikł w falach oceanu.

— Otóż to jest wojna!—szepnął p. Pinson, zakrywając oczy.—To straszne!

Ciemność nieprzedarta pokryła morze. Okrzyk zwycięstwa z pokładu *Davisa* obił się o uszy osady *Fultona*. Światło elektryczne skierowano znowu na statek korsarski, który wywiesił flagę Południa.

Kommodor, stojący na przedzie okrętu, skierował ku *Davisowi* swą lunetę.

— Nie jest-że to okropne—rzekł do p. Pinson—patrzeć na taką zbrodnię i nie móż jej zapobiedz?

— Prawda, komendancie — odrzekł zagadnięty. — A cóż się stało z osadą zatopionego żaglowca?

— Jeżeli ci ludzie nie mieli czasu spuścić łodzi do morza, przepadli wraz z okrętem w otchłani.

Promień światła elektrycznego, wiedziony po morzu, oświecił w tej chwili małą szalupę; ludzie, którzy na niej płynęli, usiłowali dosięgnąć *Davisa*, oczekującego, aby ich przyjąć.

— Ah!—zawołał p. Pinson — więc ci rozbójnicy posiadają jeszcze odrobinę ludzkości!

— Nie... oni rekrutują jedynie nowych majtków—odrzekł z goryczą kommodor.

Fulton zbliżał się gwałtownie do *Davisa*. Kula rzucona przez korsarza upadła o dwadzieścia metrów od steamera. Jeszcze tylko kilka minut i nastąpi starcie. Ale w tej właśnie chwili łódź podpłynęła, ludzie z niej wdarli się na pokład *Davisa*, a statek rozbójniczy, z okrzykiem tryumfu, puścił się naprzód całą siłą pary.



Trómasztowiec kręcił się bez kierunku.

Przez noc oba statki płynęły z jedną szybkością, bardziej zbliżone niż poprzednio, zamało jednak, aby rozpocząć walkę. P. Pinson udał się z Żywem Srebrem do kajuty. Chłopiec, po silnych wzruszeniach, jakich doznał wieczorem, nie mogąc długo zasnąć, zasypywał pana Pinson tysiącem pytań. Inżynier długo bardzo czekał zaśnięcia.

Nazajutrz rano *Davis* odzyskał odległość, jaką stracił wczoraj w chwili zatrzymania się, celem przyjęcia osady spalonego okrętu. *Fulton* ścigał go z szybkością tak wielką, jak nigdy dotąd. P. Pinson, zbliżywszy się do busoli, spostrzegł że zmieniono kierunek.

— Czy *Davis* zwrócił się na drogę do Europy? — spytał przechodzącego kommodora.

— Musiałby w tym razie przejść po naszych ciablach — odrzekł zapytany. — Nie, panie; *Davis* nie wraca do Europy, ale ciągnie nas ku wyspom Przylądka Zielonego.

P. Pinson skrzywił się.

— Czy słyszysz, chłopcze? — rzekł do Żywego Srebra,

— Słyszę — odpowiedział chłopiec ze smutkiem. — To znaczy że nie zobaczymy ojczyzny kanarków. A gdzież leżą te wyspy, o których mówił kommodor?

— O pięćset kilometrów od przylądka, od którego je nazwano. Przylądek ten stanowi najbardziej zachodni punkt Afryki, na wybrzeżu Senegambii. Wyspy Przylądka Zielonego odkrył Portugalczyk Codomorto.

— A czy wylądujemy na nich?

— Oto trzebaby się porozumić z *Davisem*, od którego zależy nasz kierunek.

— A jeżeli wylądujemy, czy pan ma zamiar także wysiąść na której z tych wysp?

— Bezwarunkowo, mój chłopcze. Do któregośkolwiek bądź lądu przybijemy, wysiądziemy natychmiast, aby dostać się ztamtąd do Europy... choćby się temu przepisy morskie całego świata sprzeciwiać miały.

— Pragnąłbym, aby to nastąpiło w krainie małej... Pocóż nareszcie płyniemy tak długo, jeżeli nie mamy nic widzieć, prócz nieba i wody?

W tej chwili nadszedł kommodor.

— Lepsze jest zawsze nieprzyjacielem dobrego — rzekł. — Sądziłem że się panu przysłużę, biorąc pana na pokład *Fultona*, choć to było nie w zupełnej zgodzie z prawami morskimi, a tymczasem wiozę pana... sam nie wiem gdzie!

— Wszystko się kończy na świecie, kommodorze — odparł inżynier — i pańskie polowanie również skończyć się musi. To mnie pociesza. Czy wolno jednak zapytać, jakie są pańskie zamiary?

— W tej chwili nie mam innych, jak doścignąć *Davisa* i oddać mu to, na co zasłużył.

— Więc ścigać go nadewszystko... ale dokąd?... gdzie?...

— Choćby na koniec świata, panie, jeśli tego będzie potrzeba.

— Tak?... to bardzo pocieszające!

I odszedł inżynier w głębokim zamysleniu, dumając o tém, że właściwie świat nie ma końca, a morze

jest wyobrażeniem wiekuistości. Zapytywał się siebie, czy nie dostał się przypadkiem na jeden z tych okrętów-widm, statków tajemniczych i strasznych, których zjawisko przeraża we śnie marynarzy i które zdaje im się, iż spotykają podczas burz morskich.

„Otóż to... dzięki kochanemu Boisjoli, jadę na koniec świata!... Ha, czyliż to nie szaleństwo?...”

— Wieloryb na przedzie! — dał się słyszeć okrzyk z bocianiego gniazda.

Ale p. Pinson nie słyszał tego okrzyku, zatopiony w myślach, nie zrozumiał nawet tłumaczącego mu go chłopca, który poskoczył naprzód, aby ujrzeć jaknajprędzej zapowiedzianego potwora.

XIII.

NA RÓWNIKU.

Osada *Fultona* spostrzegła już przed sobą na powierzchni morza, masę czarniawą; która zdaleka kształtem swoim podobna była do kadłuba statku wywróconego domu do góry. Żywe Srebro, który wlaź na drabinkę i trzymał się liny, aby mógł lepiej widzieć, spostrzegł że owa masa porusza się, opisując linią krzywą, i ujrzał zdziwiony wznoszący się z fal morskich ogon olbrzymich rozmiarów. W tej chwili prawie rozszedł się wokoło nieznośny odór.

Podezas dwóch lub trzech minut ogromne cielsko było nieruchomém, ale zaraz woda wzburzyła się i ukazała się po nad nią paszcza morskiego olbrzyma i wytrysnęły dwa strumienie wody, skroplonej nakształt deszczu na wysokość kilku metrów. W chwilę potem niebieskawe cielsko podniosło się nad wodę i zanurzyło znowu.

— Czy to naprawdę wieloryb?—zapytał ciekawie chłopiec p. Pinson, który zbliżył się właśnie.

— Jest to jedno z jego rodziców, a mianowicie potfisz, którego uczeni nazywają *physter macrocephalus*.

— Musi to być największa ryba w świecie. Zdaje się być tak długa, jak nasza szalupa.

— Potfisz i wieloryb, to najwięksi mieszkańcy morza. Tylko potfisz nie jest rybą, tak samo, jak wieloryb, narwal i delfin, ale zwierzęciem ssącym.

— Jakto, te stworzenia, które żyją w wodzie, nie są rybami?...

— Żyją w wodzie, to prawda—odrzekł p. Pinson—ale z warunkiem, że co dziesięć mniejwięcej minut wychodzą na jej powierzchnię, aby zaczerpnąć powietrza. Zresztą zwierzęta te mają krew ciepłą, kiedy tymczasem krew ryb jest zimna.

— A jak żyją potfisz?

— Są mięsożerne i tak żarłoczne, że je w tym tylko przewyższają rekiny. Żywią się rybami, ślimakami i pożarłyby przy okazji i ciebie.

Żywe Srebro instynktownie silniej ścisnął linę, której się trzymał.

— Słyszałem rzekł—że wieloryb nie umie się bronić.

— To prawda, nie ma on zębów, ale tak zwane fiszbiny, a ma ciało tak niezgrabne i jest tak ciężki i bojazliwy, że pierwszy ptak, pływający nad nim, płoszy go i zachęca do ucieczki. Ale staje się strasznym pod wpływem miłości macierzyńskiej, a szczególnie gdy karmi swoje małe.

Na myśl o wielorybie, własną pierś i własnym mlekiem karmiącym swego potomka, Żywe Srebro uśmiechnął się; był pewny że p. Pinson żartuje z niego, opowiadając mu takie rzeczy.

— Ja nie żartuję nigdy—odparł inżynier;—ci, którzy polują na wieloryby, znają tak dobrze miłość tych zwierząt dla ich dzieci, że napadają często na te ostatnie, wiedząc że matka da się prędzej zabić, niż je opuści.

— Biedne wieloryby—rzekł Żywe Srebro.

Potfisz zniknął, i znowu, jak poprzednio, ukazał się nad wodą, aby zanieczyszczyć powietrze szkaradnym swoim odorem.

— Majtkowie mówią—rzekł chłopiec—że głowa téj ryby... chciałem powiedzieć tego zwierzęcia, jest tak gruba, jak jego ciało i że w niem znajduje się tłuszcz, z którego robią świece. Czy to prawda?

— Prawda, mój chłopcze.

— Powiadają także że ciało wielorybów zawiera tak zwaną szarą ambreg; co to jest ta ambra?

— Materya gęsta, która jest właściwie wydzieloną z żołądka wieloryba. Szara ambra pływa częstokroć

po powierzchni morza; ma ona zapach piżma i używa się jej do fabrykacji pachnidel.

Pięć albo sześć nowych potfiszków ukazało się w dali, igrając po falach morza, jakby się z sobą bawiły. Wówczas Żywe Srebro dowiedział się ze zdziwieniem, że te olbrzymie zwierzęta ukazują się często w gromadach, złożonych z dwustu lub trzystu osobników.

— Fakt to dziwny—mówił mu p. Pinson—że wieloryby, którym człowiek wydał wojnę od wieków, niszcząc je w ogromnej liczbie, są bardzo niedokładnie znane przyrodnikom, którzy dzielą je na wiele gatunków. Dzisiaj, dzięki postępowi umiejętności, liczbę tę ograniczono do osiemdziesięciu, pomiędzy którymi jest jeszcze wiele do zbadania. Prawie wszystkie te zwierzęta zamieszkują morza północne; aby uniknąć ustawicznego tępienia, usuwają się one coraz bardziej, w okolice polarne i przez ludzi niezamieszkałe, a dla okrętów najniebezpieczniejsze.

Okolo wieczora przepływano pośród gromady delfinów, które poufale towarzyszyły *Fultonowi*, jakby pragnęły iść z nim na wyscigi. Żywe Srebro przypatrywał się ciekawie tym stworzeniom i obsypywał swego nauczyciela tysiącem pytań.

— Delfiny—mówił p. Pinson—są to zwierzęta rybożerne. Mogą one przebywać przez czas niejaki pod wodą, jakkolwiek nie są bynajmniej zwierzętami wodnymi, co w zaliczaniu ich do jakiegoś zadecydowanego gatunku zadawało niemało kłopotów naturalistom. Familia delfinów liczniejsza jest jeszcze niż wielorybów;

znajdują się one we wszystkich morzach i pod wszystkimi szerokościami geograficznymi.

— W tej chwili majtkowie stojący na przedzie *Fultona*, poczęli gwizdać starą pieśń angielską, pochylając się nad wodę.

P. Pinson uśmiechnął się, słysząc tę muzykę.

— W starożytności — rzekł — posądzano delfiny o wielkie zamiłowanie do muzyki. Wiara w to, jak widzę, trwa jeszcze. Słyszałem nieraz opowiadania, że zwierzęta te, wabione śpiewem majtków, bardzo często płyną za okrętem niezmiernie daleko. Widzę że tak bywa istotnie.

— Więc delfiny naprawdę lubią muzykę?

— Ale gdzie tam! to ich wrodzona żywość, ich ruchliwość każą im towarzyszyć okrętowi, nie zaś melody, której nieodpowiednio zbudowane ich uszy pochwyć i odróżnić nie są w możności.

— O! proszę pana... widzi pan te dwa małe, które płyną między dwoma dużymi?

— Zbliżają się one do swjej matki, aby się nakarmić jej mlekiem, które jest zupełnie białe.

Słońce zachodzące ozłociło przestrzeń promieniami, wśród których *Davis* zdawał się płonąć. Widok ten przypominał marynarzom spalone okręty, i każdy z nich zaciskając pięście, obiecywał sobie krwawe zadosyćuczynienie na nieprzyjacielu.

Noc nadeszła, już dosyć ciepła, ponieważ zbliżano się szybko ku równikowi, a jakkolwiek było to na początku marca, temperatura przypominała maj. P. Pinson, widząc że *Davis* zmienił kierunek, ustawicznie zapyty-

wał się w myśli, jak długo trwać będzie jego przymusowa podróż.

Podczas następnych trzech dni, w spokoju którego żadne zdarzenie nie zamieszało, przepływano obok wysp Dziewiczych. Zamiast burzy, której życzył sobie komodor, wróżący iż przy wietrze i niespokojnym morzu *Fulton* okaże całą swą wyższość nad *Davisem*, słońce płonęło na czystym, głębokim lazurze niebios, paląc prawie promieniami swojemi. Żywe Srebro dziwił się gwałtownej zmianie temperatury i nie chciał wierzyć, pomimo zapewnień pana Pinson, że znajdują się w okolicach, w których panuje wieczna wiosna i że, gdyby wylądowali, ujrzeliby na ziemi rosnące palmy i banany, w miejsce dębów i brzoź.

Inżynier przepędzał bardzo smutne godziny na przdzie statku, z którego widać było tylko niezmierną przestrzeń oceanu i smugę dymu z komina *Davisa*. P. Pinson liczył wciąż dnie, które upłynęły od chwili porzucenia *Canady*. Gdyby był usłuchał rady przyjaciela, nietylko widziałby dotąd New-York, ale byłby już z powrotem na drodze do Europy. Zamiast tego, wleczę się Bóg wie nie gdzie, do jakichś nieokreślonych okolic, bez celu i pomimowoli, a jego przyszłe widoki zależą od fantazyi korsarza, który, jeżeli mu się podoba, zaciągnie go na krańce świata.

Żywe Srebro, na szczęście dla niego, nie podzielał smutnych rozmyślań inżyniera. Ponieważ życie na okręcie wydało mu się nazbyt jednostajnym, urozmaicał je sobie, biorąc czynny udział w zajęciach osady. Lubił też niezmiernie, stojąc na przdzie okrętu, zatapiać

wzrok w głębinach morza. Słuchał opowiadań majtków i podziwiał tych dzielnych ludzi, którzy oglądali na własne oczy tygrysy, lwy i małpy, przechadzające się w swoich lasach.

Wieczorem, gdy powstał wiatr, zawsze na swoim stanowisku, ujrzał iż przód okrętu rozbija fale morza, iskrzące się fosforycznie. Dzięki objaśnieniu p. Pinson, dowiedział się że te iskierki blado-niebieskawe pochodzą od milionów wymoczków, tak małych, że o ich istnieniu tylko mikroskop przekonać jest w stanie.

Gorąco tak się szybko zwiększało, że wkrótce pomimo osłon, pozawieszanych na pokładzie *Fultona*, trzeba było ciągle siedzieć w kajucie. To też p. Pinson i Żywe Srebro nie wychodzili z niej, chyba najrzadziej. Pewnego ranka chłopiec spostrzegł, że okręt płynie jakby po blado-zielonej łące, upstrzonej kwiatami białymi i czerwonymi.

— Czy płyniemy po ziemi?—spytał.

— Nie, na nieszczęście—odrzekł p. Pinson—płyniemy tylko pośród ławicy roślin, które naturalisci nazywają *fucus natans*. Rośliny te przeraziły niegdyś Krysztofa Kolumba, który, ujrawszy je, sądził w nieświadomości swój, że płynie po roztopionej ziemi.

— A te kwiaty białe i różowe... co to jest naprawdę?

— Meduzy, mój chłopcze, zwierzęta, których ciało podobne jest do masy galaretowatej. Marynarze zowią je pokrzywami morskimi dlatego, że wydają one ze siebie rodzaj gryzącego jadowitego płynu.

Przez dwa następne dni *Fulton* płynął ciągle wśród owej zieloności morskiej, a *Żywe Srebro* ciągle przypatrywał się temu dziwnemu dla niego zjawisku. Było to 14 marca. P. Pinson rozmyślał o tém z goryczą, że już miesiąc cały nie widział swojej ukochanej ulicy *Nollet* i że od dni szesnastu przebywa na pokładzie *Fultona*. Ach, cóż to za smutne okoliczności i ileż razy biedny inżynier zlorzczył panu *Boisjoli*, najniwinniejszej przyczynie jego dziwnych awantur.

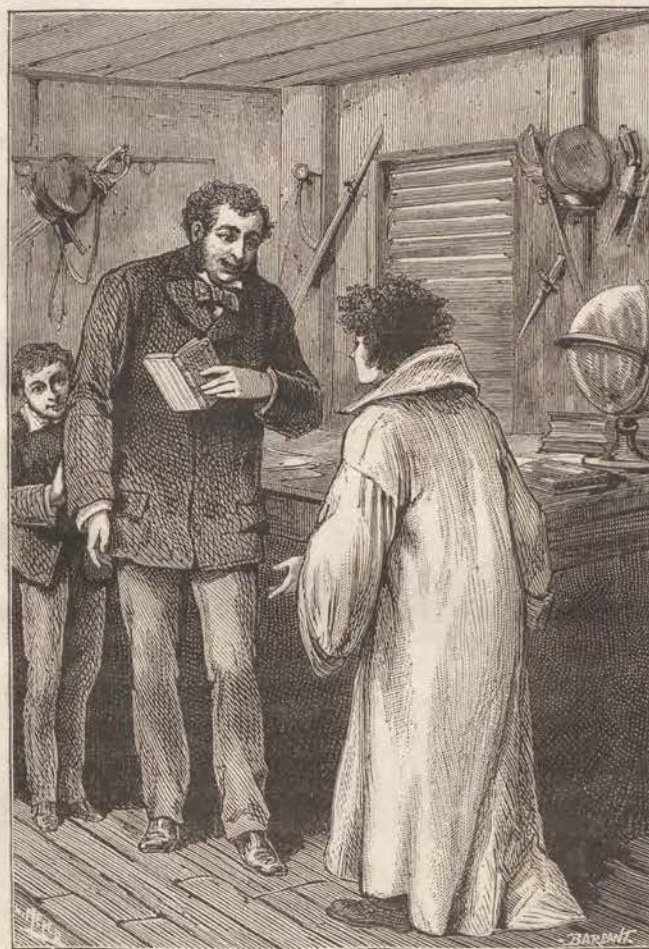
Pewnego rana, w chwili gdy p. Pinson i jego chłopiec mieli wyjść na pokład, zatrzymał ich porucznik.

— *Fulton* w tej chwili stroi się świątecznie—rzekł—pozostań więc pan jeszcze na półgodzinki w kajucie, jeżeli chcesz uniknąć nieprzyjemności robienia porządku.

P. Pinson począł więc czytać książkę, a *Żywe Srebro*, zamiast przy busoli, na ulubioném miejscu, zasiadł przy stole oficerskim.

Okolo godziny dziesiątej wszedł do kajuty chłopiec okrętowy, odziany w długą szatę białą z płótna żaglowego, z włosami ufryzowanemi, i oświadczył panu Pinson, że nietylko może już wyjść na pokład, lecz że oczekuje go tam towarzystwo bardzo liczne, które go prosi aby się ukazał jaknajprędzej. Serce inżyniera zabiło gwałtowniej.—Czyż mianoby wylądować? Czy może dlatego porucznik zatrzymał go w kajucie, aby mu sprawić tém pożądaną niespodziankę wiadomością, iż nareszcie raz stanie na lądzie? Wybiegł więc, ale ujrawszy, stanął zdumiony.

Na pokładzie, na wzniesieniu które okrywał namiot i na którym stało coś podobnego do tronu, inż-



Chłopiec okrętowy przebrany dziwacznie...

nier ujrzał jakiegoś człowieka z długą, sztuczną brodą, odzianego w długą szatę z ozdobami z wieńców roślin morskich. Na czole miał on koronę złotą, a siedział z wielką powagą na tronie. Około niego stała gromadka marynarzy, którzy na muszlach morskich usiłowali naśladować muzykę. Wkrótce odezwały się dźwięki skrzypiec, i jakaś dama, z czarnymi wąsiskami, z koroną również na czole, podeszła w podskokach ku wzniesieniu; za nią postępowało kilku chłopców okrętowych, nagich i przybranych tylko w rośliny morskie. Podeszedłszy ku estradzie, dama owa skłoniła się i w téj chwili rozległ się okrzyk: „Niech żyje Neptun i Amfitryte!“ po którym skrzypce zaintonowały hymn narodowy amerykański *Iankee Doodle*.

P. Pinson zdziwiony widowiskiem, jakie miał przed oczyma, spoglądał pytająco na oficerów, którzy zachowywali niezachwianą powagę. Żywe Srebro cisnął się do inżyniera, nie domyślając się znaczenia tego, na co patrzył.

Tymczasem jeden z majtków, zbliżywszy się do naszych podróżnych, zaprosił ich, w imieniu *króla równikowego*, do zajęcia miejsca przed tronem, w celu dawania odpowiedzi na zapytanie, co ich zmusza do odbywania podróży.

Usłyszawszy to zaproszenie p. Pinson zrozumiał, co znaczy widowisko, jakie miał przed oczyma. Otoż *Fulton* znajduje się na linii równonocnej i majtkowie przygotowali się do *ochrzczenia* podróżnych, którzy po raz pierwszy oglądają te okolice.

Zapytywano inżyniera o jego wiek, zajęcie, a wreszcie i o powód obecności na *Fultonie*.

— Bóg mi jest świadkiem, wasza królewska mości— odrzedkł wesoło p. Pinson. *królowi równikowemu*, że dzieje się to wbrew mojej woli, i że nigdy w życiu nie miałem nadziei cieszenia się widokiem waszego oblicza. Każdy obrót śruby okrętowej oddała mnie od tej stariej Europy, w której pragnąłbym być jaknajprędzej, a którą wasz zacny kommodor uważa za daleko młodszą od jego szlachetnej ojczyzny, Ameryki.

Żywe Srebro, który służył za tłumacza w tej sprawie, brał ją zupełnie naseryo, nie domyślając się, że to przebranie się i zabawa. Biędny chłopiec był najpewniejszy, że stoi przed trybunałem, który surowo sądzić będzie jego lekkomyślne wdarcie się na okręt; w tej chwili odpowiedź p. Pinson jeszcze go w jego przekonaniu utwierdziła. To też gdy zaczął odpowiadać za siebie, prosił także swoich sędziów, aby go nie karali, obiecując nigdy już więcej nie wsiadać na statek bez wyraźnego pozwolenia. Pani Amfitryte uspokoiła go łagodnymi słowy, dodając że uczucie łagodności, właściwe jej płci, każe jej się za nim wstawić do wszechwładnego małżonka Neptuna. Ta piękna dama niezmiernie zaciekawiała naszego chłopca swojemi wąsami i zdawało mu się, że w jej powabnym obliczu odnajduje rysy podobieństwa do jednego z majtków, z którym często gawędził.

P. Pinson wypłacił małą sumkę w charakterze daniny, poczem zaproszono go na wzniesienie wraz z jego towarzyszem, król równikowy miał mu udzie-

nić pozwolenie podróżowania po jego krainach. Władzca i władczyni usunęli się grzecznie, aby zrobić miejsce dla p. Pinson i chłopca, siłą zmuszając ich, by usiedli na tronie. Następnie ozwała się muzyka, złożona ze skrzypców, bębna i piszczałki; król równikowy podał z galanterią rękę swjej małżonce i oboje zeszli majestatycznie ze wzniesienia. W tej chwili p. Pinson uczuł że siedzenie jego się usuwa i... wraz z chłopcem wpadł de cebra, pełnego wody.

XIV.

WYSPY DZIEWICZE.

Po wyjściu z tej kąpieli, p. Pinson w krótkich słowach objaśnił chłopcu znaczenie maskarady, której szczegóły niezmiernie go intrygowały. Była to uroczystość, obchodzona przez marynarzy, skoro się znaleźli pod równikiem, uroczystość która była niezmiernie pożądaną okazją do urozmaicenia ich jednostajnego życia. Kąpiel wieńczyła zawsze ten obchód, połączony z wesołą rubasznnością majtków.

P. Pinson kończył właśnie to objaśnienie, gdy spadły nań trzy potężne strumienie wody z trzech cebrów. Rozgniewany i wściekły, inżynier rychło z roli ofiary przeszedł do roli napastnika; wyrwał jeden z cebrów i przeciwnikom pokazał wnet, do czego jest zdolny, gdy

go przyciśnie potrzeba. Wkrótce też zawrzała ogólna walka, przerywana wybuchami śmiechu. Żywe Srebro nie został beczynnym. Dorwał on się do rury od pompy i stanawszy na mostku, zléwał obfitemi strumieniami każdego, co mu się nawinał. Silne gwizdnięcie jednego z oficerów zakończyło tę igraszkę wodną, poczem wszystko uspokoiło się i surowość służby powróciła do dawnego trybu. Ponieważ p. Pinson i jego chłopiec byli przemoczeni do nitki, trzeba było tedy pomyśleć o przebraniu się, że jednak posiadali te tylko suknie, które mieli na sobie, garderoba przeto majtkowska dostarczyła im bluz marynarskich i ceratowych czapek.

Scena, która rozegrała się na *Fultonie*, powtarzała się widocznie na pokładzie *Davisa*, bo dochodziły z niego skrzypcowe tony i łoskot bębna. I ci ludzie, których jeden nieprzyjazny powiew wichru mógł rzucić w krwawe uściski bitwy morskiej, oddawali się całą duszą płochój zabawie. Jak zauważył p. Pinson, życie ludzkie pełne jest sprzeczności; natura człowieka, dla zachowania równowagi, przerzuca się ustawicznie ze smutku w radość i nawzajem.

Około godziny jedénastój, najzupełniejszy porządek panował na pokładzie *Fultona*. Kommodor i jego oficerowie, uzbrojeni w sekstant, obliczali wysokość słońca. Czynność ta zawsze zaciekawiała Żywe Srebro, który tym razem zapytał p. Pinsona o znaczenie wyrazów: południk, szerokość, długość, bezustannie objających się o jego uszy.

— Posłuchaj—rzekł inżynier.—Wiész już że ziemia jest okrągła?



P. Pinson przechadzał się wkrótce po pokładzie w bluzie marynarza i czapce ceratowej.



— Wiem, dowiedziałem się o tém przed kilku dniami i, dzięki panu, sprawdziłem to naocznie.

— Wiész także, że obracając się około swój osi, przechodzącej przez oba jój bieguny, ziemia, której obieg około słońca wynosi dni 365, robi całkowity obrót naokoło siebie w ciągu 24 godzin.

— Tak, panie, i to słyzałem od pana.

— Doskonale! Otóż prostopadle do osi ziemskiej ludzie uczeni nakręsilili (w wyobraźni, nie w rzeczywistości) wielkie koło, położone w równych odległościach od obu biegunów, które dzieli kulę ziemską na dwie równe części. Jedna z nich nazywa się półkulą północną, druga półkulą południową. Wielkie to koło zowie się równikiem.

— Rozumiem.

— Południk ziemski, jest to koło inne, które, przechodząc przez oba bieguny, jest prostopadle do równika. Dzieli on ziemię na dwie półkule, z których jedna jest wschodnią, druga zaś zachodnią. Na każdej półkuli jest 180 południków, na całej kuli ziemskiej jest ich 360.

— I to rozumiem.

— Prócz tego są jeszcze dwa koła, zwane zwrotnikami, położone z obu stron równika, równoległe do niego. Linij tych kół słońce w swojej drodze rocznej nigdy nie przechodzi, a tym sposobem oznaczają one granice jego pochodu. Zwrotnik północny nazywa się zwrotnikiem *raka*, południowy zaś zwrotnikiem *koziorożca*. Otóż—ciągnął dalej inżynier— długość pewnego miejsca, jest to łuk równika, lub linia do niego równoległa, obliczona do południka, który przechodzi przez

dane miejsce, do południka dowolnie obranego. Długość obliczają od rozmaitych miejsc kuli ziemskiej przez obliczanie różnicy ich godzin, czyli czasu, które się mnożą przez 15 stopni, z uwagi że słońce w biegu, którego dopełnia w ciągu godzin 24, przebiega 360 stopni, to jest 15 na godzinę. Ażeby osiągnąć rachunek pewny, żeglarze posiadają chronometry bardzo dokładne, które wskazują godzinę ich własnego lub dowolnie obranego południka. I tak w tej chwili tutaj jest południe, kiedy tymczasem ich chronometr pokazuje godzinę trzecią dajmy na to w Paryżu; jesteśmy przeto o trzy godziny od Paryża, a że 3 razy 15 czyni 45, wypada z tego że *Fulton* znajduje się pod 45° długości zachodniej względem Paryża.

— Rozumiem—rzekł chłopiec, rozejrzawszy się bacznie w figurze kuli ziemskiej, nakręślonej dla zrozumiałszego wykładu przez p. Pinson.

— Szerokość pewnego miejsca—ciągnął inżynier— jest to łuk południka, zawarty między równikiem i równoległą, przechodzącą przez dane miejsce. Znajomość długości i szerokości geograficznej jest jedną z najważniejszych warunków geografii. Dzięki tej znajomości, mój chłopcze, kommodor jest w stanie powiedzieć nam każdego dnia w południe, na jakim punkcie ziemi się znajdujemy.

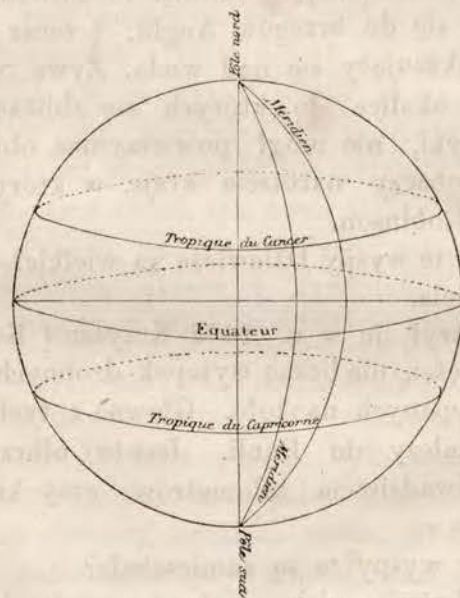
— Zdawało mi się zawsze, że marynarze poznawają kierunek swój drogi zapomocą busoli.

— Busola pomaga im tylko w płynieniu naprzód, przed siebie, ale jest tylko tyczką, znaczącą drogę, bo wskazuje północ, nie więcej. Jedynie zapomocą znajo-

mości wymiarów geograficznych mogą oni kierować się na morzu ku obranemu celowi.

Nazajutrz, to jest w d. 20 kwietnia, kommodor, po obliczeniu wysokości południka i zbadaniu stanu barometru, ukazał się na pokładzie, zaciérając ręce.

— Barometr nareszcie spada—rzekł wesoło p. Pinson—i bardzo być może że jeszcze wieczorem nadejdzie burza, która nas zbliży do *Davisa*.



— Obyż was Bóg wysłuchał —odpowiedział inżynier.—Jestem z natury człowiekiem miłującym spokój, niemniej przecież pragnąłbym szczerze, ażeby raz walka stanowcza zmusiła *Davisa* do zaprzestania tego piekielnego wyścigu.

— Właśnie o tém zamyśla ten przeklęty bandyta, ale mam nadzieję że mu w tém przeszkodzi.

— Co pan chcesz powiedzieć?

Że niezadługo ujrzymy wyspy Dziewicze i że korsarz, którego zapasy węgla muszą być na schyłku, użyje wszelkich starań, aby zawinąć do portu Ś. Tomasza, aby tym sposobem uniknąć starcia.

Gdy kommodor skończył mówić, ze strażnicy dał się słyszeć głos, oznajmujący ziemię. P. Pinson, jak w chwili zbliżania się do brzegów Anglii, i teraz ujrzał biały obłoczek, ukazujący się nad wodą. Żywe Srebro, który słyszał że okolice do których się zbliżano stanowią część Ameryki, nie mógł powstrzymać objawów zadowolenia. Zobaczmy nareszcie kraje, w których niegdyś przebywał Robinson.

— Czy te wyspy Dziewicze są wielkie?—spytał swego nauczyciela.

— Odkrył je w r. 1493 Krzysztof Kolumb. Jest ich czterdzieści, nie licząc wysepki drobnych, w wielkiej liczbie rozsypanych naokoło. Główna z tych wysp, Św. Tomasza, należy do Danii. Jest to olbrzymia skała, długa na dwadzieścia kilometrów, przy której istnieje port wolny.

— Czy wyspy te są zamieszkałe?

— Niektóre z nich są, inne zaś nie, bo niema na nich wody słodkiej i wystawione są na straszliwe wiatry.

— Wkrótce żywe Srebro zajął się żywo śledzeniem manewrów *Davisa* i *Fultona*. Wielkie czarne chmury ukazały się na horyzoncie; wiatr dał z siłą, a morze,

tak spokojne od dni piętnastu, teraz zaczęło się burzyć. Bałwany rosły a kommodor zacięwał ręce, spoglądając na pianę morską, która okrywała boki jego okrętu, aż do wysokości pokładu.

Według jego przepowiedni, *Fulton*, pośród wzburzonych fal, ukazał się dzielny i zwinny. Nietrudno było spostrzedz że brał on górę nad przewodnikiem, który od dwóch tygodni urągał mu z całą zarozumiałością. Wiatr rósł co chwila, a morze burzyło się coraz bardziej. Widziano jak *Davis* rzucał się, podskakiwał, upadał na boki, ale pomykał mimo to naprzód bez nstanku. Widok ten wprawiał w zadziwienie Żywe Srebro, któremu ani przez myśl nie przeszło, że *Fulton* wyprawia takie same skoki, tak samo się rzuca i tańczy. Co do p. Pinson, to ten, widząc szamotanie się drewnianego kadłuba okrętu z żywiołami, podziwiał śmiałość ludzi, którzy z taką obojętnością stawali z niemami do walki.

Zbliżano się do lądu szybko, a wkrótce na wierzchołku wyspy Św. Tomasza widzieć było można najwyraźniej kształty rosnących tam palm, których sylwetki rysowały się na ciemnej otchłani nieba. Żywe Srebro na ich widok podwoił swoje pytania, pan Pinson jednakże nie odpowiadał mu chętnie; śledził on bacznie i z niepokojem ruchy *Fultona*, który, przestawszy ścigać za *Davise*m, skierował się do lądu. Cóż to znaczy?... I to właśnie wtedy, gdy zdawał się być najbliższym osiągnięcia celu swój gonitwy, miałaby zmienić zamiar i puścić ściganego wroga?

Wkrótce bastiony, okalające wyżyny Świętego Tomasza, stały się zupełnie widzialnymi. Żywe Srebro, z perspektywą w rękę, przypatrywał się działom, placówkom i podskakiwał z radości.

— Gdzież jest port?—spytał jednego z majtków.— Nie widzę ani jednego domu.

— Port znajduje się w głębi zatoki, którą zasłaniają wznoszące się przed nami skały—odrzekł marynarz.—Ujrzymy go, przepłynawszy kanał.

— Czy tam jest i miasto?

— Jest i ma 10,000 mieszkańców. Zbudowano je na stoku góry, stąd to jego ulice, z wyjątkiem głównej, która biegnie wzdłuż morza, są dostępne tylko przy pomocy schodów.

— A więc, mój chłopcze—wtrącił teraz p. Pinson— nasza podróż dobiega nareszcie do kresu.

— Czy wylądujemy?

— Mam nadzieję. Święty Tomasz jest portem, w którym statki, kursujące między Ameryką i Europą, zaopatrują się w węgiel. Wsiadłszy tutaj, niedługo będziemy potrzebowali czekać na odpłynięcie do Francji.

— A cóż się dzieje z *Davisem* i co znaczy żeśmy go porzucili?

— Kommodor wyjaśnił mi to właśnie przed chwilą. Korzystając z przewagi, jaką ma nad nim *Fulton* pod względem szybkości, kommodor skrzywił, aby mu przeciąć drogę do przystani. Tym sposobem *Davis* nie będzie mógł szukać dla siebie jedyne ratunku, jakim stać się dlań może wpłynięcie na wody Danii.

— Na wody Danii?—powtórzył pytająco chłopiec.

— Tak; Święty Tomasz należy do Danii, a trzeba ci wiedzieć, że prawa między narodowe chcą, aby statki stron walczących, znalazłszy się w odległości dwóch kilometrów od brzegu krajów neutralnych, zaniechały walki.

— To znaczy, że *Fulton* nie może atakować *Davisa*, jeżeli ten podpłyne na taką odległość od brzegów?

— Tak... inaczej pogwałciłby terytorium Danii.

Davis w tej chwili puścił się ku południowej kończynie wyspy.

Natychmiast *Fulton* przyjął ten sam kierunek i uprzedził przeciwnika. *Davis* zatrzymał się, a stojąc na wysokości kanału, prowadzącego do przystani, puścił się ku niemu. Ale morze wzburzone zdawało się dodawać *Fultonowi* skrzydeł, który zdążył wporę przeciąć korsarzowi drogę. Przy tych obrotach oba statki zamieniły kilkanaście strzałów armatnich; *Davis*, widząc że starcie może go doprowadzić do zguby, a prosty wyścig szybkości na nic się nie zda, usiłował zwodnymi poruszeniami oszukać przeciwnika. Wykonał tedy kilka manewrów, które ze strony kommodora zasłużyły na pochwałę.

— Rozbójnik, który dowodzi tym statkiem, jest dzielnym marynarzem—rzekł z uśmiechem zadowolenia;— musi to być Amerykanin z Północy.

P. Pinson uśmiechnął się. Miał nadzieję iż *Davis*, dzięki uwielbieniu kommodora, znajdzie stosowną chwilę, w której uda mu się wślizgnąć do przystani. Tymczasem *Davis* najniespodziewaniej wypłynął na pełne mo-

rze i puścił się w kierunku Europy. *Fulton* poprzestał na spokojnej defiladzie przy brzegach wyspy.

— On wraca i pozostawia nas!..—rzekł zdziwiony inżynier.

— Nie wierz pan w to—odrzekł z flegmą kommodor;—jest to tylko wybieg, dobry na jakiego Anglika lub Francuza, ale nie na mnie. *Davis*, mój panie, zupełnie tak jak i my, wyczerpuje w tej chwili resztki węgla i nie mógłby płynąć do Europy, chyba pod żaglem. Musi on koniecznie zatrzymać się u Świętego Tomasza, lub najdalej przy San-Domingo. Otóż jeżeli niepogoda ciągle sprzyjać nam będzie, nie uda mu się to, bez spróbowania siły i morderczości naszych kul.

P. Pinson nie odrzekł nic; nowina, którą usłyszał, przejęła go radością. Nareszcie podróż jego przymusowa raz się miała zakończyć! Dwa steamery, dzięki brakowi paliwa, muszą się zetrzeć i to niezadługo; kommodor ręczy mu za to, a on chętnieby go uściskał.

Noc nadeszła; *Fulton* rzucił na swego przeciwnika snop promieni światła elektrycznego. Po dwadzieścia razy *Davis* zbliżał się do kanału i po dwadzieścia razy cofać się musiał pod gradem kul armatnich. Oddawał cios za cios; kilku marynarzy odniosło rany, ale korsarz musiał się strzedz, aby się nie zetrzeć piersią o pierś przeciwnika, bo wtedy zguba jego byłaby niechybną.

Około godziny dziesiątej wieczorem wiatr ustał i niebo zajaśniało milionami gwiazd, które tylko gdzieś niedzie przysłańiały leciuchne obłoczki. Była już północ, gdy p. Pinson udał się na spoczynek, w nadziei że noc następną przepędzi niezawodnie na lądzie. O go-

dzinie piątej rano inżynier, poczuwszy że *Fulton* jest w biegu, wybiegł z kajuty, aby zobaczyć co się dzieje. Wyspa Św. Tomasza znikła z horyzontu; zamiast niej, widać było całe szeregi skał i drobniutkich wysepek, między które fale morza wdziérały się z szumem i rykiem. *Davis*, w odległości mniejwięcej trzech kilometrów, zdawał się żeglować między temi wysepkami, a jakaś łódź żaglowa, bez żeglarza i puszczone samopas, na wolę wiatru, płynęła o dwieście metrów od *Fultona*.

XV.

CZŁOWIEK W MORZU.

P. Pinson nie mógł uwierzyć własnym oczom.

— A to dziwnel!..—szeptał.

Później, spoglądając wokół, szukał kogoś, ktoby mógł mu wytłumaczyć, co się właściwie stało.

Kommodor, jego pomocnik i maszynista stali na mostku; dwaj inni oficerowie zajmowali swoje stanowiska, aby podawać rozkazy kommodora sternikowi. Morze, od wczoraj jeszcze nieuspokojone, toczyło swoje fale, na których *Fulton* wznosił się wgórę, to znowu opadał, a wciąż posuwał się naprzód.

— Cóż się u licha stało?... — zapytał p. Pinson swego chłopca, który, zwiędziwszy już cały pokład, zbliżał się zwolna ku niemu.

— Jeden z majtków mówił mi że *Davis*, wyper-swadowawszy sobie wkroczenie do zatoki, zdecydował się wreszcie puścić na otwarte morze. Kommodor przypuszczał z początku że to tylko ludzacy wybieg i pozwolił mu się cokolwiek oddalić; ale gdy spostrzegł że *Davis* nie żartuje, puścił się zanim znowu.

— Gdzież jesteście?

— Tuż przy wysepkach i skałach, które oddzielają wyspy wielkie.

— A co znaczy ta szalupa, bez załogi, płynąca samopas po morzu?

— Jest to łódź pilota, którego *Davis* przyjął na swój pokład.

P. Pinson przestał wypytywać chłopca, a w tej chwili rozległ się rozkazujący głos kommodora. O! ciężki to obowiązek być komendantem statku wojennego, obowiązek który się łączyć musi ze znajomością morza, wirów i ich kaprysów, z zimną krwią w każdym przypadku, z pewnością rzutu oka i szybkością postanowień. Życie tysiąca ludzi zawisło od jego rozkazów, a w oczach narodu on także jest odpowiedzialny za całość statku, który oddany jest pod jego rozkazy. Jakżeż on wybornie znać musi zalety i wady tego statku, jego właściwości w każdym położeniu... tak jak kawalerzysta znać musi swojego konia. Kommodor dowodził od lat pięciu *Fultonem* i znał go wybornie, a co więcej — kochał go; załoga tego okrętu w dowódcy swoim pokładała zaufanie najzupełniejsze.

Davis, wpłynąwszy pomiędzy skały, potrzykroć wzniósł swą banderę, z rodzajem przechwałki, i grzmią-

cy okrzyk jego osady odbił się stokrotnem echem wokoło.

— Podnieść naszą flagę! — rozkazał kommodor — i dać wystrzał armatni dla jej uczczenia!

Bandera rozwiała się natychmiast wspaniale, a wystrzał działowy poniósł kulę, która zapadła w morze o kilka metrów od *Davisa*.

— Wybornie! — rzekł p. Pinson, zwracając się do chłopca — ciekawa rzecz tylko, dokąd nas to wszystko zaprowadzi.

— Czy zdążamy do jakiego portu?

— Ale gdzież tam! Wszystkie te wysepki są puste i niegościnne.

— Puste!... A przecież są na nich drzewa, jest trawa... Ta na przykład, do której się zbliżamy, toż to najprawdziwsza wyspa!

— Tak, ale dostać się do niej niepodobna, ponieważ są inne wyspy i skały podwodne, które tamują wszelki przystęp. Znać to po pianie morskiej i po powierzchni wody. Chociaż to nie polepszyłoby naszego położenia — dodał inżynier — szkoda jednak, że tu niema p. Boisjoli; doznałby miłych wrażeń w swój podróży i radosnej nadziei, że się ona nigdy może nie skończy.

Żywe Srebro promieniejącemi oczyma przypatrywał się wyspie, o której tylko co mówił, a od której *Fulton* oddalony był w tej chwili zaledwie na pięćset metrów, postępując wciąż śladem *Davisa*. Zamyślony chłopiec spostrzegł z zachwytem na owiej wysepce grupę drzew palmowych... Ach!... wraże czego, możnaby osiąść tu-

taj... i urzeczywistniłyby się jego marzenia o samotném życiu Robinsona!

Wciągu czterech godzin następnych obrazów Bóg wie ile wysp, wysepek, skał i raf podwodnych, poczem nagle przed oczyma marynarzy rozłożyło się morze szerokie i głębokie. Mimowolne westchnienie wyrwało się z piersi wszystkich, kommodor nawet uczuł porę za stosowną do odłożenia trzymanej ciągle w rękę perspektywy i, zwracając się do p. Pinson, rzekł:

— I cóż pan myślisz o tém polowaniu?

— Myślę że pan jesteś nieustraszonym marynarzem, kommodorze!

— Jestem tylko Amerykaninem, mój panie, i znam hasło méj ojczyzny: *Go ahead!*

— Czyś pan już żeglował po tych wodach?

— Raz tylko, na szczęście.

— Czy wolno mi zapytać, dokąd płyniemy?

— Do Charleston, do Baltimory, do Nowego Yorku... alboż ja wiem?

— Jesteśmy zatém znówu na pełném morzu?

— Nie; jesteśmy w zatoce, zamkniętej do koła wieńcem skał i wysepek. Od dwóch godzin płyniemy pokanałe, który do niej prowadzi.

— Okoliczności zaczynają się wikłać — dodał inżynier z gorzkim uśmiechem.

— Istotnie... Spodziewam się jednak, że przed zachodem słońca *Davisa* ujmiemy w zasadzce, w którą sam się zapędził.

— Czy to morze wewnętrzne, po którym płyniemy, nie ma wyjścia?

— Ma tylko jedno, a ponieważ *Davis* prawdopodobnie go nie zna, a pilot którego ma na pokładzie, dobry jest tylko w swoim własnym porcie, przeto z wyjścia tego nie skorzysta.

Kommodor wrócił na swoje stanowisko. We dwie godziny później straż z bocianiego gniazda oznajmiła że się zbliżano do skały.

Widok tak pomyślnego wypadku nie wzruszył bynajmniej chłopca.

— Tylko co — odrzekł Żywe Srebro półgłosem — karmiono drób okrętowy; postarałem się, aby napełnić ziarnem kieszenie.

— A to w jakim celu?

— Ażeby je zasiał na wyspie, przy której będziemy rozbici. Schowałem także kawał chleba.

— I ten chleb wyżywi nas przez czas oczekiwania na twoje zboże?

— Tak, panie.

Inżynier, pomimo okoliczności smutnych w jakich się znajdowano, nie mógł powstrzymać uśmiechu, który jednakże nie zmieszał chłopca.

— Mam także przy sobie nóż i wielki gwóźdź — ciągnął dalej półgłosem; — zauważyłem już dawniej, gdzie cieśla okrętowy chowa takie przedmioty. Posłuży nam to do zbudowania szałas.

— Głupstwo!... Masz zbyt żywą imaginacją, mój chłopcze.

— Trzeba być przygotowanym na wszystko. Niech też pan ma ciągle na uwadze poduszkę ratunkową, zawieszoną na parapecie. W chwili, w której *Fulton* ude-

rzy o skały, niech pan odetnie sznurek, na którym ta poduszka wisi, i rzuci ją w morze; uczynię i ja to samo, a z pomocą poduszek ratunkowych dostaniemy się na jedną z wysp. Zdałyby się nam także strzelby.... ale nieśmiałem ich ruszać, bo się boję oficerów.

— Dobrze, dobrze — odrzekł p. Pinson, głaszcząc głowę chłopca; — niezadługo, jak widzę, gotów mnie jesteś przekonać, że awantura, na jaką mnie naraził ten urwis Boisjoli, musi się koniecznie skończyć tragicznie. Jesteśmy w niebezpieczeństwie, to pewna; dowodzą tego i poważne miny marynarzy... ale przecież kommodorowi chodzi i o jego własne życie i dobrze on wytrzeszcza oczy, aby nie wpędzić statku na jaką skałę!

— E, proszę pana, to Amerykanin, i byle tylko dać dobrego kuksańca *Davisowi*, gotów jest nas rzucić natychmiast w morze. Mówił to nawet przed godziną.

— Mówił w żarcie, mój chłopcze, bo zresztą nie widzę racyi, dla którejby kąpiel przymusowa mogłaby w czémkolwiek zaszkodzić *Davisowi*.

W tej chwili uwagę Żywego Srebra zajęło stado ptaków, które, wzleciawszy zponad skał, wzbily się wysoko nad masztami *Fultona*. Między temi ptakami p. Pinson zauważył dwie fregaty, ptaki które nazwę swą zawdzięczają rozłożystości skrzydeł i wytrwałości lotu. Fregaty posiadają skrzydła kilkumetrowej objętości i wzbijają się prawie w obłoki. Ich wzrok w przenikliwości nie ustępuje wzrokowi orła i pozwala im spostrzeżać ryby, płasające na powierzchni morza, na które rzucają się zgóry z szybkością błyskawicy. Fregaty

żyją w okolicach podzwrotnikowych i nigdy nie odlatują daleko od brzegów, na których przebywają.

Chłopiec zauważył także inne ptaki, których ogony miały po dwa pióra długie, jakby dwie słomy.

— Ptaki te nazywają faetonami — rzekł objaśniająco p. Pinson. — Od owych dwóch piór w ogonie nazywają je także naturaliści słomkami, jak również ptakami podzwrotnikowemi, ponieważ w innych okolicach napotkać ich nie można.

Uwagę mówiących zwrócił na siebie kommodor, który ze swego mostku wydawał coraz nowe rozkazy. *Fulton* ciągle postępował za śladami *Davisa*. *Davis* to krył się za wysepkami i skałami, to ukazywał znowu, a odległość pomiędzy nim a *Fultonem* zdawała się zwiększać. Słońce obniżało się ku zachodowi i p. Pinson nie mógł pomyśleć bez trwogi o niebezpieczeństwie, na jakie narażą się podczas nocy oba statki w tej nieprzerwanej ani na chwilę pogoni. Kanał już przepłyniono i okręty znalazły się znowu na otwartym morzu, gdy naraz spostrzeżono ziemię, która je otaczała ze wszystkich stron.

Kommodor zszedł na chwilę ze stanowiska, aby spostrzeżać.

— Jeżeli mapy nie kłamią — rzekł do p. Pinson — to jesteśmy w tej chwili w miejscowości bez wyjścia, z której *Davis* już się nam nie wymknie. I dlatego chętniebym tu nań oczekiwał, bo jestem pewny że opłynawszy całą zatokę i nie znalazłszy wyjścia, będzie usiłował wymknąć się drogą, którąśmy tu przybyli.

— A jeżeli noc nadejdzie, kommodorze, to sama roztropność...

— Nic nie wiem o roztropności, mój panie, wiem tylko o tém, że mam zmiażdżyć *Davisa*. Gdyby karty które posiadam były kręslone przez Amerykanów, ufałbym im bezwarunkowo... ale cóż... są-to karty francuzkie, a tymczasem ten pilot... Ale na Boga!.. *Davis* waha się... zatrzymuje!..

Kommodor pobiegł na swoje stanowisko.

Davis zawahał się istotnie; zwolna i ostrożnie zakręślał on wgłębienie, które widać było po jego lewej stronie. *Fulton* puścił się całą siłą pary ku swojemu przeciwnikowi. P. Pinson, ażeby lepiej widzieć, co się stanie, zbliżał się coraz bardziej ku parapetowi statku, i ujął ręką za drąg, na którym powiewała gwiazdzista jego bandera. *Davis* zapewne z powodu ciasnoty przejścia, w którym się znajdował, postępował bardzo wolno. W tej chwili znalazł się bokiem do *Fultona*, który też natychmiast przywitał go kulami ze swoich dział. I on nie czekał... strzały posypały się ze stron obu, a jedna z kul uderzyła w drąg bandery, strzaskała go i p. Pinson, straciwszy niespodzianie podpórę, zwałił się nagle do morza.

Widząc to, Żywe Srebro z zimną krwią odcina sznurk poduszki ratunkowej i rzuca ją do wody, a następnie i sam skacze w morze, usiłując dosięgnąć swojego opiekuna. Za chwilę znajduje się tuż przy jego boku, a tymczasem z *Fultona*, który oddala się gwałtownie, słychać krzyk:

— Człowiek w morzu!

Żywe Srebro pływał jak ryba... w dwie minuty udało mu się schwycić poduszkę ratunkową, z którą puścił

MILWICZ



Niepodobna przecież, aby nas porzucili na pewną zgubę!

się ku inżynierowi. P. Pinson odurzony zrazu nagłym upadkiem, teraz wyteża siły i płynie równie dzielnie.

— Odwagi!...—woła chłopiec—jeszcze chwila, a złączymy się!

— Oszczędzaj siły!—odpowiada p. Pinson spokojnie.

W dziesięć minut później obaj przyjaciele płynęli z pomocą poduszki ratunkowej.

— Jakte, mój chłopcze, czy i ty także wpadłeś w morze?

— Nie. Gdym wyrzucił poduszkę, spostrzegłem z trwogą, żeś pan się skrył pod wodą. Sądząc że pan nie umiesz pływać, skoczyłem z pokładu, aby panu przyjść z pomocą.

Prostota, z jaką chłopiec opowiadał o swoim bohaterskim czynie, rozrzewniła p. Pinson.

— Mój chłopcze—rzekł wzruszony—to coś uczynił, jest... A! dzięki Bogu!... pomówimy o tém później.

Dwaj rozbitkowie, pchając przed sobą poduszkę, zwrócili się ku *Fultonowi*. Spostrzegli teraz w osłupieniu, że statek płynął wciąż dalej.

— To niepodobna!...—zawołał p. Pinson,—Czyż istotnie zostawili nas na zgubę?...

— Kommodor powiedział wszakże dziś rano, że byle tylko zmiażdżyć *Davisa*, gotów nas wszystkich rzucić w morze.

Inżynier począł rozpatrywać widnokrąg, chcąc rozpoznać ruchy *Fultona* i jego przeciwnika. Po chwili zwiesił głowę, zniechęcony, bo teraz nie miał najmniejszej wątpliwości. *Fulton* oddalał się coraz bardziej, a tarcza słoneczna zniżala się ku zachodowi.

XVI.

NOC OKROPNA.

Przez kwadrans blisko, z owym bezwiednym instynktem, który nakazuje walczyć człowiekowi z niebezpieczeństwem, p. Pinson i Żywe Srebro płynęły wciąż, bez wyrzeczenia jednego słowa. Przez głowę inżyniera przebiegały najrozmaitsze myśli i szczególnym trafem, zamiast się odnosić do obecnego niebezpieczeństwa, sięgały w dawno minioną przeszłość. Wspominał swą drogą matkę, potem zaś widział przed wzrokiem duszy siebie i Boisjoli na jednej ławie w kolegium Św. Barbary... Boleści i radości, najmniejsze nawet wydarzenia w jego spokojnym życiu przewijały się teraz szybko w pamięci pana Pinson, żywe, wyraźne, jakby się przytrafiły wczoraj dopiero. Przypominał sobie i ów ostatni wieczór, spędzony z przyjacielem we własnym, cichym mieszkaniu przy ulicy Nollet, i spuszczając smutnie głowę, szepnął:

— Dziwne, dziwne!

Rzeczywistość straszna, nieublagana, ukazała mu się teraz w całej swój grozie. Jego niespokojne wejście zwróciło się wokoło. Wszędzie widać ziemię, to jest skały, wysepki i sterczące nad wodą rafy, o które morze rozbija się z hukiem. Najbliższy z lądów wznosił się na lewo, w odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów... do tej skały należało się skierować, aby ocalić życie.

Łono morza wznosiło się w balwanach, które spokojnie, cicho przelęwały się ustawicznie. Goelandy wznosiły się z kryjówek swoich w powietrze, kołowały nad głowami naszych rozbitków i powracały ze smutnym swoim krzykiem, który marynarze biorą często za krzyk tonącego człowieka....

P. Pinson zwrócił się do swego towarzysza; trzymając jedną ręką poduszkę ratunkową, chłopiec płynął wciąż z krwią zimną i wytrwałością.

„Bez tego drogiego dziecka—myślał inżynier—nie żyłbym już od godziny, a myśl rzucenia poduszki ratunkowej natchnął mu entuzjizm dla Robinsona. I oto prostota chłopca i jego łatwowierność, z której dziś rano śmiałem się jeszcze, stała się dla nas zbawieniem. Dalej! trzeba wyjść z tego oplakanego położenia, aby kiedyś opowiedzieć temu kochanemu Boisjoli, na co on to mnie naraził.“

P. Pinson podniósł głowę z energią.

— Płyn spokojniej, mój chłopcze—rzekł; — dzięki twojej przezorności, możemy zdążyć naprzód, nie męcząc się tak bardzo, a potrzeba nam siły oszczędzać. Spróbuj wydostać się na poduszkę i usiąść na niej, a ja będę ją popychał ku lądowi. Gdy się zmęcę, zajmę twoje miejsce.

Poduszka stanowiła płócienne koło dwumetrowej średnicy, a była silnie skrepowana sznurkami. Żywe Srebro, po kilku rzutach, usiadł na niej, a p. Pinson, płynąc ze spokojem panowania nad sobą, pchał coraz dalej ten zaimprovizowany statek.

— W tę stronę—rzekł chłopiec—wskazując na lewo wznoszącą się wyspę, która mu się wydała największą.

— W którąkolwiek bądź, byle stanąć na ziemi. Najbliższa będzie w naszym położeniu najlepszą.

Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświecały niebo; wkrótce znikło ono zupełnie i noc zapanowała nad morzem. Parę razy chłopiec nalegał na towarzysza, aby zajął jego miejsce, ale p. Pinson chciał płynąć jeszcze. Po upływie godziny dopiero pragnął odpocząć i z tysiącem trudności udało mu się wreszcie zasiąść na miejscu Żywego Srebra.

Z jakąż rozkoszą inżynier uczuł w tej chwili, że jego ciało spoczywa na czémś stałym! Tymczasem na niebie wiatr rozpędził chmury i zajaśniały gwiazdy, blade oświecając naszych biednych rozbitków. Gdzież oni dążą?... Cochwila p. Pinson natężył słuch, aby pochwycić jaki odgłos.... Zdawało mu się, że na prawo słychać rozbijanie się fal o skałę i nie mógł pojąć, co to znaczy. Po jakimś czasie przyszedł dopiero do przekonania, że muszą się znajdować na jakimś stałym prądzie, których tu na oceanie pełno, i że usiłowania ich, aby płynąć w raz obranym kierunku, na nic się im nie przydadzą.

Upłynęło trzy godziny; zdawały się one wiekami całemi dla rozbitków. Nie płynęli już, ale się dali unosić poduszce... na los szczęścia. Ponieważ noc była chłodna, długi pobyt w wodzie zmroził ich nieledwie; drżeli od zimna. Co kwadrans przesiadali się

na poduszce, a p. Pinson nie przestawał płynąć, bo czuł że jego ręce i nogi sztywnieją z wysiłku i chłodu.

Inżynier miał jaknajgorsze przeczucia, ale lękał się podzielić je z towarzyszem. Chłopiec, na szczęście, miał wiele energii, a żywość jego imaginacyi i śmiałość wrodzona pozwalały mu wierzyć, iż lada chwila znajdą się obaj na lądzie. Jedno go tylko martwiło: oto chleb w jego kieszeni musiał uleść zniszczeniu, a zapalki niezawodnie przemokły i stały się niezdatnemi do użytku.

— Jakim sposobem rozpala się ogień, gdy zapalki zamokły?—spytał inżyniera.

— Suszy się je, jeżeli się ma słońce nad głową—odrzekł p. Pinson, nie chcąc odbierać złudzeń i odwagi towarzyszowi.

— Już to postanowione — mówił po chwili chłopiec—że pan będziesz Robinsonem. Jabym sam pragnął nim zostać, ale byłoby to dziwne, gdybym panu miał rozkazywać. Będę więc Piątkiem i sądzę że nie złym... zobaczy pan!

— Nie wątpię o tém, moje dziecko.

— Znajdziemy niezawodnie na naszej wyspie jakieś zwierzęta; będę je łowił i przyswajał. Czy też woda morska nie zaszkodziła mojemu ziarnu?...

— Nie; wysuszymy je, tak jak zapalki.

— Przekona się pan—mówił dalej chłopiec, że nie będziemy na swojej wyspie zbyt nieszczęśliwi. Dla Robinsona najboleśniejsem było to, że nie miał z kim rozmawiać; my jesteśmy o wiele szczęśliwsi. Zbudujemy sobie dwa domki, jeden na lato, a drugi na zimę;

zamiast drobiu, będziemy chować ptactwo morskie, będziemy wreszcie polować....

— Ma się rozumieć.

— Tak jak Robinson, zrobimy sobie kalendarz z jakiego pała... A co najzabawniejsze, to że kiedy po dziesięciu albo dwudziestu latach jaki statek zabierze nas do Europy, pan będzie miał ogromną brodę!... Po powrocie do Francji, sprzedamy naszą wyspę... tak jak Robinson. O!...—dodał po chwili, gramoląc się na poduszkę ratunkową—radbym tylko, żeby na niej stanąć jaknajprędzej.

— Cierpliwości, cierpliwości!

Będziemy mieli wielką wyższość nad Robinsonem—prawił dalej Żywe Srebro, usiadłszy na poduszce.

— Jakąż to, moje dziecię?

— Pan jesteś inżynierem; jeżeli nam się znudzi pobyt na naszej pustelni, zbudujesz pan łódź i popłyniemy na wyspę Św. Tomasza.

Chłopiec prawił długo, ale po jakimś czasie robił w mowie coraz dłuższe przestanki, aż nareszcie mruzczał coś tylko niewyraźnie... potem zamilkł zupełnie i usnął. Znużenie przezwyciężyło młode jego siły.

Inżynier przyzwał na pomoc moc duszy i podczas następnej godziny, trzymając się wciąż poduszki, płynął zwolna i z wysiłkiem. Po dwadzieścia razy czuł, że ramiona jego słabną i że potrzeba zbudzić chłopca; po dwadzieścia razy wyteżał resztki energii i płynął dalej. Zdawało mu się raz, że słyszy huk maszyny *Fultona*... Podniósł się wówczas jak mógł najwyżej nad wodę i spojrzał wokoło... ale nie zobaczył

nic więcej, jak tylko morze rozległe, ponure, przewalające zwolna swoje fale.

— Dziękuję... jesteś pan dobry—mruzczał przez sen Żywe Srebro.

P. Pinson wlepił weń swe spojrzenie z czułością.

„Boże, — pomyślał — przebacz mi moje zwątpienie i ocal to dziecię.“

— *Good morning, mother Pitch* — szeptał chłopiec.

P. Pinson, którego głowa znalazła się tuż przy jego twarzy, pocałował go lekko i serdecznie.

„Wybawię go teraz ja — pomyślał — tak, wybawię go z tej otchłani.“

Daleki wystrzał działowy dał się słyszeć, a po nim nastąpiły inne.

„*Fulton i Davis* starły się nareszcie — myślał inżynier.—Doprawdy śliczna to rzecz ta wojna! Kommodor... zacny człowiek, a przecież nie uczynił ani jednego kroku, aby nas wyratować!“

Kanonada ustała. P. Pinson, czując że siły jego wyczerpują się, postanowił zbudzić swego towarzysza. Ale w tej chwili doznał silnego wrażenia: jego stopy oparły się o jakieś ciało stałe. Uczuł że ma grunt pod nogami. Jego zdziwienie i radość były tak wielkie, że puścił machinalnie poduszkę ratunkową, która popłynęła o kilka metrów dalej. P. Pinson rzucił się, aby ją przyciągnąć. Woda dochodziła mu tylko do kolan i przez chwilę pewność ocalenia dodała mu siły i odwagi. Uczucie wdzięczności nappełniło jego serce. Usiadł wreszcie na cyplu skały, sterczącym z wody, a lzy rozrzewnienia zrosiły mu policzki.

„Przyszłość jeszcze przed nami“—szepnął i zwrócił spojrzenie wokoło, szukając promyków jutrzeńki... których jednak nie ujrzał. Ze wszystkich stron sterczały ponure skały, o które morze rozbijało się z przerażającym hukiem. Ujął silniej poduszkę i przyciągnął bliżej... poduszkę na której zasypiał Żywe Srebro, kołysany przez fale groźnego oceanu.

Jakże okropnie długimi wydawały się p. Pinson godziny, które przepędził na niewidzialnym, ukrytym pod wodą gruncie, na jaki go przypadek zapędził. Zdawało mu się że noc nigdy się nie skończy. Szukał swego zegarka, ale przypomniał sobie że go zostawił w kajucie. Wreszcie blada jutrzeńka ozłociła brzeg horyzontu, kilka obłoczków przybrało barwę różową i, podobne do kuli złotej, słońce wyłoniło się z morza.

Żywe Srebro zbudził się, podniósł i spojrzał wokoło.

— Czy jesteśmy na lądzie?—spytał.

— Mamy grunt pod stopami, ale to jeszcze nie ziemia.

— A! mówiłem że prędzej czy później wylądujemy! Czy pan i teraz jeszcze utrzymujesz, że przypadki Robinsona nie były prawdziwymi?

— Nie, mój chłopcze; nie wpływa to jednak na złagodzenie smutnej rzeczywistości.

— Mamy przecież przed sobą wyspę, prawdziwą wyspę! Rosną na niej drzewa, zielenią się trawy... za chwilę będziemy na niej.

— A tymczasem sędzę, że odległość, jaka nas od niej dzieli, wynosi ze trzy kilometry.



Jesteśmy na ziemi.

— To też będziemy płynąć znowu, przy pomocy naszej poduszki.

Wystrzał armatni przerwał rozmowę. W tej-że chwili nasi rozbitkowie ujrzeli *Davisa*, wypływającego zwolna z pomiędzy skał, tworzących długi kanał. P. Pinson wznosił ręce, aby dać znać o swojej obecności na morzu, i znaki jego spostrzeżono, bo ujrzano osadę okrętu, gromadzącą się po stronie pokładu, po której się znajdował. Po upływie kwadransa jednakże *Davis* przepłynął obok rozbitków, nie zatrzymując się wcale.

— Jesteśmy skazani na zagładę — szepnął głucho inżynier, spoglądając ponuro w stronę oddalającego się okrętu.

— Na zagładę... gdy przed nami rozciąga się wyspa okryta najpiękniejszą zielonością? Nie myśl pan tak — zawołał żywo chłopiec. — Cóżby się powinno było stać z Robinsonem, który znalazł się na morzu podczas najokropniejszej burzy? A zresztą jeżeli *Davis* obszedł się z nami tak okropnie i nie po ludzku, to *Fulton*, który za nim z pewnością nadpłynie, zatrzyma się i wyratuje nas.

P. Pinson spuścił smutnie głowę.

W tej chwili, jakby dla potwierdzenia wiary chłopca, *Fulton* ukazał się z pomiędzy skał.

„Al — pomyślał Żywe Srebro — jeżeli istotnie kommodor poweźmie zamiar ratowania nas, to pozbawi nas także sposobności życia, jakie pędził Robinson.“

P. Pinson, widząc nadpływający statek, począł krzyczyć z całych sił, aby zwrócić uwagę kommodora i jego

oficerów. Dając znaki ciągle, pchał przed sobą poduszkę i starał się postępować w kierunku *Fultona*. Wkrótce głębia kazała mu się zatrzymać. Majtkowie *Fultona* spostrzegli tymczasem rozbitków, bo zgromadzili się na pokładzie, a głos rozkazujący kommodora dał się słyszeć.

— Siadaj na poduszce — rzekł p. Pinson; — musimy się zbliżyć ile można najbardziej do okrętu i znaleźć się na jego drodze; jeżeli nas porzucą nielitościwie, nasze usiłowania nie będą stracone, bo zbliżymy się także do wyspy, na którą musimy się dostać.

Żywe Srebro usiłował płynąć... ale przyszło mu to z niesłychaną trudnością. Mówił że czuje silny ból głowy. Rozbitkowie, posuwając się zwolna, znaleźli się znów na pełnym morzu. Ale ich zmęczone członki odmawiały im posłuszeństwa; ich wczorajsze z mordowanie, ich pobyt w wodzie, brak posiłku wreszcie osłabiły ich nadzwyczajnie. Żywe Srebro blady, drżący, nie mógł płynąć dalej i p. Pinson musiał go wsadzić na poduszkę, co było bardzo trudnym. Biedny chłopiec oddychał ciężko i mrucał jakieś niezrozumiałe słowa, co usłyszawszy, P. Pinson z przerażeniem domyślił się że musi mieć silną gorączkę.

Maszyna *Fultona* przestała nagle działać i steamer zwolnił swój bieg; z tyłu okrętu ukazała się łódź z sześcioma ludźmi i popłynęła w kierunku naszych rozbitków. W kwadrans potem p. Pinson i Żywe Srebro znaleźli się na pokładzie *Fultona*, który puścił się w dalszą drogę.

— Jestem szczęśliwy że pana widzę, tak, jestem bardzo szczęśliwy! — wołał kommodor, ściskając silnie rękę

kę inżyniera.—Od wczoraj mówiliśmy tu wiele o panu... i, co prawda, nie mieliśmy nadziei widzieć już pana.

— Co zresztą nie jest waszą winą, kommodorze, że jesteśmy jeszcze przy życiu — odparł p. Pinson z goryczą.

— Mój panie, służba wojenna ma wymagania okrutne, nieludzkie, to prawda, ale też życie jednego człowieka nie idzie w rachubę w pewnych okolicznościach i ci, którzy mnie otaczają, wiedzą o tym dobrze. Zatrzymując się, ażeby pana ratować, narażałbym setki ludzi na niebezpieczeństwo, ponieważ *Davis*, uwolniwszy się od mojego pościgu, rozpocząłby na nowo swoje rozboje. Ale jestem szczęśliwy niezmiernie, że mogę uścisnąć pańską rękę.

P. Pinson miał wiele do powiedzenia, lecz kilka wyrazów niezrozumiałych z ust Żywego Srebra nakazało mu czynić co innego. Ujął więc chłopca w objęcia i poniósł go do kajuty, gdzie go ułożył troskliwie w łóżku.

W ciągu następnych dwóch dni choroba rozwinęła się silnie. Dziecię prawilo nieprzytomnie o Robinsonie, o Piątku, powtarzało jakieś niezrozumiałe zdania, a lekarz okrętowy oświadczył, że to zapalenie mózgu, na szczęście niegroźne. P. Pinson nie opuszczał odtąd na chwilę swojego towarzysza, a nawet, pomimo przedstawień kommodora, prosił aby mu przynoszono posiłek do kajuty.

— Ten chłopiec ocalił mi życie — powtarzał — i strzedz go w niebezpieczeństwie jest moim obowiązkiem.

Przywiązanie wzajemne obu podróżnych zjednało im ogólną sympatyę u osady *Fultona*. To też gdy po pięciu dniach p. Pinson ukazał się na pokładzie, prowadząc chłopca, któremu osłabienie o własnej sile isé nie pozwalało, powitano ich radosnym wykrzykiem i serdecznemi uściskami ręki.

Tymczasem wiele rzeczy zmieniło się od tego czasu i p. Pinson wraz z chłopcem spoglądali zdziwieni wokoło. Okręt pról fale niezmierzonej przestrzeni morza. Po prawej stronie widać było w oddaleniu, jak przez mgłę, brzegi jakiegoś lądu, pokryte zabudowaniami i drzewami. W odległości jednego kilometra przed *Fultonem* płynął zwolna *Davis*, między niemi zaś jakiś wielki steamer, na maszcie którego powiewała bandera o barwach różowej i białej. Cokolwiek ztyłu płynął inny statek wojenny, o kolorach hiszpańskich.

— Co to znaczy?— spytał p. Pinson porucznika.— Co to za ląd?... Czyliż między Północą i Południem zawarto pokój, że *Fulton* płynie tak spokojnie, mając przed sobą *Davisa* na wystrzał armatni?

— Ten ląd — rzekł porucznik — to San Domingo; jesteśmy od półdoby na wodach cesarstwa Haiti. Okoliczność ta nie pozwala kommodorowi atakować *Davisa*, inaczej bowiem fregata hiszpańska mogłaby mu przyjsé z pomocą, wraz ze statkiem jego cesarskiej mości Suluka.

— Gdzież zdążamy?... do Port-au-Prince?

— Zdążamy do Hawany, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, gdzie *Davis*, tak jak i my, będzie musiał zabrać ładunek węgla.

Kommodor zbliżył się, ujął za rękę inżyniera, który oddał mu wzamian lekki uścisk dłoni.

— Gnięwasz się pan jeszcze— rzekł marynarz — widzę to dobrze, a jednak, choćbym był jaknajzyczliwszy dla pana, obowiązek musiałbym zawsze stawiać przed pańskiem bezpieczeństwem. Postąpiłbym tak samo, choćby w morze wpadł mój porucznik. Na wojnie, powtarzam raz jeszcze, życie jednego człowieka jest drobnostką i poświęca się je, gdy chodzi o bezpieczeństwo ludzi tysiąca.

— Ja to zbłądziłem, żem się znalazł na drodze którą sobie wybrała kula armatnia — odrzekł z uśmiechem p. Pinson.— Cobądź się stało, jestem na pokładzie, na który raczyłeś mnie pan zabrać, i dziękuję za to serdecznie, w imieniu własném i mojego chłopca.

— I cóż?... urwis ma się lepiej?

— I prawi już o przechadzce, ale dyeta osłabiła go tak bardzo, że się na nogach utrzymać nie może.

Po rozmowie téj zgoda z kommodorem powróciła P. Pinson zeszedł do kajuty.

— Czy ląd, który widać, należy także do Ameryki? — spytał chłopiec.— Zdawało mi się, że widziałem palmy.

— Nie omyliłeś się: mamy przed sobą San Domingo, wyspę odkrytą w r. 1492 przez Krzysztofa Kolumba, który jęj dał nazwę Hispanidy. San Domingo nazywała się także wyspą Haiti, a imię to nadali jęj Karaibowie, lud który ją zamieszkiwał w chwili odkrycia. Haiti znaczy kraj górzysty.

— Czy ona jest rozległa?

— Ma 600 kilometrów długości i 200 szerokości. Dzieli się na dwie części, jedną obejmuje rzecz pospolita San Domingo, drugą zaś cesarstwo Haiti. Wyspa ta, niegdyś kwitnąca kolonia francuzka, w r. 1791 podniosła oręż przeciwko zwierzchniczéj Francyi, a Negrowie zamieszkujący ją wymordowali białych. Od tego czasu ona jest niepodległą. Wydaje ona trzcinę cukrową, kawę, kokosy, a w lasach jéj znajdują się małpy i papugi.

Ostatnia ta wiadomość najbardziej zainteresowała Żywe Srebro, który pragnął gorąco, aby *Davis* zatrzymał się u stolicy wyspy, miasta Port-au-Prince, coby mu pozwoliło zwiędzić tę cudowną w jego przekonaniu krainę. Jeszcze we dwie godziny potém głową chłopca roila się myślami o... małpach i papugach, bo wyrzawszy oknem kajuty, zapytał znowu:

— Więc ta wyspa San Domingo nie należy już do Francyi?

— Nie, moje dziecię, Francuzi zrzekli się praw do niej, ale ziemia, którą widzisz teraz, nie jest już wyspą San Domingo; to jéj sąsiadka, Kuba, albo inaczej Hawana.

— Czy to ta, z której do Europy sprowadzają słynne cygara?

— Ta sama. Wyspa Kuba, którą poetycznie zowią także *Perłą Antylli*, jest największą z wysp, zwanych przez geografów *Wielkimi Antyllami*. Wielkie Antylle są: Kuba, Haiti, Jamajka, Porto-Rico; Małe: Święty Tomasz, Święty Jan, Święty Bartłomiej, Święty

Eustachy, wyspa Dominika, Martinika, Tabago, Św. Trójcy, Curaçao i t. d. Kuba, czyli Hawana, obejmuje 1150 kilometrów długości i 70 szerokości. Wydaje także kawę, kakao, ryż, tytoń, a posiada i kopalnie złota i miedzi.

Żywe Srebro znów dumał o tém, jakby to było szczęśliwie, gdyby *Davis* przybił do brzegów Hawany. Uzbrojony perspektywą, chłopiec wydawał okrzyki radości, ile razy spostrzegł na brzegu wyspy jakie domostwo, lub jéj mieszkańców. Ptak zabłąkany z lądu usiadł na przednim maszcie *Fultona* i dał się schwytać majtkom. Przyniesiono go chłopcu. Był to śliczny wróbel o skrzydłach lazurowych, co zachwył Żywego Srebra względem czarującej Hawany podniosło do potęgi.

Podczas trzech dni następnych cztery statki płynęły wciąż obok siebie, aż spostrzeżono wreszcie twierdzą Mor, końcowy punkt Hawany. Tu bryk haitycki pożegnał wywieszeniem bandery swoich dotychczasowych towarzyszków i skierował się ku brzegowi. *Fulton* i *Davis*, pędzone wiatrem, zbliżyły się ku sobie. Kommodor z całej duszy zasypałby w téj chwili gradem kul korsarza, gdyby miał pewność że okręt hiszpański nie wmiesza się do walki. I brak węgla, utrudniający niezbędne manewra wracie starcia, nakazał zaniechać natychmiastowej zaczepki.

Okolo godziny trzeciej po południu, *Davis* skręcił wprost do kanału, łączącego morze z przystanią, którą można było widziéć w całej jéj okazałości. P. Pinson, spodziewając się wylądowania, pobiegł

do kajuty po swój tłumoczek, złożony z kilku sztuk bielizny, i wyszedł z chłopcem na pokład, aby być gotowym w daną chwilę. Tu zawiązał rozmowę z jednym z oficerów, który znał wybornie port hawański, i wiedział się, jakim sposobem najłatwiej i najdogodniej dostać się ztąd do Europy. Z wielkim zadowoleniem dowiedział się, że z portu tutejszego odplywa peryodycznie statek do Kadyksu, a inny utrzymuje stałą komunikację z Anglią. Byle tylko raz znaleźć się we Francyi, p. Pinson gotów był wsiąść na pierwszy lepszy okręt, jaki się nawinie.

Podczas tej rozmowy, kommodor naradzał się żywo z oficerami; wodził swą perspektywę po widnokręgu, na którym dawało się widzieć ze dwadzieścia statków, z których jedne zbliżały się do portu, inne zaś wychodziły. Twierdza Mor była tak blisko, że Żywe Srebro gołemi oczyma mógł wybornie dojrzyć placówki, przechadzające się po wałach. Przyglądał się im ciekawie, gdy naraz... z komina *Fultona* buchnął dym, śruba okrętowa zaczęła się obracać i okręt z szybkością popłynął w kierunku przeciwnym przystani.

— Odjeżdżamy! — zawołał chłopiec.

Inżynier, widząc co się dzieje, padł na ławkę niemy i osłupiały.

XVII.

WYBIEG WOJENNY.

Przez dziesięć minut p. Pinson pozostał bez ruchu, z tłumoczkiem u nóg, w stanie zupełnego zniechęcenia.

— Otóż — szepnął wreszcie — dzięki kochanemu Boisjoli, zamieniłem się w Żyda wiecznego tułacza!

Podniósł się wreszcie i spojrzał na chłopca, który stał u jego boku.

— Gdzie płyniemy? — spytał — do Europy? do Stanów Zjednoczonych? do Chin? Gdzie? dokąd?

— Nie wiem, panie — odrzekł Żywe Srebro, również zniechęcony.

— Cóż to za mina, kochany inżynierze! — zapytał kommodor, który podszedł w tej chwili, zaciągając dłonie.

— Czyż mi pan nie mówiłeś, że zapasy węgla na statku wyczerpują się i że musimy koniecznie wylądować na Hawanie, że *Fulton*...

— No, no... — przerwał mu kommodor — troszkę cierpliwości! Moje obietnice ziszczą się... bądź pan pewny.

— Czy mogę zapytać, dokąd zdążamy?

— Płyniemy na spotkanie tych pięciu statków, które widać na morzu.

— W jakim celu? Czy to są także rozbójnicy?

— Nie; to są statki naładowane węglem z Newcastle.

— Czy pan mnie przesadzisz na pokład którego z nich?

— Może się stać, jak pan zechcesz, ale, szanowny inżynierze, zaręczam ci że przed upływem czterdziestu ośmiu godzin *Fulton* zarzuci kotwicę w porcie Hawany.

— Dziwi mnie tylko — zauważył p. Pinson — że *Fulton*, który wczoraj jeszcze wyczerpywał zapas węgla, w tej chwili płynie z szybkością całej pary.

— Zużywamy resztkę opału, kochany panie! Żeby pana jednak uspokoić, wyjaśnię mój plan. Trzeba wiedzieć że do portu Hawany dostać się nie jest rzeczą łatwą. Rząd hiszpański jest tajemniczy i podejrzliwy; zdaje mu się ciągle, że go chcą pozbawić jego pięknej wyspy i dlatego przestrzega najskrupulatniej przepisów morskich.

— A! znowu przepisy morskie!...—powtórzył ironicznie p. Pinson. — Jakto, czy i tu sprzeciwiają się one memu wylądowaniu?

— Pozwól-że mi pan mówić... Otóż okręt, który zawinął do portu Hawany, nie może wyjść z niego, jak tylko między godziną szóstą zrana i szóstą wieczorem. Tymczasem inne prawo nie pozwala *Davisowi* pozostawać w porcie dłużej nad czas, ściśle potrzebny do zaopatrzenia się w konieczne zapasy. Otóż w chwili, w której *Fulton* zaopatrywałby się w węgiel w porcie, *Davis*, korzystając z jego bezwładności, mógłby podnieść kotwicę i czmychnąć. Nie, na taki wybieg złapać się nie chcę! Nie wpłynę przeto do portu bez zapasu węgla, bo inaczej musiałbym być bezczynnym w obec ruchów nieprzyjaciela.

Wyjaśnienie to pocieszyło nieco p. Pinson, témbardziej że kommodor zaręczył mu, iż natychmiast po

zaopatrzeniu się w węgiel *Fulton* wpłynie do portu, aby mu dogodniej było śledzić zamiary korsarza. Podczas rozmowy powyższej steamer zbliżył się do statków węglarskich, które natychmiast wywiesiły banderę angielską. Zaraz też kommodor przez swą tubę oświadczył najbliższemu z nich, aby zwinął żagle i zatrzymał się

— Czego chcecie?—zapytał kapitan angielski opryskliwie.

— Abyś nam pan odstąpił swój węgiel — odrzekł kommodor.

— To jest niepodobieństwem; nie mam prawa odstępować ładunku.

— Zwinicie żagle — krzyknął komendant *Fultona* rozkazująco—albo wam je strzaskamy w ciągu dziesięciu minut!

— Anglia i Stany Zjednoczone są na stopie pokoju—odrzekł dalej kapitan.

— To też sprawa odbędzie się w przyjaznej formie: wy oddacie nam swój węgiel, a my za niego natychmiast zapłacimy!

Kapitan węglarki spojrział badawczo wokoło, w nadziei że spostrzeże jaki okręt wojenny swego kraju, któryby mu przyszedł z pomocą. Niestety... ani jedna angielska fregata nie ukazała się na widnokręgu i trzeba było być posłusznym. Oba statki zbliżyły się ku sobie i osada *Fultona* zabrała się gorliwie do przeładowania węgla — czynność która nie kończy się przed upływem dwudziestu czterech godzin.

P. Pinson, powziąwszy nagłą myśl, pociągnął chłopca ku okrętowi węglarskiemu i zwrócił się do jego ka-

pitana. Ale ten był w najgorszym humorze, bo przymusowe zwinięcie żagli pokrzyżowało jego plany i było dlań ubliżeniem. Inżynier, przypuszczając że okręt ten uda się niezawodnie z powrotem do Anglii, chciał wsiąść na jego pokład, ale i tu stanęły mu na przeszkodzie przepisy morskie; zresztą statek musiał płynąć do Suzalu w Yukatanie, aby tam naładować się znowu. P. Pinson z głową spuszczoną powrócił na *Fultona* i z utęsknieniem spoglądał na leżącą przed jego oczyma ziemię.

Około wieczora, *Fulton*, ciągnąc za sobą statek węglarski, zbliżył się bardziej jeszcze ku lądowi. Marynarze pracowali przez całą noc bez odpoczynku. Przed wschodem słońca, po całonocnej bezsenności, którą spowodował ustawiczny łoskot sypanych na pokład węgla, pan Pinson wyszedł z Żywym Srebrem na pokład. Ogromne, ale blade słońce podniosło się z morza. Ukazała się ziemia okryta zielenią i upstrzona białymi domostwami. Wierzchołki wzgórz rysowały się czarną masą na przestrzeni nieba, a z nich widniały sylwetki olbrzymich palm i cedrów.

— Otóż i piloty! — zawołał jeden z majtków. — Rekiny muszą być niedaleko.

Usłyszawszy nazwę „rekiny“, Żywe Srebro zbliżył się, zatapiając wzrok w falach w których dojrzyć było można pięć ryb o ciele grubym, w czarne pręgi. Ryby te zwolna płynęły u boku *Fultona*; były to piloty, które, jak chłopcu objaśnili majtkowie, służą za przewodników rekinom.



Zwińcie żagle!

Wyjaśnienie to wydało się Żywemu Srebru podejrzanem, pobięł więc natychmiast do p. Pinson.

— Czy to prawda—zapytał—że rekiny są prawie ślepe i że ryby zwane pilotami służą im za... wyżyły do polowania?

— Tak sobie wyobrażają marynarze. Ryby zwane pilotami, a w języku naturalistów *remora*, z uczty rekinów chwytają resztki i proste żarłocstwo każe im towarzyszyć tym rozbójnikom wodnym.

— Czy rekin jest także zwierzęciem ssącym?

— Nie; jest on rybą, to znaczy że oddycha zapomocą skrzelii. Jest to najżarłoczniejsze ze stworzeń, żyjących w morzu.

Wkrótce pięć lub sześć rekinów ukazało się wzdłuż pokładu, co wywołało wielki ruch między osadą *Fultona*. Majtkowie nienawidzą z całej duszy tych zbójcekich ryb, które są gotowe pożreć ich przy lada sposobności. Rekiny, otoczone pilotami, krążyły wciąż na około obu statków, jakby na straży... Komodor pozwolił na upolowanie jednego z nich i spuszczone natychmiast łódź na wodę; stary jeden marynarz, uzbrojony w pocisk z hakiem na końcu i liną długą, stanął na przodzie łodzi.

Polowanie na rekina jest niezmiernie niebezpieczne; to też wszyscy ludzie osady, prócz tych którzy zajęci byli ładowaniem węgla, zgromadzili się przy parapiecie steamera, aby śledzić każdy ruch łodzi. P. Pinson i Żywe Srebro stanęli na przodzie statku, zkad mogli wszystko widzieć lepiej.

Łódź oddaliła się na kilka metrów i rzucono z niej w wodę kawał mięsa. Rekiny rzuciły się na tę zdobycz ponętą z niesłychaną szybkością, co dowiodło że mają wyborne oczy. Najzwinniejszy z nich pochwyił przynętę i połknął ją natychmiast. W tej chwili Żywe Srebro mógł zauważyć w jego otwartej paszczy szeregi wielkich zębów, których kształt przypominał zęby zwierzęce.

Przynęcone rekiny krążyły teraz tuż obok łodzi. Marynarz z harpuną w ręku oczekiwał chwili, w której będzie mógł zadać cios. Chwila ta nadeszła, gdy jedna z ryb zbliżyła się do łodzi tak bardzo, iż jej prawie dotykała. Wówczas harpuna, rzucona silną i pewną ręką, zagłębiła się w boku potwora, który rzucił się do ucieczki, znacząc drogę swą czerwonym pasem krwi. Ale ucieczka była niemożliwą; lina krępowała rybę i utrudniała jej ruchy. Trzeba jednak było linę tę odwijać z wału, na którym ją zwinięto, bo szamotania się rekina mogły były łódź pograć w otchłani morza i jej osadę oddać na pastwę potworom. W półgodziny później szalupa zbliżyła się do okrętu, ciągnąc za sobą rekina, którego drgania śmiertelne nie dawały jeszcze pewności, że nie powróci do sił.

Inne potwory, wcale nieprzestraszone tém co się stało, krążyły wciąż około statku. Rekin upolowany miał około 9 metrów długości. Majtkowie chcieli koniecznie zedrzeć zeń skórę, przydatną do wielu użytków, ale kommodor wydał rozkaz powrotu i łup zostawiono falom oceanu.

Około godziny czwartej po południu ładowanie węgla ukończono i statek angielski odzyskał swobodę; nie salutując tym razem *Fultona*, puścił się natychmiast do Suzalu. Kommodor rozkazał bezzwłocznie zabrać się do wymycia *Fultona*, aby być w porządku zupełnym przed wejściem do portu. Około godziny szóstej zbliżono się do portu Mor, gdy wystrzał działowy z twierdzy oznajmił, że port już na dzisiaj zamknięto.

Przeciwność ta nie zmartwiła bardzo p. Pinson, bo go kommodor uprzedził, że trafić się może. *Fulton* zbliżył się tymczasem jak najbardziej do kanału i począł krążyć, co było koniecznym z powodu wiatru, który mu na kotwicy stać nie pozwalał. Nazajutrz, skoro tylko słońce zablęysło, zwrócono się przodem ku lądowi.

Około godziny szóstej dwa nieznane statki wypłynęły z portu. Postępowały one zdala od *Fultona*, którego jednak pozdrowiły wywieszeniem bandery. Jeden z nich, o korpusie pomalowanym na białe, miał flagę hiszpańską.

— Gdyby nie barwa bandery i biały kadłub tego okrętu,—rzekł kommodor—z jego objętości i wysokości masztów sądziłbym, że to *Davis*.

Statek ten przepłynął obok *Fultona*, bynajmniej się nie spiesząc.

— Co pan widzisz na pokładzie tego steamera?—zapytał komendant swego porucznika.

— Majtków w uniformie hiszpańskim — brzmiała odpowiedź.

Statek, o którym mowa, pożegnał *Fultona* dwukrotnym opuszczeniem flagi, a na pokładzie jego dał się

słyszec pobudka do marszu, wykonana na bębnie. *Fulton* odpowiedział na tę grzeczność ze swojej strony i płynął dalej ku portowi.

P. Pinson, z tłomoczkiem w ręku, uczuwał coraz wyższą radość wmiarę tego, jak się coraz szybciej zbliżano ku lądowi.

— Przeznaczenie chce, mój chłopcze — rzekł do Żywego Srebra — abyśmy widzieli Hawanę. Nie potrzebujemy się na to uskarżać. Kupimy sobie wybornych cygar; mam we Francyi przyjaciół, którym sprawią one wielką przyjemność. Co się tyczy przyjaciół, wyobrazam sobie zadziwienie kochanego Boisjoli, gdy odbierze list, wysłany przezemnie z wyspy Kuby. Nie będzie chciał wierzyć opisowi naszych przypadków! Zwiedzimy, mój chłopcze, miasto zbudowane przez Diego Velasqueza, a następnie grób kolumba, który, prześladowany przez Hiszpan, udał się na wyspę przez się odkrytą, aby tu spokojnie umrzeć. No! jesteśmy narazie na kanale! Vivat!!

Fulton rzeczywiście przepłynął już szerokość twierdzy i przystań ukazała się oczom podróżnych w całej swojej rozciągłości. Steamer musiał się zatrzymać na chwilę, aby odpowiedzieć na zapytania dozorczy portu o jego narodowość, cel podróży i przeznaczenie. Podczas tej indagacyi do *Fultona* zbliżyła się szalupa.

— Czy nie szukacie czasem *Davisa*? — spytał sternik tej łodzi.

— Tak — odrzekł komodor. — Zawiedźcie nas do miejsca, gdzie się on znajduje.

— Nie ma go tu... Puścił się na morze dziś rano.

— Bo?! — krzyknął komendant, który, zdawało się, że na tę wiadomość skoczy w morze.

— *Davis* pomalował swój kadłub na biało, kupił stare uniformy hiszpańskie i wyszedł z portu o godzinie szóstej zrana.

Kommodor zaklął, na czém świat stoi, cisnął swą tubę o balustradę z taką siłą, że się rozleciała na drobne kawalki, i zawołał piorunującym głosem na sternika:

— Zawracać!

Fulton natychmiast episał wielki łuk i puścił się w kierunku pełnego morza.

— Wstrzymajcie się! — wołał p. Pinson, widząc co się dzieje. — Wstrzymajcie się choć chwilę!... Skoczę tylko do tej szalupy!...

Ale szalupa oddaliła się, a *Fulton*, ukończywszy zwrot, popędził całą siłą pary, zapominając nawet pożegnać twierdzy Mor wywieszeniem bandery.

XVIII.

ZATOKA MEKSYKAŃSKA.

Tym razem p. Pinson nie uskarżał się, nie wyrzekał; poszedł na przedni pokład statku, złożył tłomoczek na ławce i rozpoczął przechadzkę wzdłuż i wszerz,

gryziony, ponury, nie zważając na to, co się dzieje naokoło. Czasem tylko, gdy w przechadzce swojej znalazł się po stronie zwróconej ku lądowi, zatrzymywał się na chwilę i przyglądał się nieurodzajnym, nagim skałom, które okrażają przystań Hawany, lub czarnym konturom ziemi na lazurówym tle nieba. To znów przystawał, aby rozejrzeć się po morzu, którego niebieskawe wody łączyły się wdali z horyzontem.

Goelandy krążyły za śladami *Fultona*... P. Pinson, na ich widok, powtarzał słowa poety:

„Gdybym miał skrzydła...”

I Żywe Srebro nie był zadowolony; nie odzywał się wcale. I on przyglądał się niknącej wdali ziemi, ale z goryczą, iż los fatalny usuwa mu ciągle z pod oczu rozkoszne lasy, w których bujają swobodnie małpy, papugi i tygrysy. A teraz nawet czyż dowiędzie się od kogo, co się dzieje w tych rozkosznych gajach, które widać z daleka? P. Pinson zły, zdawał mu się być najmniej zdolny do udzielania objaśnień, a oficerowie byli zanadto zatrudnieni, aby mogli cierpliwie wysłuchać tysiąca zapytań.

Zwolna brzegi lądu znikły i przyoblekały się w barwę niebieskawą, oko rozróżnić mogło zaledwie masy czarne, białe lub zielone; później wszystko powlokło się szarym odcieniem i uwaga chłopca zajęta była wyłącznie *Davisem*.

Statek korsarski ze swoim białym kadłubem zdawał się ślizgać po falach, w oddaleniu ósmiu kilometrów od *Fultona*. Kommodor, stojąc na mostku, wydawał bez ustanku rozkazy głównemu maszyniście, aby zwię-

kszyć parę i nadać srubie najwyższą szybkość obrotu. Nagle spostrzeżono że *Davis* nakręśla łuk i kieruje się ku południowi. *Fulton*, zwróciwszy się także, płynął równoległe od korsarza.

— Jeżeli ten zbójca nie łudzi nas znowu—rzekł kommodor do porucznika—to ma zamiar ciągnąć nas za sobą do Europy. Każ pan pozamykać klapy; lepiej skakać, aniżeli uleźć takiej obeldze.

Wciągu godziny oba steamery płynęły równoległe. Kommodor, otoczony przez oficerów, przyglądał się gonitwie z zachwytem, sprawdzając co chwila położenie obu okrętów. Czarne kłęby dymu buchały z komina *Davisa*, co dowodziło że korsarz płynie z największym wysiłkiem. Ziemia znikła już oddawna, gdy p. Pinson zamyslił przerwać swą przechadzkę, aby przyglądać się szybkości, z jaką pędziły statki. W głębi duszy inżynier czuł pewne zadowolenie na myśl, że zbójcecki *Davis* może zaciągnąć *Fultona* do Europy.

Stało się wkrótce widocznym, że *Davis* stracił wiele ze swęj przewagi w szybkości i na pokładzie wojennego statku zagrział okrzyk tryumfu. Ale i *Fulton* nie mógł długo płynąć z takim pędem, bo, pomimo ciągłego lania oliwy na panwie maszyny, zaczęły się one rychło rozgrzewać. Była chwila w której *Davis* zdawał się gotowym do przyjęcia stanowczej walki. Doprowadziłaby go ona do niechybnej zagłady, to też statek ten, który się zatrzymał na chwilę i odsłonił bok, aby *Fultona* przywitać gradem kul, teraz puścił się znowu szybko w drogę, ale już w kierunku zachodnim. Zagłębił się w zatokę Meksykańską, ów gorący kocioł

wody, w którym fale oceanu ogrzewają się i wielkim prądem, zwanym *Gulfstream*, odpływają na wschód, ku brzegom Europy.

— Dzielny żeglarz, znakomity marynarz!—powtarzał radośnie kommodor, uderzając nogą o pokład.—Co pan na to, p. Pinson?

— Dziwię się taktyce *Davisa*; na jego miejscu kapitan francuzki już byłby dawno przyjął bitwę.

— I zginąłby!...—odrzekł kommodor. Przewaga jest po naszej stronie. To właśnie wielki błąd ze strony pańskich współziomków, że nigdy nie liczą swych nieprzyjaciół. Prawda że czasami gwałtowne, choć nieobrachowane ciosy przynoszą skutek pomyślny; ale co pan sądzisz o tej partyi szachów, w której posuwa się figury z obmyśleniem i stosownie do okoliczności, cofa je się znowu? Taki *Davis*, z kapitanem, który jest mistrzem w rzemiośle marynarza, może być diabelnie niebezpieczny dla naszych statków handlowych.

— Pan zdajesz się być zadowolony, kommodorze.

— Jestem nim, do pioruna! Tém bardziej teraz, gdy *Davis* zdaje się pędzić w samolówkę!

— Jesteśmy obecnie w zatoce Meksykańskiej?

— Tak.

— A gdzie dążymy?

— Do Suzalu, do Kampedży, do Vera Cruz, do Tampico... wszędzie, gdzie się podoba naszemu wrogowi.

P. Pinson nie odrzekł ani słowa i nanowo rozpoczął swoją przechadzkę.

„Miałem jechać do Calais, a pojechałem do Liwerpoolu; miałem potem zawinąć do Nowego-Yorku—my-

ślał—a tymczasem popłynąłem do wysp Kanaryjskich, aby ztamtąd pędzić do Przylądka Zielonego, do wysp Dziewiczych... Antylle, których nie miałem zamiaru widzieć nigdy, zawiodły mnie do Meksyku, gdzie mi mówią, że mogę wylądować w Chinach, w Labradorze, na wyspach Sandwich lub Madagaskarze. I to wszystko dlatego, że mojemu przyjacielowi podobało się...

— Proszę pana—odezwał się słodko Żywe Srebro.

— Czego chcesz?

— Spytać, co to jest zatoka Meksykańska.

— Zatoka Meksykańska, mój chłopcze, jest wielkiem morzem wewnętrznym, które otacza z południa Yucatan, z północy Floryda, z zachodu zaś prowincje meksykańskie Tabasco i Vera Cruz. Łączy się z oceanem Atlantyckim przez kanał Bahama, który przebyliśmy aby się tu znaleźć, kanał którego wody obmywają wyspy Lukajskie.

Żywe Srebro począł się rozpatrywać w mapie, na której ujrział tylko, co wspomniane wyspy, otoczone ławicami piasku, niebezpiecznymi dla żeglarzy. W godzinie obiadowej kommodor, uszczęśliwiony że mu się udało odciąć drogę ucieczki *Davisowi*, kazał podać kilka butelek szampana; wyborny ten napój ojczystego kraju rozchmurzył p. Pinson, któremu przytem oficerowie zaręczali, że korsarz nie może już płynąć daleko, skoro *Fulton* mógłby go doścignąć, a droga jego zamknięta.

Dwa dni następne przepędzono w ciągłym pościgu; panowało nieznośne gorąco, a miesiąc kwiecień, w jakim się znajdowano, jest tu pod względem upałów najdokuczliwszy. Żywe Srebro wiedział, że kraj którego ład

zadługo ujrzy, posiada lasy pełne małp, tygrysów i papug, i sawany, po których upędzają się bawoły i dzikie konie. Miał już teraz tylko jedno pragnienie: ujrzyć tę cudowną krainę i wylądować na jej brzegach. To też gdy usłyszał że *Davis* musi się bezwarunkowo zatrzymać w przystani *Kampedży* lub *Tampicoc*, pobiegł natychmiast pod wielką łódź, aby tam w ukryciu wykonać ulubione *salto mortale*. Była w tém wszystkiém jedna tylko wątpliwość: oto korsarz mógł okrążyć jaką wyspę i puścić się znowu ku Europie. Myśląc o niéj, *Żywe Srebro*, trapiiony smutnemi przewidywaniami, usiadł na pokładzie przednim i melancholicznie zatopił wzrok w otchłani morza, jaką rozwiérały potężne obroty śruby okrętowej.

Pewnego ranka, chłopiec, uprzedziwszy pana *Pinson* w wyjściu na pokład, ujrzał w powietrzu jakiegoś ptaka, który nagle pograżył się w fali. *Żywe Srebro* szeroko roztworzył oczy, nie chcąc im wierzyć i sądząc że jest ofiarą złudzenia; ale najniespodziewaniej ujrzał ryby, które, wypłynąwszy z fali, wzleciały na skrzydłach w powietrze, aby znowu zagłębić się w morzu.

— Czy ja snię?—zapytał sam siebie.—Czy jesteśmy wistocie w zaczarowanej krainie, o której tak często prawią marynarze?

Pobiegł do pana *Pinson*, który ze swojej strony badał morze i położenie *Davisa*.

— Co to jest?—zapytał go *Żywe Srebro*.—Co znaczy, że te ryby latają po powietrzu, a ptaki pływają w morzu?

— To są ryby latające.

— Ryby latające?—powtórzył zdumiony chłopiec.

— Tak.

Uciekając przed doradą, która ją ścigała, ryba takie rzuciwszy się do lotu, wpadła między sznury i liny *Fultona*; *Żywe Srebro* podbiegł, aby ją ująć. Podziwiał bardzo długie skrzela ryby i srebrną łuskę stworzenia, które miało około trzydziestu centymetrów długości. Mówiono o tém że wartoby je ugotować, ale chłopiec rzucił tę rybę latającą do morza.

Około wieczora zwołano radę wojenną; z zachowania się *Davisa* trudno było wnosić, aby się lękał niebezpieczeństwa. Gdy noc nadeszła, oficerowie obliczyli położenie geograficzne w drobnostkowym rachunku i wypadło że zbliżano się do łańcucha skał, zwanych *Skorpionami*. Zdwojono czaty i rzucono na *Davisa* snop elektrycznego światła.

O północy spostrzeżono że odległość między *Fultonem* a *Davisem* zmniejsza się; korsarz zwalniał swój bieg. Kommodor wydał rozkaz oczekiwania przy działach z żarzącemi lontami i dania ognia natychmiast, skoro *Davis* zwróci się na lewo. Snop światła, rzucony przed okręt korsarza, ukazał czarne maszty, o które pieniało się morze.

— Baczność i wstrzymać parę!—krzyknął kommodor.

Na statku zapanowało uroczyste milczenie. Więc *Davis* chciał wpędzić nieprzyjaciela na skały!... Ale chwila zatrzymania się w wybiegu tym mogła korsarza kosztować bardzo drogo. Walka zdawała się zbliżać, gdy z wielkiém zdziwieniem p. *Pinson* kommodor kazał stanąć.

Davis okrążył skały; gdyby nie przezorność komen-

danta *Fultona*, byłby, korzystając z tego, że i on je musi okrążyć, korsarz wymknął się i popędził w kierunku Europy; ale *Fulton* przeciął mu drogę i zmusił do odwrotu; *Davis* zwrócił się więc i popędził dalej.

— Teraz go mamy! — zawołał kommodor. Przed upływem czterdziestu ośmiu godzin przyprę tego rozbójnika do brzegów meksykańskich; tam go zmiżdżę, a tłumaczenie się z walki przed prezydentem meksykańskim nie będzie rzeczą trudną.

Nazajutrz, o wschodzie słońca, czaty oznajmiły ukazanie się szczytu *Orizany*, widocznej na morzu z odległości trzydziestu mil. *Żywe Srebro*, uradowany tą wiadomością, pobiegł do kajuty po tłumoczek p. *Pinson*, aby na wszelki wypadek być w pogotowiu. O godzinie dziesiątej wieczorem przepływano wprost fortecy *S. Jean* z *Ulloa*, wziętej w r. 1835 przez Francuzów. Ostatni z portów tej twierdzy zbudowany jest na niezmierniej płaszczyźnie piaszczystej, w pośród której wznosi się, z domami przypominającymi domy wschodnie *Vera Cruz*.

P. Pinson przyglądał się temu widokowi z obojętnością, która zadziwiła młodzieńckiego jego towarzysza.

— Czy my tu nie wylądujemy? — spytał.

— Wylądujemy? Czy tak sądzisz? Albożesmy nie mieli wylądować w *Queenstown*, w *S. Thomas*, w *S. Domingo*, w *Hawanie*? Wylądujemy tu zapewne tak samo, jak tam. Jesteśmy już na końcu zatoki Meksykańskiej, ale jeszcze nie na końcu świata.

Davis przyjął wkrótce pilota i stanął pod ochroną dział twierdzy. Kommodor, idąc wciąż jego drogą, zbliżył się z kolei do fortecy i przepłynął przystań *Vera*



Przesłali okrzyk ostatniego pożegnania.

Cruz. Tu stanął w odległości stu metrów od *Davisa* i zapuścił kotwicę.

Noc była piękna, jasna; księżyc rzucał promienie na wody potężnej przystani.

— Czy pan chcesz wylądować?—spytał kommodor pana Pinson.

— Czy ja chcę?—zawołał inżynier.

— Łódź do morza!—rozkazał krótko komendant *Fultona*.

Gdy p. Pinson usłyszał te słowa, gdy mu powiedziano że w łodzi oczekują go, doznał dziwnego wzruszenia. Łzy popłynęły mu z oczów. Zwrócił się wówczas z gorącymi podziękowaniami do osady *Fultona*, która go otoczyła, ścisłał dłonie kommodora i oficerów, dał im swój adres w Paryżu i życzył z całej duszy powodzenia.

— Gdy *Davis* odpłynie ztąd—rzekł kommodor—puścimy się za nim w odległości trzystu metrów; sprawa rychło się zakończy. I cóż, panie Pinson, czy pan, byś nie został dłużej naszym gościem?

— Nie—odrzekł inżynier.—W walce waszej z *Davisem* pierwsza lepsza kula mogłaby zakończyć moje mimowolną wędrówkę. Gdybym był Amerykaninem interesowanym w waszej gonitwie, przyjąłbym dłuższą gościnność na pokładzie *Fultona*... ale ja jestem Paryżaninem i dlatego wolę wrócić jaknajprędzej do Francji. Do widzenia, kommodorze i stokrotne dzięki!

W kwadrans później p. Pinson i Żywe Srebro, który już był w obawie, aby inżynier nie chciał przystać na propozycją kommodora, wylądowali na tamie nad-

brzeźnej. Łódź *Fultona* natychmiast odplynęła z powrotem. Dzięki pogodnej i jasnej nocy, nasi podróżni ścigali ją oczyma, dopóki nie złączyła się z okrętem. Pożegnali raz jeszcze głośnym okrzykiem przyjaciół i skierowali kroki swoje ku potężnej bramie, stojącej na krańcu tamy.

XIX.

VERA CRUZ.

P. Pinson i jego towarzysz zdziwili się niezmiernie, doznawszy dziwnego wrażenia, jakoby ziemia za każdym krokiem kolysała się pod nimi, niby pokład okrętu. To złudne uczucie opanowywa na kilka dni każdego, kto wylądował po długiej podróży morskiej; jest to zjawisko wybornie znane marynarzom. Ale nasi podróżni, nie wiedząc o tém, z przestachem przypuszczali, że to istotnie ziemia faluje pod naciskiem wody oceanu. Wreszcie, idąc krokiem niepewnym i kolysząc się w celu utrzymania równowagi, stanęli u wielkiej bramy, wystawionej w kształcie łuku tryumfalnego, która była granicą między przystanią a miastem.

Po obejrzeniu wielkich wrót i dwóch pomniejszych wejść bocznych, nasi podróżni przekonali się, że wszystko było szczelnie zamknięte i że niema tu ani dzwon-

ka, ani młotka. P. Pinson uderzył przeto kilka razy nogą.

— *Quien vive!?*—odezwał się głos jakiś.

Ani p. Pinson, ani Żywe Srebro nie zrozumieli tego zapytania; odpowiedzieli wezwaniem:

— Otwórzcie!

— *A lo largo!*—odrzekł głos.

Zapanowało potem milczenie, które p. Pinson zrazu uważał za przygotowanie do otwarcia bramy. Nie mogąc się go jednakże doczekać, inżynier zaczął sztukać nanowo.

Lufa karabina błysła promieniami księżyca i wysunął się bagnet, przyczém ozwał się znowu głos rozkazujący i opryskliwy. P. Pinson zrozumiał wybornie gest, choć nie pojął słów wyrzeczonych, z pośród których „*reglamentos maritimos*“ szczególnie odbiły się o jego uszy

— „*Reglamentos maritimos*“—powtórzył, zwracając się do chłopca.—I tu tedy prawią nam o przepisach, Jakto?... jeszcze więc spotykamy na swój drodze te przekłete brednie?

Bagnet skierował się w sposób tak groźny ku niemu, że inżynier uznał za stosowne odstąpić parę kroków.

— Czy widzisz oblicze tego który do nas przemawiał?...—zapytał chłopca.

— Nie; kryje się ono w cieniu, ale zdaje mi się że jest to murzyn, z parą błyszczących jak węgle oczu.

— Niech będzie nawet diabeł we własnej osobie, lecz musi nam otworzyć.

I p. Pinson gotów był znowu dobijać się do bramy, lecz Żywe Srebro pociągnął go za poję surduta.

Panie, nie drażnijmy się z tym czarnym, który nam grozi bagnetem.

— I owszem, mój chłopcze, drażnijmy go; jeśli nas zaaresztuje, to zaprowadzi nas do miejsca, gdzie przynajmniej nie przepędzimy nocy pod gołym niebem,

— Ten człowiek mówi językiem dla nas niezrozumiałym i nie zdołamy mu objaśnić swego położenia. Cóż uczynimy, jeśli nas zechce bić?

— Nas... bić?—wybuchnął p. Pinson, zaciskając pięście.— Czy sądzisz że nieraz ustępowałem kommodorowi dlatego że byłem jego gościem, to pozwoliłbym uderzyć komuś siebie lub ciebie? Obaczymy!

I p. Pinson postąpił naprzód, ale się wnet zatrzymał.

— Nie, masz słusność,— rzekł—nieszukajmy nowej awantury. Przepisy morskie, o ile zrozumiałem, zabraniają nam wejść do Vera Cruz, dopóki nas tam nie wprowadzą gwałtem... Tak się domyślam. Szanujmyż więc te wspaniałe przepisy i czekajmy dnia!

Północ nadeszła. Nasi podróżni usłyszeli jakieś głosy smętne, monotonne, które zdawały się śpiewać modlitwę. Głosy te odbijały się o mury, słabnąc i cichnąc, dopóki nie ucichły zupełnie w oddaleniu.

P. Pinson i Żywe Srebro usiedli na ławce kamienną. Tama na której ta ławka znajdowała się, szeroka była zaledwie na pięć lub sześć metrów i po obu jej stronach pienily się fale morskie. Przed ich oczami piętrzyły się masy zabudowań i wałów fortecznych; na

prawo i na lewo skały, o które rozbijały się fale, wydawały loskot głuchy, jednostajny, jakby dalekie uderzenia młota.

Gdy uderzyła godzina poranku, głosy poprzednio słyszane ozwały się znowu. Wyteżywszy słuch p. Pinson pochwycił wyrazy: *Santinelas alerta* i *Ave Maria*. Były to głosy stróży nocnych, którzy w Meksyku, jak niegdys w Europie w wiekach średnich, obwołują godziny nocne i wzywają mieszkańców do spoczynku.

Po setce zapytań o Meksyk, który w roku 1518 został zdobyty przez Ferdynanda Corteza na cesarzach Asteków. Montezumie i Suatimozinie, wybił się z pod władzy hiszpańskiej i od roku 1821 zamienił na rzeczpospolitą federacyjną (związkową), Żywe Srebro ukołysany monotonnymi odgłosami skał, usnął głęboko. P. Pinson usiłował czuwać, ale strudzenie przewyciężyło go: usnął także.

Dzień już był oddawna, gdy głos jakiś przebudził naszych podróżnych. Żywe Srebro otrząsnął się rychło ze snu i przytulił do p. Pinson. Sześciu mulatów, ubranych po żołniersku, z bosemi nogami, uzbrojonych w karabiny skalkowe i przybranych w szerokoskrzydłe kapelusze, stało przed nimi, zadając pytania w języku niezrozumiałym. P. Pinson w odpowiedzi rozpoczął opowiadanie o przebytych wypadkach, a że żołnierze nie a nie nie rozumieli, dali mu przeto znak, aby się udał za nimi. W drodze, obejrzawszy się na przystan p. Pinson spostrzegł, że nie było już tam *Davisa* ani *Fultona*...

P. Pinson z towarzyszem przekroczyli wreszcie próg

wielkiej bramy, weszli na odwach i znaleźli się w obecności jakiegoś młodego oficera. Inżynier rozpoczął przerwane opowiadanie, ale pan oficer, nie umiejąc ani słowa po francuzku, kazał posłać po kapitana, który mówił tym językiem.

— Pański pasport?—rzekł na wstępie pan kapitan, przyjąwszy z góry ukłony uprzejmie podróżnych.

To pytanie zmieszało wielce p. Pinson, który nie mógł nic lepszego odpowiedzieć, jak poraz trzeci wrócić do dziejów swojej przymusowej włóczęgi. Wysłuchał ich p. kapitan cierpliwie, ale kręcił głową niedowierzająco.

— Wszystko to pięknie, bardzo pięknie—odrzekł—ale do rzeczypospolitą meksykańską nie wolno przybywać cudzoziemcom bez pasportów... Dlatego racz mi pan swój przedstawić.

— Czyż nie powiedziałem, że wyjechałem od siebie, z ulicy Nollet w Batignoiles, na prostą jednodniową wycieczkę, i że...

Kapitan porozmawiał przez chwilę z oficerem, po czém, na znak dany przez ostatniego, kapral i sześciu żołnierzy ujęło za broń.

— Udacie się z tymi panami—rzekł kapitan.— Zaprowadzą oni panów do waszego konsula—dodał, zwracając się do p. Pinson—a jeżeli jego ekscelencya przyjmie was na swą odpowiedzialność, będziecie wolni.

— Jakto?—zawołał p. Pinson—każę nas pan eskortować przez ulice miasta, jak jakichś zbrodniarzy?

— W drogę—rzekł zwięzle kapral i skierował się ku drzwiom. I wnet p. Pinson z towarzyszem, otoczeni

przez żołnierzy, popychani przez nich i zmuszeni do wyjścia, musieli postąpić. Wyszli z odwagą i znaleźli się wkrótce na wielkim placu. Ujrzeni tu stragany, sklepy i kawiarnie jeszcze pozamykane, bo miasto spało w najlepsze. Mimo to, nasi więźniowie nie uszli jeszcze stu kroków, a spotkali już z piętnastu przechodniów, ubranych w faldziste płaszcze, i kobiety przystrojone we wstążki; ujrzeni też gromadkę dzieci nago nagich, które towarzyszyły im w pochodzie. Wszyscy ci ludzie mieli skórę koloru miedzi i kapelusze o wielkich rondach, które zakrywały im oczy i nadawały ich twarzom wyraz zbójceki. Wiedziano już w mieście, że do portu zawinął statek korsarski, ścigany przez okręt wojenny Stanów Zjednoczonych, i przechodnie sądzili że p. Pinson jest jednym z tych rozbójników, którego zdołały pochwycić władze meksykańskie.

— Czy widzisz, mój chłopcze—rzekł inżynier do towarzysza—co się dzieje?... Boisjoli także niezawodnie nie uwierzy w nasze przygody. A jednakże dzięki jego radom puściłem się bez pasportu, o dwa tysiące mil od mego mieszkania; jemu to winienem że mnie prowadzą jak złodzieja! Nie, tego już nadto!

Gdy orszak przybył do domu konsula, składał się on już z pięciuset osób. Kancelista konsulatu przyjął przybyłych, a p. Pinson po raz czwarty rozpoczął opowiadanie, Kancelista bardzo zdziwiony, wezwał konsula, a p. Pinson opowiadał mu znowu swoje przygody... co było już po raz piąty od godzin kilku.

— Wreszcie, mój panie—odrzekł mu konsul—co nam pan możesz dać za dowód prawdy słów swoich?

P. Pinson zaczerwienił się po same uszy, uznając jednakże pytanie konsula za najzupełniej w podobnych okolicznościach usprawiedliwione, wyjął z kieszeni pugilares i okazał kilka listów do siebie adresowanych, tłumacząc się przytém z taką pewnością i prostotą, że niepodobna było podejrzwać, że udaje.

Konsul, dziwiąc się szczególności przygód, nie wątpił już jednak. Nie trudno mu było przytém odgadnąć, że ma do czynienia w panu Pinson z człowiekiem dobrze wychowanym i wykształconym. Kancelista przygotował więc dla naszych podróżnych odpowiedni dowód piśmienny, na mocy którego mieli prawo pozostać w mieście lub udać się, gdzie im się spodoba. Wychodząc od konsula, p. Pinson i Żywe Srebro z trudnością mogli się przecisnąć przez tłum ciekawych. Eskorta, na prośbę kancelisty, odprowadziła podróżnych aż do bramy hotelu *Handlowego*, położonego naprost przystani, którego właścicielem był Francuz. Podczas drogi żołnierze tłumaczyli ciekawym gapiom, że p. Pinson nie jest bynajmniej żadnym rozbójnikiem morskim, ale najspokojszym obywatelem francuzkim. Uspokojeni mieszczanie zatrzymali się u wrót hotelu, a palące promienie słońca i ztamtąd ich wkrótce rozpędziły.

Z jakąż rozkoszą, po wyborném śniadaniu, p. Pinson znalazł się w pokoju o jedném oknie i dwóch łóżkach, w którym go umieszczono! Okno wychodziło na plac przystani. Nad dachami przeciwległych domów widać było potężne mury twierdzy Ulloa i szeroką przestrzeń morza, iskrzącego pod promieniami słońca. Dzie-

ki upałowi i spokojności, w jakiej się znalazł, p. Pinson, położywszy się na wygodném łóżku, zasnął bezzwłocznie.

Żywe Srebro, usiadłszy przy oknie, przypatrywał się z najwyższą ciekawością wszystkiemu, co go otaczało i przesunęło się przed jego wzrokiem. Na pokładzie *Canady*, również jak na *Fultonie*, zdawało mu się ciągle że jest w Anglii. Tymczasem tu odrazu, jakby za sprawą różeczki czarnoksiężki, znalazł się nagle w mieście o budynkach dziwnej architektury, wobec ludzi innej rasy, innej barwy, mówiących językiem niezrozumiałym. Na ulicy zamiast szarych i brunatnych wróbli, ujrzał ptaki duże i czarne, które były tak oswojone, że nie ustępowały przechodniom z drogi.

Za nadejściem południa wszelki ruch zdawał się w mieście ustawać. Przechodnie bardzo nieliczni włożyli się raczej opieszale, nie zaś szli, i to tuż pod murami domów, szukając cienia. Niebo zdawało się być jedném olbrzymiém słońcem; delikatne pary niebieskawe unosiły się w powietrzu; oddychać było ciężko. Żywe Srebro, który od paru godzin siedział bez ruchu, uczuł wielce zdziwiony, że czoło jego pokrywa gęsty pot. Vera Cruz jest jednym z punktów ziemi najgorętszych, a miesiące maj, czerwiec i lipiec są tu nie do zniesienia.

Podczas trzygodzinnego spoczynku p. Pinson, Żywe Srebro ani na chwilę nie porzucił okna, oczarowany tém co widział i wdzięczny myśli, jaka mu niegdyś kazała się ukryć na pokładzie *Canady*. Ze dwadzieścia razy byłby już wykonał swoje *salto mortale*, gdyby nie to, że mógłby tym sposobem obudzić towarzysza.

Skoro p. Pinson usiadł przy oknie, chłopiec zadawał mu rozmaite pytania, dotyczące się Meksyku i Vera Cruz.

— Vera Cruz— objaśnił inżynier— zbudowano na miejscu, w którym niegdyś, w r. 1519, wylądował Ferdynand Cortez. Jego twierdzą, którą długo uważano za niezdobytą, wziął w r. 1839 admirał Raudin; zdaje mi się żem ci to już mówił.

— Czy udamy się do Meksyku?

— Nie; teraz mamy 30 maja; jutro lub pojutrze, jak mi mówił konsul, przybędzie statek angielski, który kursuje między Anglią a Meksykiem, i wsiądziemy na jego pokład.

— Jakto?... nie widząc lasów dziewiczych, małp i tygrysów.

— Przejdziemy się naokoło miasta, zobaczymy więc choć zdaleka owe lasy, które cię tak zaciekawiają. Co się zaś tyczy małp i tygrysów, to zobaczysz ich tyle, ile tylko zapragniesz, w Jardin des plantes w Paryżu.

Żywe Srebro nie odrzekł nic, ale nie czuł się bynajmniej zadowolonym. Jakto?... popłynąć tak daleko i nie widzieć wnętrza tej zaczarowanej krainy, w której papugi tysiącami latają po gajach?... W głębi duszy chłopiec radby był wielce, gdyby znowu jakaś niespodziewana przygoda nie pozwoliła p. Pinson ziścić jego planów.

Około godziny piątej wieczorem podróżni nasi puścili się na wycieczkę po mieście, którego najwyższe domy są tylko o jednym piętrze, z tasakami do wypożyczenia dla mieszkańców, mogących tu odetchnąć wieczorem swobodniej, po upałach dziennych na wietrze



Stróż nocny, z latarnią w ręku.

wiejącym od morza. Po kwadransie nasi podróżni znaleźli się za miastem a zdziwienie chłopca było wielkie, gdy zamiast zielonych gajów i lasów, ujrzał niezmierną przestrzeń piaszczystą, głuchą i ponurą. Gdziekolwiek rosły tylko drobne krzaczki mimozy, ale nigdzie, jak okiem zasięgnął, ani jednego drzewa. Zdała, na widokręgu, rysowała się sylwetka wysokich gór, ponad któremi wznosił się szczyt Orizaby.

Nasi podróżni długo przypatrywali się tym górcom, które biegną równolegle do morza, i na wysokościach których rozciąga się płaszczyna na dwieście mil długa, z miastem Meksykiem na wzniesieniu dwóch tysięcy metrów. Ten olbrzymi łańcuch gór, rozgałęziony na setki odnóg, nosi miano Gór Skalistych w Stanach Zjednoczonych, Kordyliarów w Meksyku, a Andów w Peru.

O szóstej godzinie wieczorem p. Pinson i jego towarzysze zasiedli przy stole hotelowym podano im wczereź z owoców i ryb obcych im zupełnie. Rozmowa w języku hiszpańskim była dla nich obojętną, bo nie rozumiała, udali się przeto na dalszą wycieczkę po mieście. Jedyne otwarte o tej porze sklepy sprzedawały kawę, wonne lody i napoje chłodzące. O godzinie ósmej, damy i panowie w strojach europejskich opuścili tłumnie przystań, jedyne miejsce przechadzki w Vera Cruz.

O godzinie dziewiątej miasto zdawało się już spać a stróże nocni, zaopatrzeni w latarnie i w halabardy, zajęli swoje stanowiska na ulicach, wyspiwując smętnie godziny.

Nazajutrz około południa, w chwili gdy ukończono śniadanie rozległ się wystrzał działowy. Obecni w sali



Widok z miasta na góry

jadalnej wybiegli z pośpiechem w kierunku przystani. Statek pocztowy angielski ukazał się na horyzoncie, a jego przybycie poruszyło całe miasto; przywoził on nowiny z Europy.

XX.

JESZCZE W DRODZE.

Pan Pinson i Żywe Srebro udali się do przystani, a towarzyszyło im kilku faktorów miejscowych i kilku gapiów. Po upływie pół godziny, łódź, naładowana skórczanami worami i korespondencyą, przybiła do brzegu, a ładunek ten eskortowali oficerowie angielscy, w paradnych mundurach, którzy także odstawili depe-sze urzędowe do swego konsulatu. P. Pinson dowiedział się że pakebot, opóźniwszy swój przyjazd o czterdzieści osiem godzin, będzie musiał wyjechać tego samego dnia. Inżynier pobiegł natychmiast do agenta *Royal Mail Company*, ażeby umówić się o warunki przejazdu na rzeczonym okręcie. Agent mówił po francuzku i po obliczeniu kosztów podróży z Vera Cruz do Europy na dwie osoby, rzekł:

— Zapłacisz mi pan dwa tysiące trzysta franków.

P. Pinson zbladł... Wyciągnął swój pugilares, wy-dostał portmonetkę i obliczał gorączkowo to, co się w nich znajdowało.

— Panie—rzekł—nie mogę opłacić kosztów podróży prędzej, jak dopiero za przybyciem do Southampton; czy to jest możliwe?

— Zapewne... jeżeli tylko pańskie tłumoki są dostateczną gwarancyą zwrotu tych kosztów.

Zimny pot wystąpił na czoło pana Pinson; jego cztery koszule nie mogły przedstawiać żadnej gwarancyi. I znowu biędny inżynier, rzewnie i szczegółowo, rozpoczął opowiadanie swoich przygód...

— Przepraszam pana— rzekł agent— muszę się zająć porządkowaniem papierów okrętowych; za cztery godziny ruszamy w drogę, więc nie mam czasu słuchać pana. Powtarzam tylko: zapłacisz pan dwa tysiące trzysta franków, jeżeli z nami masz jechać.

— Ależ ja sam i ten oto chłopiec w naszych własnych osobach jesteśmy także gwarancyą. Wydadź pan rozkaz kapitanowi, aby nas trzymał na statku, dopóki mu nie zapłacę... W Soumpthaton zwrócę należność w ciągu dwudziestu czterech godzin.

— A jeżeli jęj pan nie zwrócisz, to niemniej przecież będziesz już w Europie, a kapitan, zmuszony was żywić, będzie musiał was puścić. Jesteś pan uczciwym człowiekiem, nie wątpię o tém; ale jeżeli pan chcesz istotnie jechać, przynieś mi pan dwa tysiące trzysta franków, lub poręczenie jakiego tutejszego kupca.

— Jestem w Vera Cruz dopiero od onegdaj; nie znam nikogo...

Agent nie słuchał; miał bardzo dużo do roboty. P. Pinson uznał za stosowne udać się do konsula, który już znał jego kłopoty.

— I cóż pan chcesz abym dla ciebie uczynił?— spytał go konsul.

— Błagam pana, byś mi pożyczył żadaną przez agenta sumę. Jestem obywatelem francuzkim i...

— Zastanów się pan— odrzekł dygnitarz— że to nie jest jeszcze dostateczny powód do pożyczania potrzebnej panu sumy. Codziennie zgłaszają się do mnie z podobnemi żadaniami biędni emigranci. Gdybym szedł za głosem serca, sto tysięcy franków rocznie nie wystarczałoby na podobne cele, a tymczasem rząd daje mi tylko dziesięć tysięcy, w których jest już i moja osobista płaca.

— Ja proszę pana tylko o pożyczkę — odrzekł p. Pinson. — Dzięki Bogu, posiadam mająteczek, który mi ją pozwoli spłacić natychmiast po powrocie do Europy.

— Wierzę panu najzupełniej, ale nie mogę panu służyć tém, czego nie mam. Gdyby się tu znajdował statek francuzki, prosiłbym aby przyjął pana na swój pokład, lecz jakkolwiek pragnąłbym być panu w téj chwili użytecznym, nie mogę pożyczyć żadanéj sumy na żaden sposób.

P. Pinson nalegał, prosił, zaklinał, ale konsul odpowiadał mu ciągle jedno i to samo. Codziennie spotyka się on z podobnemi żadaniami i codziennie musi odmawiać, choć z wielkim nieraz smutkiem, jak oto w téj chwili.

— I cóż ja mam czynić? — rzekł wreszcie zrozpaczony inżynier.

— Napisz pan do Francyi o przysłanie pieniędzy.

— Ależ kiedy nadejdzie odpowiedź?

— Za trzy miesiące najwcześniej, jeżeli pański korespondent zna się na pośpiechu.

— Za trzy miesiące!... Więc mam przez ten czas pozostać tutaj, kiedy tymczasem moja reszta, moje akcye...

Inżynier stracił głowę; co do Żywego Srebra, milczał on zawzięcie, ale wzmianka o trzech miesiącach pobytu w Ameryce pobudziła go skrycie do wykonania *salto mortale*.

Konsul musiał się zająć wyprawieniem korespondencyi i pożegnał p. Pinson. Inżynier udał się natychmiast do hotelu i poprosiwszy gospodarza, przedstawił mu sprawę, prosząc go o pomoc.

— Szanowny panie — odrzekł mu właściciel hotelu — nie wątpię o pańskiej uczciwości, ale pojmujesz pan że nie pożyczą się dwóch tysięcy trzysta franków człowiekowi, którego się poznało dwa dni temu i który mieszka o dwa tysiące mil.

P. Pinson udał się następnie do negocyanta francuzkiego, podejmując się zwrócić żadaną summę w dwójnasób, w trójnasób, ale ta hojność z jego strony wywarła tylko przeciwny skutek. Negocyant oświadczył że nie jest lichwiarzem i że nie ma tyle pieniędzy, ażeby je mógł rzucać w podobnie „pewne“ sprawy, a biędny p. Pinson zwrócił się znowu do agenta okrętowego. I teraz odszedł z niczém.

— Chodźmy, mój chłopcze — rzekł zrozpaczony — przeznaczenie chce, abyśmy przepędzili trzy miesiące w tém zaatlantyckim więzieniu. Trzeba napisać o pieniądze i czekać.

Właśnie p. Pinson siadł do pisania listu, ^{kt} gdy dał się słyszeć wystrzał działowy. Inżynier pobiegł do okna. Komin statku angielskiego buchał kłębam dymu. Po chwili steamer ten podniósł swą banderę, puścił się w drogę i wypłynął między skały.

P. Pinson sądził że to prosty manewr, ale wkrótce poznał smutną prawdę. Statek istotnie odpłynął i inżynier znalazł się w konieczności przepędzenia trzech miesięcy dłużej w Vera Cruz.

Przez kwadrans spoglądał melancholicznie na widnokrąg, jakby spodziewał się, że statek wróci do przystani. Nagle jakiś szmer przerwał jego dumania; odwrócił się i ujrzał swego chłopca, którego nogi były wgórze, a głowa nadole. Gdy Żywe Srebro stanął w pozycyi naturalnej, zaczerwienił się po same uszy i spuścił oczy, zawstydzony.

— Cieszysz się z fatalności, jaka mnie prześladuje, z nieszczęśliwego położenia, w jakim się znajdujemy, nieprawdaż? — rzekł doń smutnie inżynier. — Nie wiesz, mój chłopcze, że jesteśmy o dwa tysiące mil od Francyi, bez środków do życia i bez pewności że nie umrzemy z głodu...

— Będziemy pracować, proszę pana, a zresztą nie jest boleśniej umrzeć z głodu w Vera Cruz, niż w Londynie. Nie mówimy po hiszpańsku, to prawda, ale są tutaj Francuzi i Anglicy; odwołamy się do nich po pracę. Jeżeli zaś konsul odmówił panu pożyczki, to nie odmówi chleba, gdy będziemy głodni.

— Lękam się wszystkiego — odrzekł p. Pinson. — Pracować!... To się łatwo mówi! Czy myślisz że mi tu powierzą jaką pracę, mnie, którego nie znają?

— P. Boisjoli nie znają także w Nowym Yorku, a przecież...

— P. Boisjoli... — wykrzyknął inżynier — nie wspominaj mi tego imienia!.. A zresztą p. Boisjoli wziął ze sobą swoje dyplomy, listy polecające, wziął także pieniędzy tyle, że mu one wystarczą na cały rok poszukiwania pracy i na powrót do Francyi, jeżeli jój nie znajdzie. Co mi ty prawisz o p. Boisjoli i o jego położeniu w porównaniu z mojem.

Aż do nocy p. Pinson chodził wzdłuż i wszérz swego pokoju, zamyślony i milczący. Żywe Srebro zdawał się istotnie dziwić smutkowi swego towarzysza, nie pojmując, jak można obawiać się jutra. Co do niego, liczył na Opatrzność i nazajutrz zjadł obiad tak smacznie, jak gdyby był pewny, że go jutro jeść będzie.

Po obiedzie p. Pinson udał się do konsula.

— Pańskie położenie serdecznie mnie zajmuje — powiedział mu urzędnik — i będę się starał wynaléże dla pana jakąś pracę. W téj chwili jest to niepodobieństwem. Gdy nadejdą pieniądze z Francyi, których dwa tysiące pięćset franków przeznaczone są dla mnie, będę mógł panu w razie potrzeby pożyczyć paręset franków.

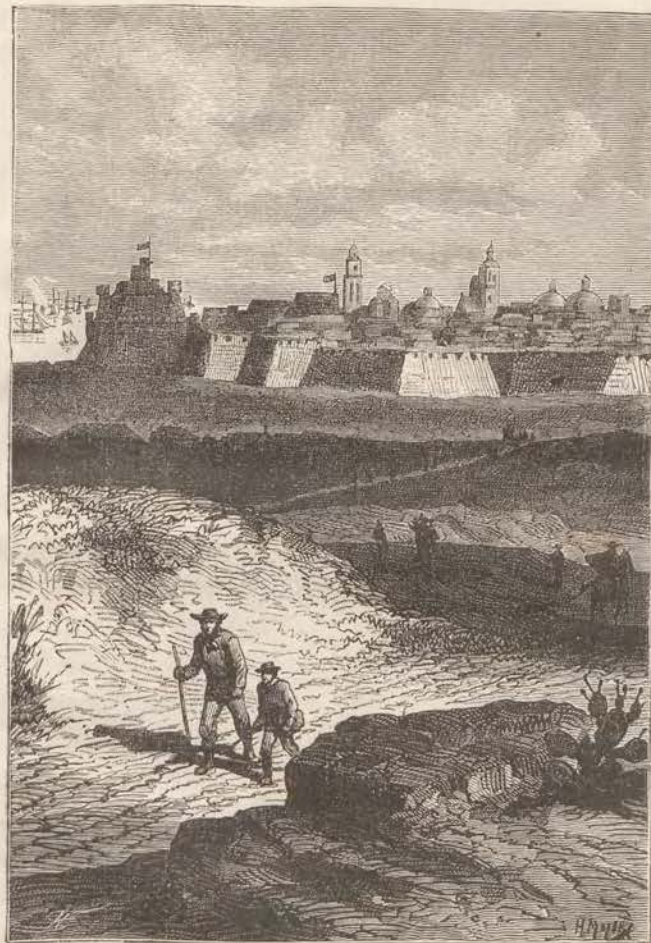
P. Pinson uściśnął ze wzruszeniem dłoń konsula.

— Tymczasem — ciągnął dalej urzędnik — zastanówmy się nad pańskiem położeniem. Życie jest drogie w Vera Cruz; pan ze swoim towarzyszem nie opędzicie go tu taniej, jak dwudziestoma frankami dziennie.

Zresztą febra żółta zaczyna się ukazywać i nie powinniście się na nią bezpotrzebnie narażać. Udajcie się do Jalapy lub Orizaby, tam doczekacie się chwili odjazdu, w bezpiecznym miejscu, wolnym od straszliwej choroby, która w porze dżdżów zamienia Vera Cruz w prawdziwy cmentarz.

Były to rady zanadto rozsądne, aby z nich p. Pinson nie korzystał. Zaopatrzony w list polecający do jednego z negocyantów Jalapy, miał prosić go o zajęcie, a w razie potrzeby mógł zaciągnąć u niego pożyczkę, do wysokości trzystu franków. Po zapłaceniu rachunku hotelowego, kupieniu rewolwera, trzewików i kaftanów dla siebie i Żywego Srebra, pozostało p. Pinson około dwustu franków. Kupił też inżynier słowniczek podręczny do języka hiszpańskiego.

Nazajutrz o wschodzie słońca, puścili się nasi podróżni z Vera Cruz do Jalapy, przez piaszczyste pola i wzgórze. Do celu podróży mieli sto dwadzieścia kilometrów, które nieraz przebywać muszą wśród lasów pełnych małp i sawan ze stadami bawolów. To też na myśl o tym, Żywe Srebro chciał biędz zamiast iść, aby przyspieszyć chwilę ziszczenia swoich marzeń i pragnień.



Puścili się z Vera-Cruz.

XXI.

ŻÓŁTA FEBRA.

Skoro tylko przekroczył bramę miasta Vera Cruz i znalazł się na otwartej przestrzeni, Żywe Srebro nie mógł się powstrzymać od wydania okrzyku radości. Szedł więc nakoniec ku dziewiczym lasom, gdzie będzie mógł oglądać krainy cudowne Nowego świata, których pełną była jego wyobraźnia, podbudzona przez czytanie przygód Robinsona Cruzoe i opowiadania majtków *Fultona*. Co się tyczy pana Pinson, to szedł on z rezygnacją, zwyczajnie jak człowiek zmuszony przez okoliczności, a myślał o tém, czy czasem jaka niespodziewana przeszkoda nie zawiedzie go do Meksyku, gdy pragnie się dostać do Jalapy.

Podczas godziny podróży nasi kroczyli po piaszczystych wzgórkach, po miniaturowej Saharze, w której bez ustanku dął wicher północny, *simum* krajów meksykańskich. Oprócz wyschłych, wątłych krzaczków mimozy, nie było tu najmniejszej roślinności. Upał był tak nieznośny, że Żywe Srebro, ze spuszczoną głową, spoglądał ustawicznie, czy p. Pinson nie udzieli mu choć kilka kropel wody, którą niósł napełnione naczynie.

— Czy będziemy szli przez piaski aż do samej Jalapy?— spytał po długim milczeniu.

— Podług objaśnień, jakich mi udzielił konsul, musimy przebyć sześć kilometrów, zanim osiągniemy sta-

lego gruntu. Ponieważ jednak ruchomy piasek zmusza nas, że na każde trzy kroki robimy czwarty zbyteczny, trzeba więc do téj odległości dodać jeden jeszcze kilometr.

— Al.. to ani piękne, ani wesołe!..

Przez następne półtoręj godziny nasi podróżni szli w zupełném milczeniu. Wkroczyli teraz na piaszczysty wzgórek, wyższy od innych. Położenie ich było nie do zazdrości; czuli oni ból oczów od blasku piaszczystych wydm, mieli usta spieczone i ledwo się wlekli. Wdarłszy się na wzgórek, przystanęli trochę i ujrzeni, że w odległości dwóch kilometrów rozciąga się pas ziemi pokrytej zielenią.

— Czy to las dziewiczy?—spytał natychmiast chłopiec.

— Nie sędzę—odrzekł p. Pinson, śmiejąc się.—Lasy dziewicze nie znajdują się wpobliżu wielkich gościńców. Jesteśmy teraz na jedném odgałęzieniu drogi, wiodącej z Vera Cruz do Meksyku, drogi zbudowanej niegdys przez Hiszpanów, którą zaliczano do największych dzieł tego rodzaju. Nie widzę tu jednakże nic godnego podziwu.

Gdy podróżni spojrzeli poza siebie, aby się przyjrzeć przebytej drodze, spostrzegli potężne, bezgraniczne i błyszczące morze. P. Pinson, który cierpiał wiele z powodu upału, teraz począł się uskarżać na ból głowy. Przyspieszył kroku, aby czémprędzej dosięgnąć drzew, które woddali zdawały się formować mały lasek. Gdy tam doszedł, raczej upadł niż usiadł pod najpiérwszém drzewem, kryjąc się w cieniu jego liści. Żywe Srebro,

pomimo znużenia, miał jeszcze siłę przypatrywać się okolicy, w której, prócz ptaków uciekających przed podróżnymi i dwóch zbłąkanych papug, nie szczególnego nie zauważył.

Korzystając z cienia, p. Pinson położył się i natychmiast zasnął. Żywe Srebro, orzeźwiwszy się kilkoma łykami wody i spoczawszy, poczuł iż jego ciekawość wraca wraz z siłami.

„Zawsze to przykrzej wędrować w okolicach Vera Cruz—myślał—aniżeli przechadzać się po ulicach Londynu. Co za słońce!.. Nie dziwię się że są ludzie, którzy myślą że to nie jest to samo, które świeci w Anglii, tak wielkie, palące i czerwone.“

Oglądając się naokoło, zauważył że trawa tutejsza wcale nie jest podobna do trawy na skwerach londyńskich, i spostrzegł, że po gałązce drzewa kroczy wielki chrząszcz, uzbrojony długim rogiem na głowie.

„Wróble angielskie byłyby bardzo zadowolone, znalazłszy takiego potworka! Wystarczyłby im na trzy obiady.“

Żywe Srebro uradowany spostrzegł także, że ten olbrzymi chrząszcz był większy od zielonego małego ptaszka, który jak pszczoła krążył nad listkiem jakiegoś kwiatu. Chłopiec podniósł się, aby schwytać to maństwo, gdy ujrzał całą chmurę motyli, o skrzydłach czerwonych, białych, czarnych żółtych, niebieskich, srebrnych i złotych. Co za dziwne i czarujące widowisko! Zdawało mu się, że widzi bukiet kwiatów, rozrzuconych w powietrzu. Biegł za temi motylami... ale wprędce upał zmusił go do powrotu.

Inżynier z czołem, okrytym kroplami potu, spał wciąż. Chłopca zaczął niepokoić ten długi sen i z trwogą pomyślał o tém, co by się stało, gdyby tak zpośród drzew ukazał się lew, tygrys, albo boa. Dwaj oślarze, którzy pędzili przed sobą wychudłe zwierzęta, obładowane wyrobami garncarskimi, przeszli drogą, pozdrawiając chłopca uprzejmym ukłonem. Żywe Srebro, zdziwiony obecnością ludzi, przyodzianych tylko w spodnie skórzane, jakby szydzili ze srogosci palącego słońca, wziął ich za dzikich, mimo ich ukłonu. Cokolwiek później ujrzał siedmiu czy ósmiu Indyan, w najrozmaitszych kostiumach, według tego z jakich pochodzili okolic, wszystkich obciążonych pakunkami i postępujących szybko. Chłopiec, którego obecność tych ludzi zaniepokoiła, zbudził zlekka p. Pinson.

— Co to jest?... co się stało?... Boisjoli! — rzekł inżynier.

— To ja, panie, — odrzekł Żywe Srebro. — Czy nie puścimy się w dalszą drogę?...

— W drogę do Liverpoolu, do Calais, do Hawany.... Płyn, płyn mój chłopcze... zaraz ci pomogę.

Żywe Srebro, przerażony temi słowami bez ładu i dzikiem spojrzeniem towarzysza, wstrząsnął jego ramieniem.

— Zbudź się pan, na miłość Boską! Pańskie słowa, spojrzenia... pan mnie przerażasz!

P. Pinson, w ataku febry, nie odrzekł; z ust jego ukazał się strumień czarnej krwi, na widok którego chłopiec wydał okrzyk trwogi. Przed wyjściem z Vera Cruz dowiedział on się o symptomatach żółtej febry,

vomito negro, i teraz nie wątpił, że jego towarzysz stał się ofiarą tej okropnej choroby.

Przez kwadrans następny wystraszony chłopczyzna ze Izami w oczach usiłował zmusić p. Pinson, aby wstał i puścił się w drogę. Było to napróżno; inżynier bredził w gorączce, lub leżał nieruchomy, jakby martwy. Wreszcie Żywe Srebro wznosił głowę z energią.

— Głupio płakać — rzekł sobie — i nie doprowadzi to do niczego!

Otarł oczy i udał się do drogi, w celu szukania pomocy u przechodniów. Przepędził tam godzinę, która mu się wydała wiekiem: po upływie tego czasu spostrzegł gromadę mułów, idącą pod opieką przewodnika; wziął więc bez ceremonii tego człowieka za rękę i zaprowadził go do p. Pinson.

Mulnik, zdziwiony obecnością Europejczyków w tych stronach, wypytywać począł chłopca o szczegóły po hiszpańsku, na co mu Żywe Srebro odpowiadał po francuzku. Poczciwy człowiek zawołał swoich towarzyszów; wsadzili inżyniera na jednego z mułów i puścili się do Vera Cruz, gdzie przybyli w pięć godzin później.

W hotelu Meksykańskim, gdzie stanęli mulnicy, znalazła się jakaś Murzynka z Jamajki, która Żywemu Srebru służyła za tłumaczkę. Objął on gospodarza, że mieszka w Londynie i spodziewa się ztamtąd lada dzień posyłki piędznej. Objasnienie to sprawiło, że ulokowano p. Pinson w wygodnym pokoju i zawołano natychmiast lekarza.

Doktor przybył w dziesięć minut; po ścisłym egzaminie oświadczył on, że inżynier zapadł na żółtą febrę;

na szczęście objawy téj choroby dowodziły, że jest ona w stanie zwykłym, które dla człowieka zdrowego wogóle gróznym nie będzie.

— Jeżeli przebieg choroby się nie zmieni—dodał— i nie zajdzie jakiś nieprzewidziany wypadek, chory powróci do zdrowia po ośmiu dniach.

Podczas następnych dwóch tygodni, o każdej godzinie dnia i nocy, p. Pinson, otworzywszy oczy, widział przy łóżku swém czuwającego troskliwie towarzysza. Unosił on go, poił i znowu układał delikatnie na poduszkach. Inżynier chciał mówić, ale osłabienie jego było tak wielkie, że nie mógł się zdobyć nawet na kilka wyrazów.

— Czy pan wie — rzekł pewnego razu Żywe Srebro— że jesteś pan już w szybkim powrocie do zdrowia i że jutro wolno panu zjeść parę jaj na miękko?

— Tobie winien jestem życie, mój poczciwy przyjacielu— odrzekł inżynier rzewnym głosem. — Nie mogę teraz mówić, com widział, ale widziałem wiele i nie zapomnę tego. Postępujesz jak człowiek prawdziwy i zacny.

— Niel... jak ten co pana kocha!... Azresztą spłacam tylko dług wdzięczności i... to wszystko na rachunek p. Boisjoli! Nie mówmy jednak o tém, to pana męczy, a doktor zakazał zmęczenia. Powiedział mi także, że powrót pański do zdrowia będzie trwał długo, ale to dla nas wszystko jedno! Cierpliwości, a będziesz pan zdrowszym niż kiedykolwiek.

P. Pinson przyciągnął chłopca i uściskał go.



Żywe Srebro ujął go za rękę.

„Drogie dziecko — pomyślał. — Czyż przypuszczać było można coś podobnego wówczas, gdyśmy go spotkali po raz pierwszy na ulicy w Londynie?“

W cztery dni później pan Pinson mógł już wstać, ubrać się i zasiąść w fotelu. Chodzić jeszcze nie mógł, bo był niezmiernie osłabiony; chciał się obaczyć w zwierciadle i własna chudość przeraziła go; był blady, miał długą brodę i twarz wysuszoną. Pocieszało go tylko, że miał wielki apetyt.

Od téj chwili inżynier siadywał przy oknie i oddychał orzeźwiającym powiewem od strony morza. W tydzień później mógł już zejść do sali jadalnej i przechadzać się po placu.

Żywe Srebro, odkąd jego towarzysz powrócił do zdrowia, zniknął corano, aby się ukazywać zaledwie parę wciagu dnia.

„Biedny chłopiec — myślał sobie p. Pinson — był przez tak długo więźniem przy mojem łóżku, że teraz całą duszą korzysta ze swobody.“

Spostrzegłszy że nieobecność Żywego Srebra zamienia się w stałą i codzienną, rzekł mu raz:

— Mam nadzieję, że nie biegasz po ulicach, dopuszczając się figlów.

— Ja?... ależ ma się rozumieć. Przechadzam się tylko.

— Dlaczegoż nie czynisz tego wraz zemną? Ja mogę już chodzić dosyć szybko. Wczoraj na przykład byłem nad brzegiem morza... studyowałem tam język hiszpański.

— I ja także, ale uczę go się w porcie, słuchając rozmów kupców i marynarzy. Zresztą niech się pan przechadza jaknajczęściej nad brzegiem morza; lekarz to zaleca bardzo.

Po niejakim czasie siły p. Pinson poczęły powracać szybko. Kilka już razy zapytywał on chłopca o wydatki hotelowe, ale zawsze odebrał odpowiedź wymijającą.

— Nie mam już nic w swojej portmonetce, a lekarz i pulardy kosztują wiele. Dziwię się żeśmy dotąd nie umarli z głodu. Muszę pomówić z właścicielem hotelu i zapewnić go że nie straci z należności, skoro konsul obiecał...

— Już mu to wszystko powiedziałem — przerwał chłopiec. — Niech się pan nie niepokoi, a nadewszystko niech pan używa przechadzki nad brzegiem morza.

— Dobrze, moje dziecko, ale chodźmy razem. Nie zdaje mi się właściwem, abyś się cały dzień Boży błakał po mieście.

— Uczynię co pan każesz.

Pomimo takiej obietnicy, Żywe Srebro corano zniknął a p. Pinson nie uważał za potrzebne przypominać mu jęj. Pewnego dnia, gdy się chłopiec ulotnił według zwyczaju, inżynier udał się także na miasto. U wnijsćia do portu spostrzegł właściciela hotelu i podszedł ku niemu, aby pomówić o wydatkach.

— Mieszkaj pan u mnie, dokąd chcesz — odrzekł mu właściciel. Kiedy się płaci co dni piętnaście swoje rachunki z taką akuratnością, jak to pan czynisz, jest się najpożądanym gościem w hotelu.

— Co dni piętnaście?... — powtórzył zdziwiony pan Pinson.

— Pański chłopiec nie spóźnia się z wypłatą należności nigdy i niedalęj jak wczoraj zapłacił za dwa tygodnie.

— Jakto... i ja nie jestem panu winien nic?

— Ani szeląga!... — odrzekł właściciel.

P. Pinson zamilkł i udał się do środka miasta. Upał był nieznośny, ale inżynier dziwił się wytrzymałości własnej na gorąco. Idąc tak, spoglądał wokoło. Ulice Vera Cruz nie bywają nigdy bardzo ożywione, a mnięj jeszcze w południe. P. Pinson znalazł się na placu głównym, z którego widać tamę. Tam przynajmniej wrzało życie. Majtkowie dźwigali naładowane wory, skrzynie z indygo, pakunki koszenilli, paczki złota i srebra — jednem słowem wszystko, co stanowi przedmiot handlu meksykańskiego z Europą. Na lewo widać było mnóstwo beczek z mąką i słoniną, które przywieziono tu ze Stanów Zjednoczonych. Jedna z tych beczek zdawała się toczyć sama po tamie. W miarę jak się ku nięj zbliżał, p. Pinson przyglądał jęj się z rosnącą coraz bardziej ciekawością. Gdy się znalazł tuż przy nięj, spostrzegł że to Żywe Srebro toczył tę beczkę przed sobą, wyteżając siły młodocianych swych ramion.

P. Pinson stał przez chwilę z otwartymi ustami, przypatrując się chłopcu... Żywe Srebro wyprostował się, aby nabrać tchu i obetrzeć czoło, okryte gęstym potem. Głębokie uczucie opanowało sercem inżyniera; zrozumiał teraz powód nieobecności codziennęj chłopca. Tak! gdy są-

dził, że jego młody towarzysz zbija bąki po bruku miejskim, on tymczasem pracował... dla niego!

P. Pinson poskoczył naprzód. Zanim chłopiec, zdziwiony jego obecnością, mógł wyrzec słowo, uczuł się uniesionym w górę i przyciśniętym do piersi inżyniera, który płakał.

XXII.

SZCZĘŚCIE POWRACA.

— Panie—rzekł wreszcie Żywe Srebro, starając się uwolnić z uścisku.—patrzą na nas!

— Tém lepiej! Pragnę, aby całe miasto poznało twą szlachetność, a Boisjoli nadewszystko!

I mówiąc to, inżynier począł znowu ścisnąć serdecznie chłopca, a potem rzekł:

— Otóż wyjaśnienie zagadki, której pojąć nie mogłem! I wówczas, gdy ja zajadam pulardy, gdy zapijam wyborne wino... ty!... I ja śmiałem sądzić, że ty bawisz się, próżnujesz!...

— Ależ bawię się... bawię się także, proszę pana... zaręczam! Jeżeli pan jadałeś pulardy i piłeś dobre wino, co ci doktor gorąco zalecił, jeżeli wreszcie nie jesteśmy nic winni w hotelu, to tylko dlatego, że miałem pieniądze, które mi dano na pokładzie *Canady*. A zresztą przyszło mi na myśl, gdym wydawał ostatnie sto su, co tu zowią piastrem, że w takim mieście jak Vera

Cruz nie może być trudno o robotę. Nie omyliłem się. Jakiś marynarz mówił raz do nieznajomego mi agenta, że trzeba by poprzetaczać beczki z tamy do przystani... ofiarowałem swoje usługi i przyjęto je. Robota to nie-trudna weale...

— Nie trudna! — krzyknął p. Pinson. — O dzielny mały człowieku! Popychać takie beczki, większe od siebie, pod palącymi promieniami słońca!... Idź moje dziecko, odpocznij w cieniu. Teraz na mnie kolej pracować!

— Panie!—zawołał, składając błagalnie ręce, chłopiec—idź pan do hotelu i nie narażaj się na powrót choroby! A zresztą robota to nie dla ciebie!

— Mylisz się, moje dziecko, każda praca jest zaszczytną. Więc obowiązkiem twoim jest przetoczyć te beczki z tamy do przystani?

— Tak, lecz błagam pana, odejdz i pozwól mi pracować dalej; powrócę do hotelu, gdy ukończę.

— Ukończymy robotę prędzej, pracując wspólnie!

I p. Pinson, nie zważając na prośby towarzysza, zrzucił wierzchnie ubranie i wziął się do roboty. Widok człowieka o białej twarzy przy robocie, którą zatrudniali się zazwyczaj tylko czarni, ściągną szybko setki ciekawych, a między nimi i konsula, który przechadzał się nad morzem.

— Jakto? pan tutaj?—rzekł on do inżyniera—i to przy takim zajęciu?... Ależ jaki pan jesteś błądliwy! Czyś pan chorował?

W kilku słowach p. Pinson opowiedział swój wyjazd, chorobę i poświęcenie chłopca.

— Jakto, mój chłopcze—rzekł konsul—i nie przyszło ci na myśl udać się w potrzebie do mnie?

— Nie wiedziałem czy mi to uczynić wolno, a potem matka Pitch, pewna zacna kobieta, uczyła mnie zawsze, że stokroć lepiej prosić o pracę, niż o litość. Gdyby nie to, że znalazłem zajęcie, byłbym się niezawodnie udał do pana, w razie gdyby p. Pinson zabrakło czego.

Konsul zaprowadził inżyniera pod cieniste arkady przystani.

— Pisałem do pana—rzekł—przed trzema dniami, do Jalapy, sądząc że tam pan przebywasz. Nie wiesz pan więc zapewne że steamer angielski, na któryśmy czekali, rozbił się w drodze i utonął...

— Nie! — zawołał p. Pinson, zwracając się do chłopca.

— Jest to wiadomość, której nie chciałem panu udzielić—odrzekł Żywe Srebro, spuszczać smutnie głowę.—Wiedziałem że to pana zmartwi...

— Ha! więc nasza niewola potrwa o miesiąc dłużej!

— Cóż czynić? Nie potrzebujesz się pan już obawiać żółtej febry.

— Ale ty, mój chłopcze!

— Ja... nie lękam się jej także. Febra żółta omija dzieci.

— I mimo to zabija je—szepnął konsul.—Czy pan nie zechcesz przyjść do mnie jutro z rana—dodał, zwracając się ku panu Pinson.—Pomówimy.

P. Pinson przyrzekł że przyjdzie z pewnością, poczem na gorącą prośbę chłopca, popartą naleganiem konsula, powrócił do hotelu.



Począł toczyć beczkę.

Nazajutrz rano, o godzinie naznaczonej, inżynier poszedł do konsula.

— Oto — rzekł urzędnik, rozwijając rulon papierów — projekt przebudowania tamy w Vera Cruz. Są tu rachunki siły oporu, potrzebnej pod naciskiem morza; drzewo, kamienie — to materyał do budowy. O ile mogę sądzić, na wyrachowaniach tych bezwzględnie polegać nie można i dlatego pragnąłbym, aby je sprawdził człowiek kompetentny. Czy pan zechcesz podjąć się téj pracy i przedstawić swoje warunki?

— Proszę o cztery dni czasu — odrzekł p. Pinson, biorąc podane sobie papiery.

— Niéma nic nagłego, możesz pan przeto nie śpieszyć się.

Wróciwszy do hotelu, p. Pinson zasiadł natychmiast do roboty. Pojął to wybornie że konsul, powierzając mu to zadanie, chciał go wypróbować. Powrotowi Żywego Srebra do przystani oparł się stanowczo.

— Jeżeli nas potrzeba przycisnąć — rzekł — będziemy pracować wspólnie. Tymczasem ucz się po hiszpańsku.

— Już zaczynam trochę rozumieć — odrzekł chłopiec.

Piątego dnia p. Pinson odniósł konsulowi rachunki i uwagi. Urzędnik, tytułem zaliczki, wypłacił mu dwieście franków i oznajmił iż prawdopodobnie projektowane roboty jemu powierzone zostaną. Ale dwa tygodnie upłynęło, a inżynier czekał napróżno zawiadomienia. Siły jego powróciły zupełnie a apetyt miał przestraszający....

— Istotnie, mój chłopcze — rzekł raz do Żywego Srebra—głód mój rośnie wmiarę, jak nam ubywa pieniędzy. Konsul nie daje znaku życia i sędzę że będziemy musieli zabrać się znowu do taczania beczek.

— Gdybyś mi pan pozwolił pracować, nie zabrakłoby nam pieniędzy.

Tego samego wieczora jakiś mulat oznajmił panu Pinson, że konsul prosi go do siebie na jutro, o godzinie dziewiątej zrana. Inżynier stawił się punktualnie.

— Fakt zatonięcia statku angielskiego został już sprawdzony — rzekł konsul bez żadnych omówień;— udzielam panu tej wiadomości, ponieważ opóźnia ona stanowczo pański powrót do Europy. Będiesz pan znowu przymusowym gościem w Meksyku, i to na sześć miesięcy.

P. Pinson pochylił smutnie głowę, myśląc o ulicy Nollet, o Batignolles, Boisjoli'm, *Fultonie*... i nie odrzekł nic.

— Jesteś pan inżynierem i to znakomitym inżynierem—ciągnął po chwili konsul—powiedział mi to architekt miejski, któremu przedstawiałem pańską pracę.

P. Pinson podniósł głowę.

— Daruj mi pan ten wstęp — mówił jeszcze konsul. — Mam uczynić panu bardzo ważną propozycją. Wiemy dobrze że pan jesteś bez środków do życia i że musisz czekać sześć miesięcy na powrót do Fancyi.

P. Pinson dał głową znak potwierdzenia.

— Otóż pewien bogaty właściciel w Peru, don Ambrosio Lerdo, zapragnął w posiadłości swęj zaprowadzić to wszystko, co wynalazł postępowy dzisiejszy, pod

względem rolnictwa i kultury. Don Ambrosio pisał do mnie z prośbą, abym mu się postarał o inżyniera Francuza, któryby mógł i umiał przeprowadzić jego plany. Don Ambrosio ofiaruje 30,000 franków rocznej płacy, a dodam—co dla pana, jako dla Francuza, obojętnem być nie może—iż spełnienie zadania, jakie przedstawia, może przynieść swemu wykonawcy sławę i rozgłos. Czy pan chcesz być przez trzy lata naczelnym inżynierem don Ambrosia i kierować jego milionami ku najszlachetniejszym celom?

P. Pinson milczał i dumał. Jakto, więc na drodze przypadku miałby otrzymać to, za czém Boisjoli gonił umyślnie po świecie?... Otóż to przeznaczenie!

— Potrzebujesz pan kilku dni do namysłu?—spytał konsul.

P. Pinson milczał jeszcze. Wielkie zadanie do spełnienia, trzydzieści tysięcy franków pensyi... toż to rzeczy, któreby zachęciły człowieka mniej jeszcze ambitnego, niż on. A jednak miał ochotę odmówić, ze względu na swego chłopca. Nie!... albow 30,000 franków rocznie nie mogą z czasem złożyć kapitału, któryby Żywe Srebro z bogacił!...

— Przyjmuję—rzekł wreszcie stanowczo—i dziękuję panu z całej duszy.

W dwie godziny później p. Pinson podpisał umowę, mocą której zobowiązał się uczynić wszystko, co leżało w zakresie jego umiejętności, a co mogło posiadać don Ambrosia Lerdo zmienić we wzorową gospodarkę.

— Ta umowa jest pańskim majątkiem — rzekł mu wtedy konsul— bo trzeba panu wiedzieć że don Am-

broasio obowiązuje się do setek, aby płacić tysiące... Będziesz pan przytém mieszkał w kraju, który nie zna żółtej febry.

Gdy p. Pinson wrócił do hotelu, zastał chłopca przy nauce języka hiszpańskiego. Nie mówiąc ani słowa, inżynier zagłębił dłonie w kieszeniach i wyjął je pełnemi złota, które rzucił na stół. Potém ujął młodego towarzysza w ramiona i gorąco go uściskał.

— Panie—spytał zdziwiony chłopiec—do kogo należą te sztuki złota?...

— Do mnie... do ciebie!

— Któż je panu dał?

— Opatrzność, mój chłopcze! Ona to chce, abyś był bogatym i abym ja spłacił ci dług, który względem ciebie zaciągnąłem.

I p. Pinson opowiedział wszystko, co go spotkało u konsula. Żywe Srebro, podczas tego opowiadania, miał kilka razy wielką chęć wywrócić *salto mortale*.

— A! więc nareszcie ujrzymy dziewicze lasy!...— wykrzyknął radośnie, usłyszawszy wszystko.

— Tak, mój chłopcze, i to niezadługo.

— A to złoto, co pan z niém uczynisz?

— Oporządziśmy się za nie i kupimy narzędzia, których będę potrzebował.

— A jeżeli pan nie wydasz wszystkiego?

— Obaczymy.

Żywe Srebro zadumał się.

— O czém myślisz?—spytał go p. Pinson.

— Pan jesteś tak dobry—rzekł chłopiec—powiem więc szczerze. Czybys pan mógł zwrócić mi dwieście franków, które otrzymałem na pokładzie *Canady*?

— Cóż chcesz uczynić z temi piędziami?

— Pragnę je posłać matce Pitch; chciałbym być pewnym, że nie będzie jój brakowało węgla podczas zimy, która się zbliża.

P. Pinson uściskał znowu chłopca i obiecał przesłać matce Pitch nie dwieście, ale pięćset franków.

Wciągu tygodnia nasi podróżni zaopatrzyli się w odzież i narzędzia. P. Pinson napisał długi list do don Lerda, w którym oznajmił gotowość wyjazdu, i oddał go konsulowi. W piętnaście dni potém inżynier wraz chłopcem, odprowadzeni do portu przez konsula, wsiedli na pokład małej goellety. P. Pinson puszczał się w tę podróż po złote runo z najlepszymi nadziejami, a Wiktor Brigaut, to jest Żywe Srebro, zdążył radośnie do celu marzeń... o dziewiczych lasach, papugach, małpach i tygrysach.

Goelleta rozwinęła żagle i pomknęła hyżo na falach... unosząc przyjazne losy naszych przyjaciół.

A *Fulton*, a *Davis*?

P. Pinson zachował zbyt najprzyjazne wspomnienia o kommodorze i oficerach, ażeby nie interesować się ich losem. To téż po wyjeździe z *Vera Cruz* otrzymał od konsula list, z którego dowiedział się następujących szczegółów. *Davis*, zapędzony przez wiatr północny ku brzegom Teksasu, rozbil się o skały. Ludzkość wtedy

odzyskała swoje prawa i kommodor z osadą narazili życie, aby wyratować swoich wrogów. W kapitanie *Davisa*, który się stał jego niewolnikiem, kommodor poznał swego siostrzeńca... Niejeden z majtków *Fultona* w jeńcach *Davisa* odnalazł brata, lub przyjaciela. Tak to wojna domowa, najstraszniejsza ze wszystkich, stawia brata przeciw bratu, przyjaciela przeciwko przyjacielowi, a każdy jej cios uderza w serce wspólnej matki — ojczyzny.

Stanąwszy twarzą w twarz ze swymi jeńcami, nieubłagany napozór kommodor zmiękł. Wstawiał się on gorąco do rządu związkowego o łaskę dla przestępców i uzyskał ją.

Co się tyczy pana Boisjoli, czyliż dowiemy się kiedy, co pomyślał, przeczytawszy opis przygód swego przyjaciela?...

Być może.



~~112~~

150.000,-

11728 MKD

